



Lynna Banning

*Niezwykła ukochana*

# Rozdział pierwszy

*Jerozolima, rok 1192*

Mark owinał się szczelniej wełnianym płaszczem i pochylił z westchnieniem w stronę obozowego ogniska. Było mu wszystko jedno, czy jest noc czy dzień, czy na pustyni pali słońce czy wieje szczypiący twarz wiatr, czy ma pusty czy pełny brzuch. Z każdym dniem coraz mniej zależało mu na życiu.

Słońce opadało za suche wzgórza Syrii niczym złota moneta, powoli czerwieniejąc na zachodzie. Mark zwykle z ulgą patrzył na cienie, które z wolna zaczynały nasuwać się nad obozowisko, ale dziś było inaczej. Wciągnął w płuca powietrze przesycone wonią końskiego łajna. Pięćdziesiąt kroków na zachód powiewał coraz słabiej Czerwono - złoty królewski proporzec. Gdyby nie Ryszard, ta przeklęta krucjata już dawno by się skończyła.

Nagle tuż obok usłyszał ciche stąpanie. Nadstawił ucha, a jednocześnie wyciągnął zboląłą rękę po miecz.

- Spokojnie, przyjacielu - usłyszał znajomy głos. - To ja, Roger de Clare.

Przy ogniu przykucnął muskularny młody człowiek w zielonej opończy, którą nosił na koleczudze.

- Masz jakieś wieści, de Clare? - spytał Mark.

- Żadnych. Z królem gorzej. Służba się leni. Dookoła wciąż

więcej padlinożernych ptaków. Nic się nie zmieniło.

Mark skinął głową. Spodziewał się takiej odpowiedzi. Mogli tylko czekać na to, co dalej nastąpi.

- Podobno sam Saladyn ma przysłać lekarstwo dla króla.

Przynajmniej tak donieśli nasi szpiedzy.

Roger wskazał głową narastające cienie.

- Powiadają też, że wszędzie czają się jego zausznicy. I że lepiej milczeć, niż zbyt wiele mówić.

Cały obóz wiedział, że złożony chorobą Ryszard leży w swoim namiocie, którego pilnują jego słudzy. Szpiedzy Saladyna znali każdy ruch jego rycerzy. Wydawało się, że wódz Saracenów jest w stanie przewidzieć wszystko, co zrobią Normanowie. Był przecież w swoim kraju i wszędzie miał oczy i uszy.

Roger lekko chrząknął.

- Król chce z tobą mówić. Dlatego mnie tutaj przysłał.

- Znowu - rzekł z westchnieniem Mark. - Żaden człowiek w całym chrześcijańskim świecie nie zlekceważył tylu dobrych rad, więc nie wiem, dlaczego chce mnie widzieć. Pójdę później. Nic jeszcze nie jadłem.

Roger zajrzał do żelaznego kociołka, który wisiał nad ogniem.

- Niewiele masz tu jadła - zauważył.

Mark skinął głową. Roger de Clare nigdy nie owijał niczego w bawełnę, tak jak inni rycerze, i dlatego Mark go tolerował. Gdyby miał do czynienia z kimś innym, posłałby go do diabła.

- Jak myślisz, czy król umrze? - spytał Roger.

- Wątpię. Nie na darmo nosi przydomek Lwie Serce. Jest znacznie silniejszy niż my wszyscy, tylko potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie. Mark ponownie pochylił się nad ogniskiem. Cienka kasza w kociołku nie wyglądała zachęcająco, ale nie miał nic więcej.

- Może do mnie dołączysz - zaproponował Rogerowi. - Mam już dość samotnych posiłków.

Roger spojrzał na ugotowaną na wodzie kaszę. Nie wyglądała apetycznie, a w dodatku było jej bardzo mało.

- Nie, dziękuję, nie wiem, czy posiliłby się tym królik, nie mówiąc o człowieku. Poza tym... - młodzieniec zawahał się - król czeka.

- Niech czeka - rzucił Mark. - Zmęczyło mnie zabijanie.

- Pamiętaj o szpiegach - szepnął de Clare, rozglądając się uważnie. - Nie mów niczego, co mogłoby zainteresować Saracenów.

Mark skinął głową. Roger wstał i zatknął dłonie za pas.

- Zbyt wiele czasu spędzasz sam - stwierdził. - Sam jadasz, sam sypiasz, pewnie nawet walczyłyś w pojedynkę, gdyby król na to pozwolił. Tak nie może być.

- Zachowaj dobre rady dla swoich giermków.

Roger odszedł od ogniska, a Mark zamknął na chwilę oczy. Bóg jeden wie, że nie zasługuje na takiego przyjaciela. Nie po tym, co się stało w Acre\*.

*\* Obecnie Akka*

Nie po tej zmianie, która w nim zaszła. To Ryszard dał rozkaz do masakry, ale Mark tego straszego dnia poczuł, że umarła część jego duszy. Głowy dwóch tysięcy jeńców spadły na piasek, pojąc go świeżą krwią. Byli wśród nich obrońcy Acre, ale też kobiety i dzieci. Ryszard ich zdradził, a następnie pozabijał niczym rzeźne bydło. To nie mieściło się Markowi w głowie. Zawsze starał się postępować zgodnie z kodeksem rycerskim, a w nim nie było miejsca na takie okrucieństwo.

Mark usłyszał jakiś szept i nie był to tylko głos sumienia. Bez namysłu sięgnął po miecz.

Znowu usłyszał dźwięk, który nie przypominał kroku. Tym razem wyraźniej, tuż za swymi plecami. Ktoś zbliżał się do niego bez ostrzeżenia. W takiej sytuacji trzeba było zachować ostrożność.

- Kto tam?

Odpowiedziała mu jedynie cisza. Tak głęboka, że zdawała się krzyczeć. Czyżby to był jeden ze strażników Ryszarda? A może jego sługa?

Albo morderca!

Mark odstawił kociołek na miejsce, wstał i zaczął zapinać pas, wciąż pamiętając o mieczu. Nagle wydało mu się, że dostrzega w mroku jakiś ruch. Chwycił za rękojeść.

Wyczuł, że ktoś porusza się za jego plecami i obrócił się w tamtą stronę, spodziewając się ataku. Jakże słusznie. Po chwili z mroku

wyłoniła się odziana na czarno postać. Mark cofnął się w cień, a jednocześnie zadał cios mieczem. Jego ostrze dosięgło gardła napastnika, który zwałił się na piasek przed ogniskiem. Z rany płynęła krew, zabarwiając jego turban i jedwabną szatę. Mark rozejrzał się uważnie dookoła. Musiał zachować czujność. To był Saracen, zapewne jeden ze szpiegów Saladyna. I to tak blisko ich obozu.

Ranny jeszcze rzeził, ale nie trwało to długo. Mark pochylił się nad nim i nagle przerażenie ścisnęło mu gardło. Dobry Boże, co on zrobił! Mężczyzna był nieuzbrojony. Czyżby znowu dopuścił się zbrodni? Czyżby po raz kolejny sprzeniewierzył się rycerskim nakazom?

Odwrócił się od martwego Araba, czując potworne wyrzuty sumienia. Przez chwilę myślał, że zwymiotuje. Zabicie nieuzbrojonego człowieka, nawet Saracena, było sprzeczne nie tylko z kodeksem rycerskim, lecz również z prawem bożym. W tej chwili nie czuł się godny miana chrześcijańskiego rycerza. A jednak, mimo doznanego wstrząsu, wyczuł niebezpieczeństwo i obrócił się ponownie w stronę zabitego. Na szczęście tym razem nie był równie szybki w działaniu. Do Araba doskoczył jakiś chłopak i rozszłochał się niczym niewiasta. Zapewne był to jego wierny służący.

Mark otworzył usta, by przeprosić za to, co się stało, ale zaraz je zamknął. Nie powinien usprawiedliwiać się przed niewiernymi.

Odwrócił się w stronę ogniska, kiedy nagle poczuł ciężar na plecach. Wątle ramię trzymało nóż przy jego szyi. Znalazł się w niebezpieczeństwie, lecz niewiele sobie z tego robił. Być może to

właśnie zimna krew uratowała mu życie.

- *Qaatil!* - wykrzyknął chłopak cienkim, nabrzmiałym nieważnością głosem.

Zanim Mark zdążył go strząsnąć z siebie niczym natrętnego owada, ostrze drasnęło mu skórę na szyi. Poczował na niej parę kropeł ciepłego płynu.

- *Taraka* - powiedział po arabsku, ale chłopiec nie chciał mu dać spokoju. Wczepił się w połę jego płaszcza i co jakiś czas dźgał sztyletem, starając się znaleźć nieosłonięte miejsce. Zapewne żałował, że nie zaatakował go od razu, kiedy miał ku temu sposobność.

Mark złapał ramię służącego i wykręcił je jednym ruchem. Sztylet upadł na piasek, ale chłopak znowu usiłował go chwycić. Mark nastąpił na ostrze swoim ciężkim butem.

- Idź już - powiedział. - Nie zrobię ci nic złego. - Nie zastanawiał się w tej chwili i użył rodzimej odmiany francuskiego.

- Zabiję cię - rzekł drżącym głosem chłopak. - Zemszczę się, choćbym miał przy tym zginąć. Bóg wie, że mówię prawdę.

Służący, który mówi po francusku? To było naprawdę dziwne. Niewielu Saracenów znało jego język.

- Kim jesteś? - spytał Mark.

Chłopak spojrzał na sztylet pod jego butem, starając się choć trochę wyprostować. Mark trzymał go mocno. Na brudnej twarzy służącego pojawiły się łzy.

Mark pochylił się i podniósł sztylet. Miał on srebrną, ozdobioną wielkim rubinem rękojeść. Była to piękna robota, zapewne mistrzów z

Damaszku.

- Skąd to masz?

Chłopak zadrżał, ale nic nie odpowiedział.

- Mów, kiedy cię pytam! Skąd wzięłeś ten sztylet?

Drżący sługa spojrział na zabitego Araba.

- To moja własność.

- A ja jestem księciem Samarkandy! Mów prawdę!

- Nie jestem złodziejem.

- To ty tak twierdzisz. Skąd wzięłeś ten sztylet?

- Jest mój... teraz. - Służący znowu spojrział na ciało, leżące bezwładnie w kałuży krwi.

A więc jednak Arab miał broń. Czyżby był szpiegiem? Teraz, kiedy należał do świata zmarłych, nie miało to większego znaczenia.

Pozostawał jednak jeszcze chłopak. Nie był silny, ale gotowy zabić za wszelką cenę. Mark złapał go za koszulę i postawił na nogi.

- Kim jesteś? - powtórzył.

Myślał, że chłopak się przestraszy, ale ten wyprostował się dumnie i spojrział mu prosto w oczy. - Jestem... Soray.

- A jak się nazywa ten, który tutaj leży? - wskazał wzrokiem Araba.

- To mój pan, Khalil al-Din.

Mark zacisnął dłoń na koszuli chłopaka.

- Więc jesteś jego sługą?

- Tak, jestem sługą.

Mark puścił chłopaka. To wszystko nie miało sensu. Czy służy



Saracenów byli tak oddani swym panom, że gotowi byli oddać życie, byle ich. pomścić?

- Kłamiesz!

Chłopak zamarł. Przez moment patrzył na niego niepewnym wzrokiem. Mark zauważył, że walczyły w nim dwa sprzeczne uczucia, ale nie umiał ich bliżej określić.

- Nie, panie, nie kłamię.

Mark potrząsnął głową. Potrafił doskonale wyczuć kłamstwo. Teraz nie było jednak czasu na śledztwo. Cierpliwość króla miała swoje granice. Powinien jak najszybciej udać się do jego namiotu. Inaczej będzie to wyglądało na bunt, a w najlepszym wypadku na jawne lekceważenie.

- Odejdź stąd, chłopcze. Dopilnuję, żeby twój pan miał godny pochówek.

Mark oddalił się w stronę namiotu Ryszarda, wciąż trzymając sztylet w dłoni. Myślał o chłopaku. Nie wiedział, co on zrobi, ale nie sądził, by dumny Arab dostosował się do jego poleceń. Było w nim coś, co sprawiało, że myślał o nim z sympatią, jeśli w ogóle można tak myśleć o wrogu...

Soraya skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła za odchodzącym rycerzem. Miał ciężkie, zimne spojrzenie, a jego mroczna twarz ją przerażała. Nie powiedział nawet, że żałuje, nie pomodlił się za człowieka, którego zabił tak bezmyślnie. Jej wuj miał rację. Ci barbarzyńcy są naprawdę straszni.

Znowu zaczęła szlochać i uklękła przy Khalilu.

- Obiecuję ci, wuju, że cię pomszczę - powiedziała, skłoniwszy głowę. - I że wypełnię naszą misję. List Saladyna dotrze do króla Ryszarda, ale najpierw muszę odzyskać sztylet.

Przycisnęła palcami powieki zmarłego, a następnie, walcząc z płaczem, który wzbierał w jej piersi, ucałowała wuja w stygnące policzki.

Nie mogę pozwolić, by ten barbarzyńca cię dotykał, pomyślała. Nie mogę pozwolić, by zakopał cię w ziemi bez odpowiednich wersetów Koranu.

Wstała i zacisnęła mocno pięści. Po chwili rozejrzała się po obozowisku. Rycerz nie miał namiotu, a tylko ognisko z kociołkiem i trochę swoich rzeczy. Zajrzała do kociołka i stwierdziła, że to niemożliwe, by tak wielki mężczyzna mógł się żywić kaszą na wodzie. Zastanawiała się, skąd bierze siły do walki. Przecież podniósł ją lekko jak piórko.

Jego żelazny hełm i kolczuga były wetknięte do brudnej torby z juty. Obok leżał zwinięty koc, zapięty poczerńiałym pasem. Fe! Ci Normanowie żyją niczym świnie.

Soraya uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Wiedziała, że rycerz wkrótce wróci, a ona musi być na to przygotowana. Jeśli będzie działać z zaskoczenia, na pewno zdoła mu wyrwać sztylet i go zabić. Nie spocznie, zanim ten barbarzyńca nie podzieli losu jej wuja!

Jeśli zaś chodzi o jej misję, to musi dostarczyć wiadomość bezpośrednio do rąk angielskiego monarchy. Wszystko jednak w

swoim czasie. Zajmie się tym, kiedy już rozprawi się z mordercą wuja. Trudno jej będzie odzyskać sztylet, jeśli nie powie, dlaczego go potrzebuje. Miała oddać list królowi Ryszardowi i zrobić to. Teraz dorzuciła jeszcze trochę suchego łąjna do ognia, a następnie zasłoniła go na chwilę kocem, tak jak ustalili to wcześniej z poddanymi Khalila.

Mark minął już kilkanaście ognisk. Zauważył, że siedzący przy nich rycerze milkli na jego widok i unikali jego wzroku. Ludzie Ryszarda zawsze źle się czuli w jego towarzystwie, ale teraz chyba wręcz zaczęli się go bać. Czy aż tak było widać, jak bardzo jest wściekły?

Kiedy dotarł do czerwonego namiotu króla, wetknął sztylet za pas i sięgnął po jedwabną zasłonę. Najpierw chrząknął, a dopiero potem wszedł do środka.

- A, Mark de Valery - usłyszał za sobą służalczy głos. - Nareszcie. Zobaczysz, pożałujesz, że kazałeś królowi czekać.

Pozostawił te słowa bez komentarza. Minął pilnującego wejścia rycerza, podszedł do królewskiego łoża i przyklęknął na jedno kolano.

- Najjaśniejszy panie.

- Wstań - powiedział król. Jego twarz okolona jasnymi włosami była spocona i czerwona od gorączki. Wargi pod sumiastymi wąsami wyglądały na spieczone. - Podejdź bliżej.

Król na chwilę zamilkł, jakby te słowa bardzo go wyczerpały. Mark zbliżył się do jego wezgłowia.

- Posłuchaj, de Valery - szepnął król. - Siły mnie opuszczają.

- Tak, panie?

Ryszard zamknął na chwilę oczy, jakby chciał zebrać siły.

- Nie wolno ci nikomu powtórzyć tego, co ci powiem. Przysięgnij.

- Przysięgam, najjaśniejszy panie.

- Pochyl się.

Mark znowu przyklęknął i przysunął ucho do ust Ryszarda, który powiedział cicho: „Muszę wracać do Anglii”. Położył drżącą dłoń na ramieniu Marka. Jego palce były tak gorące, że wydawały się parzyć.

- Mój brat, Jan, ułożył się z królem Francji Filipem. Filip chce mieć Normandię, a Jan moją koronę. Muszę wracać do domu i chcę, byś towarzyszył mi w drodze.

- Jeśli zrobię to, o co prosisz, panie, to umrzesz. Nie możesz ruszyć w podróż w takim stanie.

- Nie umrę, Valery. Sam tego dopilnujesz.

Mark wciągnął głęboko powietrze. Nie mógł odmówić. Nikt nie odmawiał Ryszardowi Lwie Serce.

- Dobrze, sire.

- *Tres bien* - szepnął Ryszard.

- Jeśli mogę, chciałbym zadać jedno pytanie. Dlaczego wybrałeś właśnie mnie, panie? - rzekł z lekkim wahaniem.

Król zaśmiał się szorstko.

- Ponieważ ufam ci, chociaż jesteś pół - Szkotem - odparł. - Dobry z ciebie człowiek, de Valery.

Mark skłonił głowę, choć komplement był dwuznaczny. Nie chciał jednak przyznać się do tego, że nie jest aż tak dobrym rycerzem,

jak to się wydaje Ryszardowi.

Chciał wstać, ale król przytrzymał go słabą dłonią.

- Jeszcze jedno.

Mark czekał, aż król nabierze sił do dalszej rozmowy. Trwało to dwie, może trzy minuty. W końcu Ryszard przełknął ślinę i otworzył półprzymknięte oczy.

- Uważaj na Leopolda Austriackiego. - Gniew go zaślepił.

- Wiem, najjaśniejszy panie. Nie powinienesz być tak zbezcześcić jego chorągwi.

- A ty powinienesz być powiedzieć mi o tym wcześniej.

Mark milczał. Żaden Szkot nie odważyłby się oskarżyć niemieckiego barona o perfidię i przestrzegać króla przed jego planami. Ryszard doskonale o tym wiedział.

Księżyc już wzeszedł, kiedy Mark skończył zleczone przez króla przygotowania i powrócił do swego obozowiska. Ogień zupełnie się wypalił. Kociołek był zimny, zresztą myśl o tym, co go czekało, odbierała mu apetyt. Ryszard był sprytny, nawet wyrachowany, ale zdarzało mu się działać impulsywnie, pod wpływem emocji. Jego ojciec, Henryk Plantagenet, potrafił być bardziej rozważny.

Mark spojrzał w stronę miejsca, gdzie powinien leżeć martwy Arab. Nie dostrzegł tam jednak nikogo. Ciało zniknęło! Pochylił się, chcąc zbadać piasek i stwierdził, że nie ma na nim nawet śladów krwi.

Poczuł mrowienie na plecach. Czyżby Saraceni tak łatwo mogli się dostać do nieba?

Czy może jednak odciągnął go jego służący?

Szybko się przeżegnał. Być może to jakiś dzinn porwał ciało? Sięgnął za pas, by poczuć rękojeść sztyletu, który zabrał chłopcu. Nie powiedział nikomu o tym, co się stało, nawet królowi. Całe wydarzenie napawało go odrazą. Poza tym wiedział, że musi się teraz skupić na rozkazach Ryszarda i przygotować powrót do Anglii. To było ciężkie zadanie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego wcale się nie cieszył, że stąd odjedzie. I tak zachowa w pamięci wspomnienia tych strasznych wydarzeń. Takich rzeczy nie zostawiało się za sobą, a on widział zbyt wiele, by cieszyć się ze śmierci niewiernych. Zwłaszcza jeśli były wśród nich kobiety i dzieci.

Nagle poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie. Obrócił się lekko i zaczął nasłuchiwać. Gdzieś z ciemności dobiegał do niego szmer oddechu.

Wyjął miecz i skoczył w tamtą stronę.

## Rozdział drugi

Mark zacisnął dłoń na gładkim, pokrytym jedwabiem ramieniu i wyciągnął chłopaka z mroku.

- Co tu robisz? - spytał groźnie. - Mówiłem, żebyś sobie poszedł.

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnął wysokim głosem chłopak.

- Puszczaj!

Mark zazgrzytał zębami. Co ten chłopak sobie wyobraża?

- Odpowiadaj, jak cię pytam!

Głowa w turbanie wyprostowała się dumnie.

- Pilnowałem mojego wuja.

- A gdzie on się teraz podział? - Ścisnął mocniej jego ramię.

- Może poszedł sobie do raju?

Nagle poczuł małą dłoń na policzku. Cios nie był mocny, ale dotkliwy, bo nieoczekiwany.

- Nie obrażaj go! To świętokradztwo!

Do licha, ten wyrostek odważył się go uderzyć! Skąd brała się w nim taka buta?

- Więc gdzie jest teraz twój wuj?

- Dałem znak naszym ludziom, żeby go zabrali. Przyjechalitu konno. Może tego nie wiesz, ale dookoła pełno jest naszych szpiegów. Nie będzie wam tutaj łatwo...

Mark postanowił zignorować tę uwagę. Cóż zresztą miał

powiedzieć? Sam doskonale zdawał sobie z tego sprawę

- Dlaczego nie pojechałeś z nimi?

Chłopak spuścił głowę, zerknął na sztylet, który sterczał za pasem Marka, po czym wbił wzrok w swoje skórzane sandały. Mark ścisnął mocniej jego ramię.

- Mów!

Chłopak zacisnął usta. Milczał. A potem nagłym szarpnięciem wyswobodził ramię i rzucił się w stronę sztyletu. Mark odsunął się, ostrze przecięło kciuk napastnika, który krzyknął z bólu. Zdołał się jednak cofnąć na tyle, by tamten nie skaleczył się zbyt mocno.

Mark znowu chwycił chłopaka za kołnierz i pchnął w stronę wygasłego ogniska. Księżyc świecił jasno i miał tu dosyć światła, by go obserwować. Następnie wyjął z zanadru lnianą szmatkę i rzucił chłopakowi.

- Masz.

Ten bez słowa zawiązał ją sobie wokół palca. Mark przykucnął obok.

- Więc zostałeś tu po to, by mnie zabić?

Chłopak nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w wygasły ogień.

- Muszę przyznać, że jesteś odważny. Ponownie odpowiedział mu milczeniem.

- Patrz na mnie - polecił mu Mark.

Siłą obrócił twarz chłopca w swoją stronę. Miał dziwne oczy w kolorze morza - jasnozielone z tajemniczymi błyskami. Dziwne jak na Saracena. W ogóle, mimo turbanu, nie wyglądał na Araba. Cóż,



zapewne pozory mogą mylić...Wciąż miał przed sobą pałające nienawiścią oczy. Poczul się nieswojo, patrząc w ich głębie.

- Dziwne masz oczy jak na Araba - mruknął.

- Pochodzę ze wschodniej Europy, ale dorastałem wśród Arabów i znam ich zwyczaje.

Mark przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. No tak, mógł się tego domyślić.

- Rozwiń turban.

Chłopak zaczął wolno rozwijać jedwabne zwoje, odsłaniając twarz i głowę, i Mark wkrótce przekonał się, że mówił prawdę. Soray miał jasną skórę, delikatne, niemal kobiece rysy, a także długi, prosty nos. Pod turbanem kryły się też dosyć długie, kręcone włosy.

Mark znowu poczul ukłucie w sercu. Nigdy wcześniej nie widział tak ładnego chłopca, który w dodatku poruszał się z prawdziwą gracją. W jego ruchach było coś kociego. Był jednak delikatnej budowy i nie potrafił walczyć. Bez broni nie stanowił żadnego zagrożenia.

- Jesteś głodny? - Tak, panie.

Mark sięgnął po garnek z resztką kaszy.

- Jest zimna i niezbyt smaczna, ale można się nią najeść - mruknął, podając ją chłopakowi.

Ten sięgnął palcami po kaszę, ale się zawahał. Mark dał znak, że nie jest głodny i chłopak szybko zjadł cały jego wieczorny posiłek.

Mark obserwował chłopaka, myśląc o jego dziwnych, zielonych oczach. Zastanawiał się, co ma z nim teraz zrobić. Chyba będzie musiał odesłać go do jego ludzi, którzy pewnie i tak czaili się gdzieś w mroku

za obozowiskiem.

Do licha, czym się przejmuję? Los młodego Araba w ogóle nie powinien go obchodzić. Jutro rano odjedzie stąd z królem i będzie mógł zapomnieć o całej przygodzie.

Po chwili wstał, wziął związany pasem koc i rzucił chłopakowi. On sam był przyzwyczajony do trudów obozowania.

- Noce na pustyni są zimne - powiedział. Saracen spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Tak, wiem. *Shukren*, panie. *Merchez*.

W tym młodzieńcu było coś dziwnego. Już choćby to, że mówił po arabsku i francusku. Poza tym, nawet jak na Europejczyka miał dziwną cerę i jeszcze te oczy, które wydawały się tak... niepokojące.

Mark pomyślał, że musi spędzić resztę nocy, trzymając broń w pogotowiu. A także dbając o to, by chłopak nie mógł zabrać mu sztyletu. Nie ufał temu niezwykłemu Saracenowi.

Soraya pomyślała, że nigdy nie zrozumie Normanów. A zwłaszcza tego, którego miała obok, z oczami tak błękitnymi jak lapis lazuli i jasnymi włosami. Była w nim jakaś mroczność, która przyprawiała ją o drżenie. Bez zmrużenia oka zabił Khalila, a mimo to dał jej teraz koc.

Owinęła się nim szczelniej, nie dbając o to, że szorstka wełna drapie jej policzki, a potem oparła głowę na kolanach. Nie zamknęła jednak oczu. Pochyliła się tylko, tak by móc obserwować mężczyznę, który ponownie rozpałił ogień, a potem ulokował się tuż obok. Miał mocne rysy, ale jego oczy były pogrążone w cieniu.

Cóż, teraz miała przed sobą tylko jeden cel: musiała pomścić wuja, a następnie wypełnić swoją tajną misję. Ten rycerz zginie jeszcze przed świtem.

Zamknęła oczy, ale tylko na chwilę. To nie był dobry czas na odpoczynek. Nerwy miała napięte jak postronki i wciąż zastanawiała się nad tym, kiedy będzie mogła zaatakować. W tej chwili nie chodziło tylko o zemstę, lecz również o jej honor. Przecież ten Norman miał przy sobie sztylet Khalila.

Usłyszała trzask iskry i spojrzała w stronę rycerza. Spał albo udawał, że śpi. Ogień oświetlał teraz jego mocną szczękę i okrutne usta.

Rzuciła w jego stronę kamień i trafiła go w szyję, ale mężczyzna się nie poruszył. Wciąż leżał na jej sztylcie, przyciskając go do ziemi. Zaczęła się modlić, by przewrócił się na drugi bok. Wzięłaby wtedy sztylet i poderżnęła mu gardło.

Patrzyła na pierś rycerza, która unosiła się i opadała równym rytmem. Musi wypełnić przysięgę, złożoną przed Bogiem. Wzięła nieco większy kamień i rzuciła w stronę leżącego.

Mark poruszył się, otworzył jedno oko, ale zaraz je zamknął. Chłopak wciąż siedział, nieco oddalony od ognia. Mógł spać, chociaż Mark sądził, że obserwuje go i czeka na sposobną chwilę.

Wielki rubin osadzony w rękojeści sztyletu wbijał mu się w plecy, lecz postanowił wytrzymać ból. Wiedział, że dzięki temu chłopak jest bezbronny.

Bóg mu świadkiem, że zabił Saracena w niepotrzebnym

pośpiechu. Teraz wstydził się tego i było mu przykro. Żałował też chłopaka tak bardzo przywiązanego do swego wuja. Niekończąca się wojna zatrąla dusze wszystkich, którzy brali w niej udział. Mark czuł, że ma dosyć zabijania. Być może dlatego powinna go cieszyć wspólna podróż z Ryszardem, chociaż kto wie, czy w jej trakcie nie będzie musiał walczyć. I to nie tylko z niewiernymi.

Poruszył się i wyciągnął nieco dalej nogi. Wojna o Jerozolimę z biegiem czasu stawała się coraz bardziej nieludzka.

Wojownicy Saladyna okrążali obozowiska Normanów rozbite pod bramami miasta. Jeśli udało im się przebić dalej, po jakimś czasie historia się powtarzała. I tak tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu...

Krwawe jatki, które urządzały sobie nawzajem wrogie armie, przestawały mieć jakikolwiek sens. Ryszard nie pragnął Jerozolimy dla siebie. Król atakował to miasto, chociaż wiedział, że nie zdoła go utrzymać. Czyżby więc oblegali je wyłącznie na pokaz? Czy chodziło o rozgrywkę, którą Ryszard prowadził z królem Francji Filipem i niemieckim baronem Leopoldem?

Mark przyjrzał się uważniej chłopakowi, który chyba w końcu zasnął przy ogniu. Kiedyś sam był równie odważny i mało roztropny jak on. I nieświadomy ciemnej strony życia.

Kiedy zbudził się o świcie, upewnił się, że wciąż ma pod sobą sztylet i dopiero wtedy zdecydował się wstać. Chłopak siedział z głową na kolanach i lekko pochrapywał. Niech śpi dalej. Mark odjedzie stąd z królem, zanim obozowisko obudzi się do życia.

Dał swemu Jupiterowi trochę obroku, założył mu ciężkie, skórzane siodło i zaczął sam sposobić się do podróży. Kiedy po chwili spojrzął w stronę konia, zobaczył na nim uśmiechniętego jeźdźca. Znowu ten chłopak! Jak to się stało, że zdołał obudzić się w odpowiednim momencie? A może jednak wcale nie spał?

- Zsiadaj - powiedział.
- Nie mogę, panie. Muszę ci towarzyszyć.
- Nie potrzebuję sługi.
- Być może, panie, ale potrzebujesz mnie. Zapewniam, że nie

jestem zwykłym sługą.

Mark zaśmiał się szorstko. Miał już dość tej rozmowy.

- Zsiadaj, i to już - warknął.

Chłopiec przesunął się na bok i zeskoczył wdzięcznie na ziemię. Mark zaczął się zastanawiać, jak w ogóle udało mu się dosiąść tak olbrzymiego wierzchowca.

- Dokąd jedziemy? - spytał chłopak
- Ja jadę na zachód, a ty możesz iść do diabła. Saracen wciągnął głęboko powietrze.

- Z pewnością nie chciałbyś, żeby tak się stało, panie. Mark zacisnął szczęki.

- Wygadany z ciebie szczeniak - mruknął. - W dodatku uparty jak osioł.

- To prawda, panie. Przyznaję, że jestem uparty.

- Idź już! - niemal wykrzyknął Mark, a potem rozejrzał się niespokojnie dookoła. Na szczęście najbliższe ogniska znajdowały się

ładnych kilkadziesiąt metrów dalej. .

- Gdzie mam iść, panie?

- Choćby do latryny - rzucił Mark i wskazał miejsce, gdzie się znajdowała. - No już, ruszaj.

Chłopak pospieszył we wskazanym kierunku. Kiedy Mark był już pewien, że nie może go zobaczyć, poprawił miecz, zarzucił sakwy na konia, a następnie sam dosiadł rumaka.

Z lekkim niepokojem skierował go w stronę miejsca, gdzie miał się spotkać z królem.

## Rozdział trzeci

Soraya nie poszła do latryny. Zakradła się za wzgórze, gdzie Mark nie mógł jej zobaczyć, a następnie przeszła w głąb obozowiska. Rycerze jeszcze spali, ale służący uwijali się przy ogniu.

Ziewający Normanowie ostrzyli miecze swoich panów albo czyścili piaskiem ich kolczugi, nie zwracając na nią uwagi. Kiedy jednak pozdrawiała arabskich służących, oni uśmiechali się, słysząc jej: *Massa al - khayr*, i odpowiadali uprzejmie: *Ahlan*.

Zawsze dziwiło ją, że Normanowie brali tylu jeńców, a następnie wymieniali ich przy tej lub innej okazji na swoich ludzi, jakby byli workami zboża. Ale przecież ją samą Khalil zdobył w podobny sposób. Arabscy jeźdźcy porwali ją, kiedy była dzieckiem i zabrali z górzystej

ojczyzny wprost do haremu szejka. Przynajmniej zdobyła tam dobre wykształcenie, ale i tak była szczęśliwa, kiedy Khalil kupił ją na targu niewolników. Liczyła sobie wtedy zaledwie dziesięć wiosen i pamiętała jeszcze swój rodzinny kraj. Jednak wraz z upływem czasu to wspomnienie stawało się coraz bardziej mgliste, a *zenana*, w której zamieszkała, stała się jej prawdziwym domem.

Obozowisko Normanów było brudne i nieprzyjemne. Wszędzie latały muchy i Soraya marszczyła, nos, czując smród niemytych ciał i końskiego łajna. Kiedy przechodziła obok jednego z ognisk, udało jej się ukraść granat z kosza z owocami. Następnie skierowała się do największego namiotu. Był zrobiony z czerwonego jedwabiu, a nie zgrzebnego płótna, jak pozostałe. Na jego szczycie trzepotał Czerwono - złoty proporzec. Chciałaby doręczyć królowi list już w tej chwili, ale wiedziała, że będzie musiała czekać na sposobną chwilę. Musiała przecież odzyskać sztylet Khalila. Rozglądała się, szukając swojego wroga, i nagle zamarła. Od wschodu zbliżał się wysoki rycerz ze swoim wielkim wierzchowcem. Wiedziała już, że nikomu nie pozwala go dosiadać. Trudno jej było zapomnieć wściekłość, jaką dostrzegła w jego oczach, gdy wskoczyła na siodło, zanim zdążył się zorientować, co się dzieje.

Patrzyła na niego zaciekawiona. Był rzeczywiście wysoki i dosyć wychudzony, ale było też w nim coś miłego. Ten jego głos, który brzmiał tak łagodnie, i niebieskie oczy...

Do licha, to nie ma znaczenia! Przecież i tak musi zginąć.

Szedł, lekko utykając, być może z powodu jakiejś dawnej rany.

Musi być zaprawiony w bojach, skoro z taką swobodą nosi długą kolczugę i skórzane nogawice, które razem ważyły pewnie tyle, co ona sama.

Normanowie są naprawdę głupi. Arabscy wojownicy również noszą kolczugi, tylko o wiele lżejsze, a ich konie są mniejsze, ale szybsze i bardziej zwrotne. Poza tym specjalnie używają kobył, gdyż ich zapach wprowadza zamieszanie w szeregach normandzkich ogierów. Normanowie mieli z tego powodu mnóstwo kłopotów, a jednak ciągle nie są w stanie zrozumieć, na czym polega ich błąd.

Rycerz skręcił w lewo, nie dochodząc do wielkiego czerwonego namiotu, a ona cofnęła się w cień innego, by móc swobodnie obserwować jego ruchy. Najpierw ukradnie mu sztylet, a potem poszuka króla i w ten sposób wypełni swoją misję. Będzie wówczas mogła wrócić z podniesionym czołem do Saladyna i powiedzieć mu o śmierci wuja.

Rycerz minął parę ognisk, przy których zaczęto już przygotowywać strawę i ruszył w stronę skał, wznoszących się poza terenem obozowiska. Była to szczęśliwa okoliczność. Soraya przekradła się na drugą stronę wzniesienia i zaczęła wspinać się po skałach, chcąc zejść go od tyłu. W końcu dotarła do szczeliny, przez którą tylko ona mogła się przecisnąć. Wsadziła w nią głowę i rozejrzała się uważnie.

Przede wszystkim zobaczyła zad jakiegoś innego wierzchowca. Koń był mniejszy od rumaka rycerza, ale bardziej zadbany. Skórzane siodło, które spoczywało na jego grzbiecie, aż lśniło czystością. Leżący pod nim koc był bogato zdobiony, a strzemiona z ciemnego żelaza



ozdobnie gięte.

Na tym wierzchowcu siedział mężczyzna w kapturze. Mnich. Czyżby zatem „jej” rycerz był templariuszem? Rycerzem maltańskim? Tacy rycerze nosili białe płaszcze z naszytymi z przodu czerwonymi krzyżami, ten zaś miał na sobie prosty, niebieski płaszcz.

Nie był więc mnichem. To dobrze. Byłoby jej trudniej poderżnąć gardło słudze bożemu, choćby nawet był rycerzem.

Mnich uniósł dłoń w geście pozdrowienia, a rycerz w odpowiedzi pochylił głowę. Szanował więc mnicha. Obaj mężczyźni wymienili przyciszonym głosem parę słów, z których dobiegło do niej tylko jedno: „Jaffa”. A potem rycerz odwrócił się do niej tyłem, żeby dosięść wierzchowca.

Od razu zrozumiała, co chcą zrobić. Zamierzali pojechać na południe, by dotrzeć do portu. Do Jaffy. Jeśli więc chce od - zyskać sztylet i pomścić śmierć Khalila, musi pojechać z Normanami. Później zastanowi się nad tym, jak wrócić do obozowiska i dostarczyć królowi wiadomość od Saladyna.

Soraya wyskoczyła ze swojej kryjówki, podbiegła do Normanów i rzuciła się przed rycerzem na skalistą ziemię.

- Wybacz, panie, swemu słudze, ale nigdzie nie mogłem znaleźć tego, po co mnie posłałeś.

Rycerz spojrział na nią z góry. Soraya nie śmiała nawet podnieść głowy.

- A po co cię niby posłałem? - spytał twardym, niczym metal głosem.

- Przecież po konia, panie! Nie pamiętasz, posłałeś mnie po drugiego wierzchowca. - Uniosła nieco wzrok i zerknęła na jego kolana, a potem wyżej, tam gdzie miał przypasany miecz. W końcu, mamrocząc pod nosem modlitwę, popatrzyła na jego twarz.

Serce zamarło jej w piersi. Rycerz miał zagniewaną minę i zmarszczone czoło, ale w jego oczach pojawiło się chyba coś w rodzaju podziwu. Tym razem znowu zadziwił ją ich błękit. Był czysty niczym lazururowe kamienie, którymi zdobiono meczety. Niebieski jak morze w jej rodzinnym kraju, które nawet po tylu latach wciąż miała przed oczami.

- Niczego takiego sobie nie przypominam - odezwał się w końcu rycerz.

Soraya westchnęła głęboko, spojrzała na mnicha, a potem podniosła się i stanęła przed rycerzem.

- O panie, czy nie znudziła ci się jeszcze ta zabawa? Codziennie rano wydajesz jakiś rozkaz, a potem udajesz, że o tym zapomniałeś, żebym to ja wyszedł na głupca.

- Głupca z dużą wyobraźnią - dodał rycerz.

- Tak, panie - podchwyciła Soraya, czując, że ta gra corazbardziej ją wciąga. - To prawda, że mam dużą wyobraźnię. Ale tym razem zawiodłem. Nie potrafiłem wymyślić takiego miejsca, w którym znalazłbym konia.

Mnich w kapturze podjechał do nich. W jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

- Więc masz teraz służbę, de Valery? - spytał władczy tonem.

- Czemu mi o tym nie powiedziałeś?

- Nie mam żadnego sługi - mruknął w odpowiedzi rycerz.

- Nie kłam! - Zaśmiał się mnich. - Pamiętaj, że jestem sługą bożym.

- Naj... Wielebny ojczy, ten chłopak nie jest moim sługą. W ogóle go nie znam.

Soraya chwyciła dłoń rycerza. Wiedziała, że musi jechać tam, gdzie on. Będzie niczym cierń w jego ciele, wesz pod jego koszulę. Musi go zabić, choćby sama miała przy tym zginąć.

- Kłamstwo to grzech, panie - stwierdziła beczelnie. - Sam mi to mówiłeś. Jestem twoim sługą i staram się ci służyć najlepiej jak potrafię. - Dotknęła jego dłonią swego czoła. - Nie wypieraj się mnie, panie.

Przyklękła, by dotknąć teraz czołem jego skórzanego buta. Tak, to było dobre posunięcie.

Mnich mruknął coś niecierpliwie pod nosem. Soraya odniosła wrażenie, że usłyszała jakieś przekleństwo, ale mogło jej się tylko wydawać. Skoczyła na równe nogi i spojrzała na obu mężczyzn.

- Twój chłopak jest zbyt młody, by iść pieszo - powiedział mnich, wskazując Sorayę. - A skoro nie masz drugiego konia, to weź go po prostu ze sobą.

Rycerz chciał zaprotestować, ale zakonnik powstrzymał go ruchem ręki. Zachowywał się tak, jakby był przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

- Nie wziąłem swojego sługi, bo bałem się, że ma za długi język

- rzekł. - Jednak twój służący wystarczy dla nas obu.

Rycerz skrzywił się, a następnie przeniósł na nią ciężar swego wzroku. Soraya postanowiła skorzystać ze sposobności. Chwyła grzywę wierzchowca i już po chwili siedziała w siodle.

Norman zaklął szpetnie i sam dosiadł konia. Przez chwilę myślała, że zrzuci ją z siodła. On jednak usiadł za nią, a potem chwycił mocno i przeniósł do tyłu, jakby chciał jej pokazać, gdzie jest jej miejsce.

Soraya objęła go w pasie. Po chwili wyczuła pod palcami niewielkie wybrzuszenie. To był sztylet! Jej sztylet! Miała go w tej chwili w zasięgu ręki. Wiedziała jednak, że musi poczekać, pozwolić, by rycerz się zmęczył. Dopiero wtedy powinna uderzyć - tylko raz i celnie. Uśmiechnęła się do siebie. Nawet nie przypuszczała, że ta misja okaże się tak łatwa. Udało jej się przechytryć zadufanego w sobie Normana. Khalil byłby z niej dumny.

Wielki koń, na którym jechali, zarżał głośno i ruszył szybciej przed siebie. Soraya objęła mocniej rycerza. Metalowe ogniwa jego kolczugi uwierały ją w brodę. Starła się jednak trzymać mocno, by nie spaść z wierzchowca.

Niech Bóg ma nad nią pieczę! Nagle dotarło do niej, że nigdy nie znajdowała się tak blisko mężczyzny. Miała wrażenie, że jej zmysły nagle oszalały. Słyszała śmiechy i okrzyki ludzi dookoła. Czowała zapach dymu i pieczonego chleba, a także smak nasion granatu na języku.

Jednak już po chwili rycerz spał rumaka ostrogami i zapomniała o wszystkim, koncentrując się jedynie na tym, by się utrzymać na

końskim grzbiecie.

Jechali ładnych parę godzin, wciąż kierując się na południe, w stronę Jaffy. Słońce paliło niemiłosiernie, ale jeśli się zatrzymywali, to tylko na chwilę, by napić się wody. W końcu zrobili sobie dłuższy postój w niewielkiej wiosce, żeby odpocząć w cieniu oliwnego gaju i napęłnić bukłaki wodą. Soraya zajęła się bukłakami, podczas gdy obaj mężczyźni ułożyli się wygodnie pod drzewami.

Chory król leżał, ciężko dysząc. Mark popatrzył na niego z niepokojem. Król był bardzo zmęczony i dokuczał mu kaszel. Poza tym jego koń, którego wziął od umierającego templariusza, spowalniał jazdę. Starali się też unikać większych osiedli, by ktoś spośród ich mieszkańców nie rozpoznał w skromnym, odzianym w łachmany mnichu Ryszarda Lwie Serce. Przecież wszyscy go tu znali, chociaż widywali go przede wszystkim w pełnym rynsztunku, gotowego do walki, a nie w takim przebraniu.

Mark zaklął pod nosem. Wiedział, że ta podróż to szaleństwo, ale nikt, pomijając matkę króla, wielką Eleonorę Akwitańską, nie śmiał dyskutować z Ryszardem. By ukryć swój niepokój, zaczął przesiewać drobiny piasku między palcami. Gdyby nie złożył przysięgi, że będzie posłuszny królowi, Ryszard nigdy nie opuściłby swego namiotu.

Król szedł jednak za głosem własnych zachcianek, nie zważając na to, co radzili mu jego rycerze. Mark brał co wieczór udział w hałaśliwych posiedzeniach rady królewskiej, ale sam milczał, chyba że Ryszard zapytał go osobiście o zdanie. Zresztą później i tak robił swoje, jakby zupełnie go nie słuchał...

Oczywiście, król nie mógł się mylić. Zresztą krwawą wojnę, którą prowadził, można było uznać za sukces. Niektórzy traktowali go niczym boga i prawdziwego pogromcę niewiernych. Zwłaszcza ci, którzy pozostali w Europie. Dla nich wojna była czymś niejasnym, co mierzyło się jedynie liczbą zwycięstw nad niewiernymi.

Mark spojrział w stronę cienia, gdzie spoczywał Ryszard. Plan wyjazdu wydawał mu się w tej chwili pomysłem zupełnie bezsensownym, poczętym w trawionym gorączką umyśle.

Nagły krzyk wyrwał go z zamyślenia. Jego „służący” wybiegł z bramy prowadzącej do wioski i zmierzał w ich stronę z taką prędkością, jakby go ścigały furie. Chłopak znów krzyknął, a po chwili pojawiło się za nim dwóch, nie, trzech kupców.

- Złodziej! - zaczęli krzyczeć. - Zatrzymać go!

Chłopak podbiegł do gaju oliwnego i zdyszany zatrzymał się przed swym panem i mnichem. Przez chwilę się wahał, a potem padł na kolana i wpełzł szybko pod obszerny mnisi habit.

W tym momencie podbiegł do nich pierwszy z kupców. Był zziębnięty, ale jego oczy płonęły gniewem.

- Widzieliście tego chłopaka? - spytał po arabsku.

- Chłopaka? Chudego, w turbanie? - zapytał leniwie Mark. - Przebiegał tędy przed chwilą.

- Tak, właśnie! - wykrzyknął kupiec. - Ukradł mi bochenek chleba!

- A mnie gomułkę sera! - dodał drugi, który przybiegł parę sekund później i wciąż nie mógł złapać oddechu.

Trzeci z kupców, gruby i bogato odziany, dopiero nadciągał.

- Chłopiec uciekł między drzewa - powiedział Mark, wciąż bawiąc się piaskiem. - Pewnie jest już po tamtej stronie wzgórza.

Pierwszy z kupców zaklął siarczyście pod nosem. Mark zrozumiał, czym groził chłopakowi, ale się nie uśmiechnął. Trzeci kupiec dołączył do pozostałych.

- Chodźmy - powiedział. - Zaczaimy się na niego przy drodze.

Jednak ten, który przybiegł drugi, wysoki i ponury, patrzył podejrzliwie na Marka i Ryszarda, a także na ich wierzchowce. W końcu zbliżył się wolno do mnicha i dotknął go swoim butem.

## *Rozdział czwarty*

Król Ryszard uniósł się lekko na łokciu, a potem pobożnie się przeżegnał.

- Tak, synu? - zwrócił się do kupca. - Czy chcesz się wyspowiadać?

Kupiec ze zdziwienia zamrugnął oczami. Nie bardzo wiedział, jak się w tej chwili zachować.

- *Allahu alukhaim.*

- Nie ma innego Boga poza Allachem - przetłumaczył Mark.

Mężczyzna wycofał się, a potem podążył za swoimi ziomkami.

Kiedy zniknęli im z oczu, Mark zwrócił się w stronę habitu:

- Możesz już wyjść, chłopcze. Jesteś bezpieczny.

Habit zadrżał, a po chwili wynurzył się z niego potargany, ale uśmiechnięty chłopak.

- Dziękuję, panie.

Poprawił ubranie i wyjął zza pazuchy bochenek chleba, gomółkę sera i zawiniątko z wonnymi przyprawami, które włożył do skórzanego mieszka u swego pasa.

- Aha, więc na dodatek jesteś złodziejem - rzekł Mark z naganą w głosie.

- Nie, panie. - Chłopak uśmiechnął się rozbrajająco. - Powiedziałbym raczej, że potrafię zręcznie pożyczyć wszystko, czego mi trzeba.

Ryszard zaśmiał się głośno.

- Widzę, że oprócz zręczności palców nie brakuje ci też zręczności w języku - rzekł. - Powinniśmy być wdzięczni Bogu za takiego służącego, de Valery. - Król poklepał chłopaka po wystających łopatkach. - Możesz jechać ze mną - powiedział łaskawie.

Chłopak pobladł.

Mark spojrzał na Ryszarda i z kolei to on się roześmiał. Doskonale wiedział, co królowi chodzi po głowie. Chłopak szybko włożył chleb i ser do juków Jupitera, po czym sam wsiadł na konia, czekając na Marka.

- Dokąd teraz jedziemy, panie?



Mark z westchnieniem dosiadł konia i wskazał ręką na południe.

- Tam. W stronę morza.

- Ach tak - szepnął chłopak i cały zadrżał.

Ryszard dosiadł swego wierzchowca. Po chwili i on był gotowy do drogi.

- I módl się, żeby czekał tam na nas jakiś wolny statek.

Statek?! Soraya omal nie jęknęła na dźwięk tego słowa. Statek, który kołysał się na wodzie, z brudną załogą przypominającą stado padlinożerców! Nagle poczuła, że krew ścina jej się w żyłach. Zaczęła się modlić o to, by nie czekał na nich żaden statek.

Niewielu rzeczy się bała, ale na myśl o morskiej wyprawie robiło jej się niedobrze. Pamiętała jak przez mgłę taką podróż i to wspomnienie sprawiało, że strach łapał ją za gardło swoją kościstą dłonią. Żołądek jej się wywracał, gdy pomyślała, że mogłaby stanąć na pokładzie statku.

Nagle dotarło też do niej, że coraz bardziej oddala się od Jerozolimy i króla. A przecież powinna wypełnić swoją misję.

Musi znaleźć sposób, by odebrać sztylet i jak najszybciej zakończyć nędzne życie Normana. Spojrzała na pochwę, wiszącą u pasa rycerza. A może udałoby jej się wyciągnąć miecz? Tak, to dobry pomysł. Może nawet zrobi to w czasie następnego postoju. Poprosi o łyk wody, aby odwrócić uwagę obu mężczyzn od broni, a wtedy... wystarczy jeden skok, by dopaść miecza. Kiedy już go zdobędzie, rycerz będzie praktycznie bezbronny. Może też zrobić to wtedy, kiedy będą zajęci piciem...

Nagle usłyszała za sobą baryton mnicha:

- Popatrz tam, de Valery.
- Tak, widzę - odparł zagadnięty.

Soraya wychyliła się zza rycerza i wyciągnęła szyję, by sprawdzić, o czym mówią, ale widziała przed sobą jedynie piasek. Dopiero kiedy dotarli na szczyt wzgórza, poczuła na twarzy mokre uderzenie wiatru i zobaczyła błękitne wody zatoki. Były gładkie i lśniły tak mocno, że nie można się było długo w nie wpatrywać.

Soraya zmrużyła oczy i odwróciła je na chwilę od zatoki.

Kiedy ponownie skierowała wzrok w tamtą stronę, dostrzegła ciemne sylwetki na tle wód i białe maszty, które dumnie wskazywały niebo. Żaglowce! Dobry Boże! Nie przypuszczała, że może ich być aż tyle. Były tam łodzie rybackie, barki do przewozu towarów, niewielkie arabskie łódki, a także statki z rzędami wiosł i wielkimi żaglami.

Soraya poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Ponownie spojrzała w stronę pochwy, w której tkwił miecz. Miała go naprawdę blisko. Gdyby tylko mogła swobodnie po niego sięgnąć...Koń zatrzymał się nagle.

- Zsiadaj, chłopcze.

Soraya ześlizgnęła się z konia tak szybko, że straciła równowagę i upadła na kolana. Zacisnęła usta, słysząc śmiech zakonnika, i właśnie zaczęła się podnosić, kiedy rycerz chwycił ją za koszulę i postawił na równe nogi. Stali tak blisko siebie, że widziała krople potu na jego górnej wardze.

Mężczyzna spojrzał na bukłaki, w których była resztką wody.

Poczuła, że wreszcie nadarza jej się sposobność do działania. I kiedy rycerz obrócił się w lewo, w ogóle na nią nie patrząc, postąpiła krok w stronę jego prawego boku.

Dzięki Bogu, nie musiała wyjmować ciężkiego miecza z pochwy. Rycerz schylił się i miecz sam się wysunął; wystarczył tylko lekki ruch i znalazł się w jej ręce. W tej chwili mężczyzna obrócił się w jej stronę, by coś powiedzieć, nie zważając na to, że został bez broni.

Głupiec!

Soraya wzięła miecz w obie dłonie i uniosła go wysoko. Do Ucha, był naprawdę ciężki. Z trudem go trzymała. Jak ci Normanowie w ogóle mogą walczyć?!

Teraz musi zadać ostateczny cios. Wystarczy, że opuści miecz na jego głowę, a rozłupie ją na dwoje. Zebrała siły, starając się nie myśleć o pełnych zdziwienia błękitnych oczach, które się w nią intensywnie wpatrywały.

Z trudem uniosła miecz nad głowę, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu.

## Rozdział piąty

Pierwszą rzeczą, jaka do niej dotarła, był śmiech. Soraya otworzyła oczy. Obaj krzyżowcy śmiali się tak, że łzy ciekły im po policzkach.

Ale co ona sama robi na ziemi?

Miecz leżał pod dziwnym kątem nieco dalej, tak że nie mogła go dosięgnąć. Czyżby zemdląła po zadaniu ciosu? Nie, z całą pewnością tak się nie stało. Kobiety w haremie nauczyły ją, jak zapanować nad omdleniem. Ale co wobec tego robi na ziemi? Czyżby to było już tak dawno, że zapomniała, co jej mówiły i jednak straciła przytomność?

Uniosła się na łokciu i splunęła śliną zmieszaną z kurzem. Czuła się w tej chwili naprawdę podle.

- Co się stało? - spytała, czując, że ma zeszywniały język.

- Coś, czego się z pewnością nie spodziewałeś - odparł mnich i znowu się zaśmiał. - Dawno się tak nie ubawiłem!

Nie ubawił się? Soraya popatrzyła na obu mężczyzn i dopiero teraz dotarło do niej, że jednak nie zabiła rycerza. Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Przecież doskonale pamiętała, jak uniosła miecz wysoko nad głowę.

Był ciężki, bardzo ciężki. Musiała więc wyteńczyć siły... I co dalej?

Rycerz pochylił się i pociągnął ją za ramię do góry, niemal unosząc ją w powietrzu.

- No a jak myślisz, co się mogło stać? - mruknął. - Miecz cię

przeważył i upadł do tyłu, głupcze.

Patrzył na nią gniewnie. Nawet jeśli śmiał się parę minut wcześniej, to teraz wcale nie był rozbawiony. Sorayę przeszył zimny dreszcz i z trudem przełknęła ślinę.

- Zaraz wszystko wyjaśnię... - zaczęła.
- Nie musisz.
- Ale ja...
- Przecież doskonale było widać, co chcesz zrobić - warknął

rycerz.

- Jednak...
- Cisza!

Soraya skurczyła się i odsunęła od obu mężczyzn. Głos rycerza rozbrzmiewał w jej uszach niczym huk gromu.

- Daj mu spokój, Mark - zakonnik włączył się do rozmowy.
- Przecież widziałeś, że jest niegroźny. A być może lepiej radzi

sobie z chochlą niż z bronią.

- O tak, panie! - Soraya uznała to za ostatnią deskę ratunku.
- Potrafię nie tylko gotować, ale umiem też mieszać zioła tak,

żeby ulżyć wam w waszej gorączce. - Z trudem powstrzymała uśmiech. - Musiałbym tylko wybrać się na bazar.

Mnich przyglądał jej się uważnie przez jakiś czas. Doskonale wiedziała, że jej nie ufa, ale w jego oczach nie było strachu.

- No dobrze - powiedział w końcu. Rycerz potrząsnął głową.
- Ależ pa...
- Co tam, de Valery? - spytał mnich.

- Mój pa... bracie, przecież to niebezpieczne. Zakonnik machnął ręką.

- Wygląda na to, że ten chłopiec chce zabić ciebie, a nie mnie - zauważył. - Poza tym sam widziałeś, że jest niegroźny.

Rycerz przystąpił do mnicha i zaczął coś mu wyklądać przyciszonym głosem, ale tamten wciąż kręcił głową.

- Nie, niech zostanie - odezwał się w końcu nieco głośniejszym głosem, a potem dodał ze śmiechem: - Nakazuję to w imieniu Boga!

Rycerz zacisnął wargi i spojrzał niechętnie na Sorayę. Po chwili zebrał się jednak i ruszyli przed siebie w stronę zatoki. Jej wody połyskiwały złowrogo, ale Soraya starała się o tym nie myśleć.

- Teraz, chłopcze, mamy tylko jeden problem - odezwał się mnich, który chyba wciąż był w doskonałym nastroju. - Musimy sprawdzić, czy przydasz się nam na morzu.

Zgodnie z tym, co powiedział Ryszard, kiedy zdradził mu szczegóły swego planu, statek czekał na nich w zatoce. Był to statek handlowy z Genui. Mark patrzył na niego, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Spodziewał się przecież, że umrze gdzieś na pustyni w Syrii, a teraz miał płynąć do domu. Statek, który kołysał się delikatnie na wodach zatoki, wydawał mu się zjawiskiem ze snu, Czymś tak nierzeczywistym, że bał się nawet wierzyć w jego prawdziwość.

Patrzył tak długo, aż zaczęły mu łzawić oczy. Nareszcie będzie mógł uciec z piekła pustyni do pokrytych wrzosem gór Szkocji. Jeszcze raz zobaczy swoją matkę. A jeśli Bóg oszczędził jego brata Henry'ego

przed ciosami niewiernych, będzie mógł też cieszyć się towarzystwem jego i jego synów.

Henry, jako najstarszy z synów, miał przejąć zarządzanie majątkiem de Valerych. Mark nigdy mu tego nie zazdrościł.

Nie był taki jak inni młodszy synowie, którzy pragnęli bogactw i tytułów. Lata spędzone na wyprawach krzyżowych nauczyły go, że życie jest cenniejsze niż wszelkie zaszczyty czy pieniądze.

Kochał swego brata. Podziwiał go za jego prawość i męstwo. Obu braci łączyła więź, której nie była w stanie pojąć żadna kobieta, a już z pewnością nie Jehanne, która czekała na Marka w zamku Rossmorven. Zaręczyli się zgodnie z wolą rodziców jeszcze przed jego wyjazdem, a po powrocie mieli się pobrać i żyć w szczęśliwym związku.

Mark już myślał, że moment powrotu nigdy nie nadejdzie. Że już nigdy nie zdoła uleczyć swojej zranionej duszy na zielonych wzgórzach Szkocji. Cóż, dom był tak daleko, a on za dużo przeżył, by o nim myśleć.

Nagle drgnął, gdyż dotarło do niego, że Ryszard coś mówi.

- De Valery?

- Tak... bracie?

Ryszard chrząknął i powtórzył to, co przed chwilą powiedział:

- Nie będziemy czekać na nadejście nocy, tylko zaokrętuujemy się już teraz. - Król dźgnął swego wierzchowca ostrogami i skierował go w dół, ku wodom zatoki. - I nie zapomnij o chłopaku.

Ten jednak wyglądał na wystraszonego. Cały drżał i kulił się.

- Co, panie? Na statek? Ja... ja nie mogę.

Mark spojrzał na niego ze zdziwieniem. Chłopak nie udawał strachu. Był blady jak śmierć.

Ryszard wstrzymał konia i obrócił się w siodle.

- No, co tam, chłopcze? Co się dzieje?

Soraya cała zeszywniała. Pragnęła pomścić Khalila i zabić rycerza, ale cena, jaką miała za to zapłacić, wydawała jej się zbyt wysoka. Zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę.

- No, zbieraj się - poganiał ją mnich władcym tonem. - Rób, co ci każe.

Jej myśli rozpiezchły się niczym spłoszone ptactwo. Nie miała pojęcia, co ma teraz zrobić. Wiedziała tylko, że jeśli chce dotrzymać przysięgi, musi wejść na statek.

Po chwili dotarli do portu. Statek miał spuszczoney trap, po którym wszedł hałaśliwie na pokład mnich wraz ze swoim wierzchowcem. Norman również zsiadł z konia, zdjął z niego Sorayę, posłał jej pełne pogardy spojrzenie i ruszył na statek. Patrzyła za nim pobladła, nie mogąc się zdecydować. Po chwili zauważyła dwóch marynarzy, którzy zaczęli odwiązywać cumy. Inni chwycili za wiosła, by odbić od brzegu. Kolejni dwaj marynarze podeszli do szerokiego trapu.

Musiała się zdecydować. Inaczej nie spełni przysięgi.

Trap już był podniesiony, ale Soraya skoczyła, licząc na to, że chwyci się burty. Jednak jej palce ześlizgnęły się po gładkim i mokrym drewnie. Po chwili poczuła, jak zamyka się nad nią woda. A więc tak



miała zginać? Czyżby jej dusza miała być na wieki potępiona? Odbiła się od dna i wynurzyła na powierzchnię, łapiąc oddech. Jej ręce młóciły bezradnie wodę.

- *Vite! Vite!* - krzyknął jeden z marynarzy.

Zobaczyła, że ktoś rzucił jej linę. Miała ją teraz w rękach i chwyciła mocno, żeby jej nie puścić. Poczowała, że jej ciało ociera się o śliską burtę i po chwili była już na pokładzie. Leżała, próbując złapać powietrze, niczym wyrzucona na piasek ryba. Jakiś mężczyzna o ciemnej karnacji kopnął ją w żebra tak, że krzyknęła. Tamten nie zważał na nią, tylko zaczął coś krzyczeć w niezrozumiałym języku.

W tej chwili podszedł do nich mnich i zwrócił się do marynarza w jego języku, a następnie powiedział do niej po angielsku:

- No chodź, to nie twoja wina.

Przeszła na czworakach do zakonnika i dopiero wtedy się wyprostowała. Jednak rycerz wziął ją za ramię i pociągnął gdzieś na bok. Soraya stłumiła kolejny krzyk. Bała się, że teraz ją zabije. Przecież chciał, żeby utonąła, a uratowała się tylko dzięki interwencji mnicha. Patrzyła na Normana w niemym przerażeniu, czując, że oczy pieką ją od słonej wody.

Rycerz i mnich wymienili spojrzenia, po czym ten pierwszy odepchnął ją na bok. Soraya poczuła ból żeber i jęknęła głucho.

- Nie zabijaj mnie - poprosiła. - Jestem tylko marnym bożym stworzeniem i...

- Cicho! - warknął rycerz. - Na statku masz być cicho i usuwać się z drogi. Najlepiej zrobisz, jeśli będziesz trzymać się ode

mnie z daleka. Wiesz, że ci nie ufam. Jego też powinieneś unikać -  
dodał ciszej i wskazał wzrokiem mnicha.

- Tak, panie, spełnię wszystkie twoje rozkazy.

- Kłamiesz - rzekł, krzywiąc się. - Poza tym nie potrzebuję  
służącego. Zwłaszcza takiego, który już dwa razy próbował mnie zabić.

A on też nie potrzebuje chłopca... - Znowu spojrzał na mnicha. -

Rozumiesz?

Soraya aż otworzyła usta ze zdumienia. Nic nie rozumiała, czuła  
jednak, że chce ją ostrzec przed jakimś niebezpieczeństwem. Ale  
dlaczego się nią przejmował? Przecież wiedział, że jest jego wrogiem.

Poczuła kołysanie statku. Powoli wypływali ze spokojnych wód  
zatoki. Nagle zrobiło się jej niedobrze. Przestała zwracać uwagę na  
rycerza. Doskonale wiedziała, co się za chwilę stanie i w geście  
rozpaczy przywarła do burty.

## *Rozdział szósty*

Mark poczuł, jak statek zadrżał pod jego stopami. Dwa przywiązane do głównego masztu konie przestąpiły parę razy niespokojnie z nogi na nogę, by odzyskać równowagę. Mark pogładził łagodnie Jupitera po szyi i mocniej zacisnął pęta, żeby koń się nie zranił.

Marynarze zaczęli rozwijać pojedynczy wielki żagiel. Po obu stronach pokładu słychać było pokrzykiwania wioślarzy. Statek ciął fale niczym nóż dojrzały melon.

Ryszard leżał na rufie na posłaniu zrobionym z jutowych worków, które czuć było zgniłymi owocami. Musiał dojść do siebie po podróży. Nie była ona zbyt uciążliwa, ale przecież wciąż trawiła go gorączka.

- Przestań ciągle chodzić i trochę odpocznij, de Valery.
- Nie spocznę, póki z bożą pomocą nie dotrzemy do Cypru - odparł tamten.
- Templariusze na pewno przyjmą nas na spoczynek - zapewnił go król i uśmiechnął się szeroko. - Zwłaszcza kiedy dowiedzą się, do kogo teraz należy ich wyspa.

Mark już to wiedział. Ryszard najechał Cypr po drodze do Jerozolimy, zdobywając fortecę i biorąc w posiadanie winnice. Król brał wszystko, czego potrzebował.

- Dlaczego kontrola nad tą wyspą jest tak ważna, naj... bracie?

Ryszard spojrział w stronę służącego, który siedział poblady przy misce z ziołami i butelce wina.

- Mam swoje powody - mruknął.

Mark skinął głową. Król nigdy nie robił niczego bez powodu. A kiedy wspierała go królowa Eleonora, był praktycznie nie do pokonania. Nawet Jan, jego brat, bardzo się go bał. I dopiero gdy Ryszard długo nie wracał z wyprawy krzyżowej, wyciągnął chciwie rękę po angielską koronę. Teraz Ryszard musiał go powstrzymać.

Służący wstał gwałtownie i raz jeszcze podbiegł do burty. Mark poczuł, że ściska mu się żołądek, kiedy usłyszał, jak wymiotuje. W końcu chłopak wytarł usta rękawem i podszedł do swoich panów. Zwoje jego turbanu się rozluźniły, a spod nich wymknęły się ciemne włosy i przywarły do spoconego czoła.

Ryszard podniósł się z pośłania i poklepał go po plecach.

- Co, nie minęła ci jeszcze morska choroba? Chłopak pokręcił głową. Wyglądał w tej chwili żałośnie.

- Nie, panie. Morze wyraźnie mi nie służy. Zaraz przyniosę zioła...

Nie spieszył się jednak. Prawdę mówiąc, poruszał się jak mucha w smole. Ale przyniósł Ryszardowi zioła i zapewnił go, że mu się po nich poprawi.

- Dziękuję, chłopcze. Jestem twoim dłużnikiem. Mark skrzywił się cierpko.

- Na twoim miejscu, bracie, uważałbym na te zioła.

- Nie żartuj, de Valery. To już trzecia porcja i chyba naprawdę

mi się poprawia - powiedział król.

Rzeczywiście sprawiał wrażenie silniejszego. Powoli zaczęła też ustępować gorączka, bo miał wyraźnie mniej czerwone policzki.

Zmieszane z winem zioła musiały mu jednak służyć. Wyglądało na to, że Soray wie, co robi.

- Tak, chłopak chyba naprawdę zna się na ziołach - przyznał niechętnie Mark. - Poza tym masz rację, bracie, on chce zabić mnie, a nie ciebie. Zdaje się, że go polubiłeś...

- A tak, chcę, żeby był przy mnie.

Mark przełknął ślinę, słysząc te słowa. Sam nie wiedział, dlaczego chce chronić tego złodziejaska i zabójcę, ale coś mu podpowiadało, że nie powinien go narażać na niebezpieczeństwo. Czuł się z nim dziwnie związany. Było to niezwykle, zważywszy to, co między nimi zaszło.

- Pamiętaj, bracie, że ten chłopak jest moim służącym, a nie twoim - przypomniał królowi. - Jeśli przestanie dybać na moje życie, może mi się nawet przydać.

- Jesteś bezczelny, de Valery.

- Tylko szczery. - Mark położył się na swoim posłaniu. - To przecież nic nowego.

Król spojrzął na niego raz jeszcze, ale nic nie powiedział. Słońce zaczęło czerwienić i powoli chyliło się ku zachodowi. Chłopak sprawiał wrażenie, jakby chciał do nich podejść, ale po chwili ponownie pomknął do burty, z którą się niemal nie rozstawał.

Wyglądało na to, że nie zna ziół, które pomogłyby mu zwalczyć skutki

morskiej choroby.

- Po dotarciu na Cypr mogliśmy go przekazać templariuszom
- zauważył Ryszard, przypatrując się przyklejonemu do burty chłopakowi.

Mark pozostawił te słowa bez komentarza.

- Dobry zielarz przyda się w każdej warowni - dodał król. To była prawda. Mark zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem sięgnął do torby po chleb i ser. Niech Bogu będą dzięki za to jedzenie, pomyślał, starając się zapomnieć o tym, jak weszli w jego posiadanie. Zaczął kroić ser, spoglądając co jakiś czas w stronę chłopaka. Pewnie ma już zupełnie pusty żołądek i teraz działa jedynie odruch wymiotny.

Powoli zaczął ich okrywać zmrok, ale służącemu się nie poprawiało. Zapłacił z nawiązką za swoje grzechy. Markowi zrobiło się go nawet żal.

- Mówiłeś kiedyś, że też miałeś chorobę morską, de Valery - zauważył król. - Zdaje się, że w dzieciństwie, w zatoce Dornoch.

Mark spojrzał na monarchę, zdziwiony, że o tym pamięta. Jednocześnie żołądek ścisnął mu się na to wspomnienie. Stały mu przed oczami wzburzone fale, którymi powitało ich wówczas morze.

- To prawda - przyznał. - Płynęliśmy wtedy do Francji do ojca chrzestnego i wuj powiedział, że jestem zielony jak wodorosty. Aż boję się o tym myśleć.

Ryszard zaśmiał się cicho.

- No, przynajmniej możesz dziś spać bezpiecznie. Nie sędzę, by ten chłopak chciał ci zrobić coś złego.

- Tak, to prawda.

- Jutro jednak, kiedy wydobrzeje, będę go potrzebował. Mark zamrugał oczami, ale nic nie odpowiedział. Wiedział, że ma do czynienia z królem, a z drugiej strony czuł się odpowiedzialny za chłopca. W jego zielonych oczach było coś bezbronnego i niewinnego. Coś, co go pociągało.

Soraya ścisnęła reling tak mocno, że palce zupełnie jej zeszywniały. Od samego zgniłego zapachu morza robiło jej się niedobrze, a kołysanie fal było wprost nie do zniesienia. Bez przerwy kręciło jej się w głowie. Pomyślała, że zaczeka jeszcze chwilę i sprawdzi, czy może chodzić.

Zakonnik spał głęboko, jego oddech był spokojny i wyrównany, jakby już opuściła go gorączka. Cytryna i tymianek, które mu zaaplikowała wraz z winem, zadziałały bardzo szybko. Rycerz, którego mnich nazywał de Valery, leżał nieco dalej i trudno jej było powiedzieć, czy już zasnął.

Przez chwilę wsłuchiwała się w plusk fal. Czuła ból w piersi i w żołądku. Była osłabiona i wiedziała, że nie zdoła nic zrobić, dopóki nie dotrą na Cypr. Dopiero na stałym lądzie będzie mogła odzyskać swój sztylet i spełnić przysięgę. A potem będzie musiała pomyśleć o drodze powrotnej... Wiedziała, że na Cyprze ludzie mówią jej językiem, a także po francusku i angielsku. Czasami zastanawiała się, czy Khalil nie kupił jej właśnie dlatego, że władała paroma językami i szybko uczyła się nowych. Z całą pewnością nie zrobił tego dla jej urody, gdyż była wtedy chudym podrostkiem i bardziej przypominała chłopca niż

dziewczyne.

Wolno puściła reling i przeszła parę kroków przy burcie. Od razu poczuła, że jest jej lepiej. Gdyby dotarła do zakonnika, mogłaby spocząć obok niego i trochę odpocząć. Bała się, że jeśli położy się na twardych deskach, następnego dnia będą ją bolały kości. Po latach spędzonych w zenanie nie czuła się zbyt pewnie w towarzystwie mężczyzn, ale nie sądziła, by stary mnich mógł jej zrobić coś złego.

Niestety, nie mogła powiedzieć tego samego o de Valerym.

Ruszyła więc w stronę mnicha, kiedy znowu dopadło ją niemiłe uczucie, że coś się dzieje z jej żołądkiem. Poczowała w ustach gorzką ślinę i obróciła się w stronę relingu. Próbowwała jednak zapanować nad sobą i oddychać spokojnie przez nos. Po chwili znowu ruszyła w stronę mnicha, ale zawahała się, przypomniawszy sobie słowa rycerza.

Nie, to nie miało sensu. Postanowiła się jednak położyć między nimi. Kto wie, może na tyle dojdzie do siebie, że zdoła się zemścić. Po paru krokach opadła na pokład i resztę drogi pokonałam czworaka. W końcu dotarła do posłania i stwierdziła, że de Valery również śpi głęboko, znużony trudami całego dnia. W mroku zauważyła cień sztyletu, po który mogła teraz sięgnąć. Gdyby tylko znalazła w sobie dość siły...

Przysunęła się bliżej rycerza i położyła dłoń na jego koszuli. Poczowała ciepło jego ciała, które już za chwilę mogło zacząć stygnąć. Przesunęła dłoń w stronę pasa, za który miał zatknięty sztylet. Zaczęła się modlić, żeby wreszcie się jej udało.

W końcu poczuła pod palcami rękojeść sztyletu. Pieściła ją przez



chwile, a potem wysunęła wolno sztylet z za pasa. Popatrzyła na szyję de Valery'ego i sprawdziła ostrze palcem. Było ostre, bardzo ostre, tak jak pamiętała. Zaczęła się zastanawiać, czy wbić je w brzuch rycerza, czy jednak poderżnąć mu gardło, jak to początkowo zamierzała.

Rycerz poruszył się niespokojnie, a ona przysunęła się bliżej jego szyi. To był pewniejszy sposób.

Serce biło jej coraz mocniej, Wpatrywała się w grdykę mężczyzny, poruszającą się przy każdym oddechu. To był puls życia, który mógł za chwilę ustać. Odsunęła się jeszcze trochę, żeby wziąć większy zamach.

Nagle mięśnie jej zeszywniały. Trwała z ostrzem wzniesionym do ciosu i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że nie może się ruszyć. Jakaś nieziemska siła powstrzymała jej ruchy. O Boże, przemknęło jej przez głowę, nie mogę go zabić!

Patrzyła z niemym strachem na wzniesione ostrze. Po zabiciu rycerza mogła po prostu schować sztylet. Wystarczyło tylko przesunąć ostrzem po gardle śpiącego.

Ona jednak nie mogła tego zrobić.

Zamknęła oczy, myśląc z obrzydzeniem, że jest strasznym tchórzem. Nie potrafiła znieść tego wstydu. Obróciła ostrzew swoją stronę, przysunęła je wolno do swego ciała, aż poczuła je na piersi. Jeśli nie on, to ja, pomyślała.

Wzięła głęboki oddech, a potem wydała cichy jęk.

Teraz, pomyślała.

Jednak w tym momencie rycerz, który musiał zbudzić się chwilę

wcześniej, wytrącił jej sztylet z dłoni.

- Co robisz, głupcze?! - syknął.

- Złożyłem przysięgę i jej nie dotrzymałem! - jęknęła Soraya.

- Przysięgę? Myślisz, że Allah rzeczywiście chce, żebyś popełnił śmiertelny grzech?

- Nie przysięgałem Allahowi. Jestem chrześcijaninem.

- Chrześcijaninem? - powtórzył zdziwiony. - Wobec tego grzech byłby tym większy.

Soraya kołysała się tam i z powrotem. Rycerz zapewne sądził, że zamierzała jedynie popełnić samobójstwo. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wcześniej chciała zabić jego.

De Valery uniósł się na łokciu, wciąż trzymając ją za nadgarstek. Wcale nie miał zamiaru jej puścić.

- Sądzisz, że Boga obchodzi to, czy żyjesz? Co osiągniesz, odbierając sobie życie? Honor? Bogactwo? Myślisz, że ktoś upamiętni twoją śmierć w księgach?

- Zyskam szacunek dla samego siebie - odpowiedziała drżącym głosem, starając się nie rozplakać.

Rycerz splunął, słysząc te słowa. Przy świetle gwiazd i księżyca widziała, że ma zmęczoną twarz, a jego oczy tym razem wydawały się matowe i pozbawione życia.

- Szacunek dla samego siebie!

Soraya zacisnęła usta, żeby powstrzymać łkanie. Cała drżała, jakby trawiła ją gorączka.

Spuściła głowę, czując, że łzy zaczynają jej płynąć po policzkach.

Sama nie wiedziała, co teraz zrobi. De Valery puścił ją, a ona opadła bezsilna na posłanie. Westchnął głęboko, a potem wyciągnął do niej ramię.

- No chodź, biedactwo - powiedział z prawdziwym współczuciem w głosie.

Przesunęła się, by się do niego przytulić. Wstyd sprawił, że w ogóle nie było jej w tej chwili niedobrze, ale nie czuła się z tym lepiej. Męczyło ją co innego. Czuła się winna wobec wuja i Saladyna.

Rycerz położył dłoń na jej barku.

- No, nie płacz. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Soraya zamknęła oczy. Wokół unosił się zapach potu i konia, a także delikatna woń cynamonu.

Poczuła żar ogarniający jej ciało. Pragnęła mieć go blisko, jak najbliżej. Nigdy wcześniej nie była tak podniecona i sama nie wiedziała, co z tym zrobić.

Nagle zesztyniała. De Valery był przecież mężczyzną. W dodatku Normanem.

Odsunęła się od niego, czując, że serce tłucze się w jej piersi jak dziki ptak w klatce. Popatrzyła jeszcze na jego widoczną w mroku twarz.

- Boisz się mnie? - spytał zdziwiony.

- Nie, panie. Naprawdę.

- Nie musisz. Na pewno cię nie skrzywdzę. Chyba że będę musiał się bronić - dodał po chwili.

- To nie dlatego...

Nie mogła jednak wyjaśnić, o co jej chodzi. Czuła, że rycerz stanowi dla niej prawdziwe zagrożenie. Pociągał ją w jakiś dziwny, niezrozumiały sposób.

## *Rozdział siódmy*

Kiedy wreszcie statek dotarł do Pafos na zachodnim wybrzeżu Cypru, Soraya z trudem utrzymywała się na nogach. Była wymęczona morską chorobą, zasmucona śmiercią Khalila i wciąż wstydziła się tego, że nie zdołała zabić de Valery'ego. Dlatego unikała ludzi i przywarłszy do relingu, obserwowała to, co działo się na nadbrzeżu.

Kupcy z Genui kłócili się z kapitanami statków i dostawcami żywności, templariusze w płaszczach z krzyżami zerkali ukradkiem na kobiety, które przechadzały się koło portu z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Soraya wiedziała, że to hurysy. Hałas i nieprzyjemne zapachy sprawiały, że bolała ją głowa. Chętnie zeszlaby już ze statku, ale bała się kłębiącego się przed nią tłumu.

- No już, ruszaj się - powiedział do niej de Valery, który prowadził swego wierzchowca do drewnianego trapu. - Na lądzie szybciej dojdiesz do siebie. Czeka nas przecież kolacja.

Soraya złapała się za gardło. Wzmianka o jedzeniu spowodowała, że zrobiło jej się niedobrze. Wcale nie miała ochoty na posiłek. Najchętniej zwinęłaby się w tej chwili w kłębek i umarła.

- Pospiesz się, Soray - powtórzył rycerz.

Chociaż chciała, nie mogła puścić się relingu. Spojrzała w stronę otwartego morza i zadrżała. Wiedziała, że człowiek, który wysłał wiadomość, nie zniósłby tego, gdyby wpadła ona w niepowołane ręce. Kto wie, może nawet w tej chwili wysłał kogoś, żeby poderznął jej gardło.

Nie, nie mogła wrócić do Palestyny.

Wciągnęła głębiej do płuc przesycone zapachem ryb powietrze i znowu zrobiło jej się niedobrze.

- Soray! Co się z tobą dzieje?!

Słowa przebiły się jakoś przez mgłę, która ją otaczała.

- Tak, panie. Już idę - odpowiedziała słabym głosem.

Rycerz spojrział w jej stronę, zostawił konia pod opieką jednego z marynarzy, a ją samą niemal zaciągnął w stronę trapu. Następnie włożył jej w dłonie ogon zwierzęcia.

- Trzymaj się Jupitera - powiedział. - On ci pomoże.

Zrobiła krok do przodu i omal nie upadła. Na szczęście powstrzymał ją zad zwierzęcia, które jakimś cudem wcale jej nie kopnęło. W ten sposób, krok po kroku, udało jej się zejść ze statku. Towarzyszył jej cichy śmiech marynarzy i samego de Valery'ego.

A więc tak bardzo bawiło ich jej nieszczęście! Ten rycerz z pewnością nie byłby tak rozbawiony, gdyby spędził całą podróż przy burcie i gdyby jego żołądek wywrócił się na nice.

Soraya czuła, że kręci jej się w głowie i tylko ogon, który trzymała kurczowo, pozwalał jej posuwać się do przodu.

- Szybciej, chłopcze - powiedział de Valery. - Musimy na-  
dążyć za... bratem zakonnym.

Koń ruszył szybciej. Soraya próbowała przyspieszyć, ale omal się  
nie przewróciła. Spojrzała tęsknie w stronę siodła, a potem,  
powziąwszy decyzję, zdobyła się na skok i wczepiwszy się w grzywę  
zwierzęcia, zdołała się wspiąć na jego grzbiet.

- Do licha! - rzekł z podziwem rycerz. - Przypominasz górską  
kozicę!

- Nie, panie. Jestem po części lwicą. Natychmiast uświadomiła  
sobie swój błąd.

- Lwicą, a nie lwem?

- Nie znasz zwyczajów mego ludu, panie - rzuciła.

To był kolejny błąd. Służący nie powinien pozwalać sobie na  
tego rodzaju uwagi pod adresem swego pana. De Valey zmrużył swoje  
niebieskie oczy.

- To prawda - rzekł jadowitym tonem. - Nie przypuszczałem,  
że służący mogą być tak bezczelni.

Ich oczy się spotkały. Soraya próbowała spojrzeć gdzieś w bok,  
ale nie mogła. Miała wrażenie, że hałas i zgiełk portu zostały gdzieś za  
nimi i otoczył ich kokon ciszy.

- Przepraszam, panie. Nie chciałem...

Przed sobą mieli wielką fortecę z szarego kamienia z blankami i  
krenelażami oraz kwadratową wieżą. Musiał tu mieszkać jakiś wielki  
pan, który miał baczenie na wszystko, co działo się w porcie.

- Widzę więcej, niż ci się wydaje - mruknął rycerz. - Nie

wszystko jest takie, na jakie wygląda, a Saladyn jest mistrzem tego rodzaju sztuczek.

- Chrześcijanie też używają sztuczek.

- To prawda - przyznał z westchnieniem. - Widzę, że masz nie tylko cięty język, ale jesteś też inteligentny. Czy to możliwe, że byłeś tylko służącym swego wuja?

Koń skoczył w bok, chcąc uniknąć spotkania z melonem, który spadł z przejeżdżającego wozu. Znowu zrobiło jej się niedobrze i zakryła usta dłonią. Nie chciała odpowiadać na to pytanie i w tej chwili znalazła wymówkę.

- Czy widzisz zakonnika? - spytał rycerz.

- Tak, panie - odparła, wciąż trzymając dłoń przy ustach. -

Właśnie wsiadł na konia i ruszył w stronę fortecy.

- To dobrze. - Mark obawiał się, że Ryszard będzie szukał wiernych mu oddziałów, tymczasem wyglądało na to, że postanowił znaleźć schronienie. Trudniej z nim było dyskutować, gdy poczuł się lepiej, a przecież w mieście pełno było ludzi, którzy chętnie posłaliby go do innego, lepszego świata.

- Uważaj na niego, chłopcze - polecił służącemu. - To właśnie jeden z tych chrześcijan, którzy chętnie używają sztuczek.

- Tak, panie. Gdybyś dosiadł konia, łatwiej byłoby nam go dogonić.

- A czy ty wtedy poszedłbyś pieszo?

Soraya zamilkła. Wiedziała, że nie potrafiłaby nadążyć za koniem.

Mark wziął bukłak z wodą. Odkorkował go i pociągnął długi łyk, a następnie podał chłopcu.

- Nie mogę pić, panie. Boję się, że wszystko zwrócę.
- Powinieneś pić - stwierdził rycerz. - Inaczej umrzesz z pragnienia.

Soraya z wahaniem wypić kilka małych łyków i zwróciła bukłak. Niebawem zatrzymali się przed olbrzymią bramą z mostem zwodzonym, który bronił dostępu do fortecy. Z niewielkiego okienka przy moście dobiegł do nich głos:

- Kto chce wejść do twierdzy templariuszy?
- Przyjaciele - odparł Mark. - Szkocki rycerz i brat zakonny.
- Jak się nazywacie? - Strażnik wcale nie miał zamiaru od razu ich wpuścić.

- Mark de Valery... - Zawahał się. Jeśli król po wejściu do twierdzy ujawni, kim jest, on sam wyjdzie na kłamcę. - I pustelnik przybyły niedawno z Jerozolimy.

Ryszard próbował protestować. Wyprężył się dumnie i chciał zdjąć kaptur, ale Mark powstrzymał go gestem. Posłuchał go.

- Jeszcze czego, pustelnik - mruczał pod nosem. Soraya spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Więc on nie jest pustelnikiem? - spytała. - Myślałem, że jest jednym z wybrańców Boga.

- Za dużo myślisz - syknął Mark, a następnie spojrzał z niepokojem w stronę okienka. Ryszard nie tylko nie był wybrańcem Boga, ale też nie należał do ulubieńców rycerstwa z Francji i Niemiec.



- Tak, panie, to prawda - powiedziała Soraya. - Myślę o księżycu i gwiazdach, o pustyni i morskiej wodzie, o...

- Dosyć! Pomyśl lepiej o tym, co zrobimy, jeśli nas tu nie przyjmą. - Znowu spojrział w stronę okienka i powiedział głośniej: - Jesteśmy ludźmi bożymi. Prosimy o schronienie i pozwolenie, by wziąć udział we mszy świętej w kaplicy templariuszy.

- A więc chrześcijanie - rzekł strażnik. - Wschodniego czy zachodniego obrządku?

- Modlimy się po łacinie, a nie po grecku. Ryszard zaczął wykazywać oznaki zniecierpliwienia.

- Powiedz temu głupcowi, że żądamy, by nas wpuścił. Niech przekaże wielkiemu mistrzowi, że przybył pogromca...

Mark złapał monarchę za rękaw.

- Cicho!

Ryszard spojrział na niego złym wzrokiem i poczerwieniał.

- Za daleko się posuwasz, de Valery.

- Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo. Muszę cię chronić... bracie. Dlatego ja tutaj dowodzę.

Ryszard był odważny, ale też bardzo arogancki. Nic dziwnego, że Leopold go znenawidził.

- Ha! - wykrzyknął. - Nikt nie będzie mną dowodził!

- Dobrze, ale zechciej przynajmniej wysłuchać rady. Miód pochlebstw działa lepiej niż twarde żądania.

Ryszard spojrział na niego z ukosa. Wcale nie zamierzał być zbyt uległy. Jednak mina Marka spowodowała, że w końcu machnął ręką.

- Jak widzę, pszczoła ma też żądło. No dobrze, prowadź więc negocjacje, de Valery.

Jednak nie były one już konieczne. Usłyszeli zgrzyt żelaza i most powoli zaczął się opuszczać. Mark doskonale wiedział, że templariusze nie mają się czego obawiać ze strony dwóch wędrowców i chodziło tylko o to, by ich nie obrazić.

Król spojrział w jego stronę i pokiwał z uznaniem głową.

- Dobrze, tym razem twoje na wierzchu.

Mark z trudem powstrzymał przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Ryszard zachowywał się jak mały chłopiec. Nie potrafił dostrzec, iż obaj skorzystali. Jak to możliwe, że Anglia wytrzymała aż dwa pokolenia Plantagenetów?

Mark wprowadził Jupitera na solidne deski, przeszedł do środka i zaczął czekać, aż most zamknie się za nimi. Następnie poprowadził swego wierzchowca wzdłuż zewnętrznego muru. Ryszard szedł za nim, miłościwie milcząc, co stanowiło miłą odmianę.

Wkrótce poczuli zapach stajni, do której się skierowali. Mieli tam zostawić swoje wierzchowce. Tuż obok znajdowała się kuźnia, skąd dochodziły metaliczne odgłosy.

De Valery spojrział na Sorayę.

- I jak tam, chłopcze? Nie doszedłeś jeszcze do siebie?

- Nie, panie - odparła, czując, że bardzo chce jej się płakać.

Miała wrażenie, że już nigdy nie będzie się dobrze czuła. Zacisnęła jednak usta, nie chcąc okazywać słabości.

Mark zaczął się jej ciekawie przyglądać, ale w tym momencie z

wewnętrznej bramy wybiegło czterech giermków z lancami, a za nimi wyjechało czterech zbrojnych rycerzy.

- Co się dzieje? - Mark pociągnął swego konia w stronę nieuzbrojonego mnicha i położył dłoń na rękojeści miecza.

- Czekaj! - Mnich stanął w strzemionach i władczym gestem odrzucił do tyłu kaptur. Nie zachowywał się wcale jak sługa boży.

- Co za głupota - mruknął de Valery i spojrzał na niego złym wzrokiem.

- Jesteś gorszy niż Becket. Jak został arcybiskupem, zaczęło mu się wydawać, że jest równy władcy.

- Tak - rzekł de Valery. - Należy strzec się uczciwych ludzi.

- Na to wygląda. Uczciwy zrobi wszystko, by wypełnić swoje zadanie. Dobrze, wybaczam ci, de Valery.

Mark ponownie na niego spojrzał, ale nie odezwał się słowem. Wciąż trzymając dłoń na rękojeści miecza pozwolił, by templariusze utworzyli wokół nich eskortę. Jeden z rycerzy wskazał gestem, że mają zostawić swoje konie, po czym ruszyli do wewnętrznego zamku.

Ryszard zawahał się i spojrzał na Sorayę.

- Nie odsyłajcie naszego służącego do kuchni - powiedział. - Chłopak pójdzie z nami.

Soraya zauważyła, że de Valery zacisnął mocniej szczęki, ale powstrzymał się od komentarzy. Wyglądało na to, że mnich ma nad nim jakąś władzę i że rycerz ma go chronić, nie miała jednak pojęcia, co ich łączy.

Eskorta odprowadziła ich do wewnętrznego zamku. Mark

domyślił się, iż był to jedynie pokaz siły. Rycerze i giermkowie wkrótce ich opuścili, pokazując im dalszą drogę.

## *Rozdział ósmy*

Wewnątrz panował półmrok. Przeszli do wielkiej sali, w której rozbrzmiewało pobrzękiwanie kielichów i rozkazy wydawane służbie przez krzepkiego mężczyznę, siedzącego przy głównym stole. Po sali biegały psy, chwytając co jakiś czas kości i kawałki mięsa. Hałas był tak wielki, że Soraya zasłoniła sobie uszy. Czy ci templariusze nie mają dywanów i poduszek, na których można odpocząć? Żadnych tamburynów i lutni, które przyniosłyby ukojenie duszy?

Patrzyła jak de Valery i mnich podchodzą do głównego stołu. Posadzono ich po obu stronach jasnowłosego mężczyzny. Stała teraz sama w sali, która cuchnęła potem i winem, i wciąż było jej niedobrze. Najchętniej by sobie stąd poszła, ale wiedziała, że nie może tego zrobić.

- Hej ty! - krzyknął w jej stronę kostropaty młodzieniec. - Siadaj na końcu stołu dla służby! - Wskazał tył sali, gdzie znajdował się stół na krzyżakach, przy którym siedziało jeszcze paru młodych ludzi. Niektórzy z nich mieli na głowach turbany. Inni, z odsłoniętymi głowami, nosili zgrzebne, lniane koszule, które opadały im na pończochy.

- *Merci* – odparła.

Stół woniał tłuszczem i zwierzęcymi wnętrznościami, jakby przyniesiono go tu wprost z kuchni. Soraya panowała nad sobą przez chwilę, a potem wyrzuciła z siebie te resztki wody i żółci, które miała w żołądku. Nikt nie zwrócił na to uwagi. W zenanie natychmiast podano by jej mokrą szmatkę i mrożony sorbet, a niewolnicy sprzątnęliby podłogę. Tutaj psy szybko zajęły się tym, co jeszcze przed chwilą miała w żołądku.

Soraya spuściła głowę na dłonie i siedziała bez ruchu. Modliła się, by Bóg pozwolił jej przetrwać te męczarnie. Nie wiedziała, jak długo jeszcze potrwają, ale miała nadzieję, że wkrótce się skończą i wreszcie poczuje się normalnie.

Tylko główny stół był przykryty obrusem. Pozostałe świeciły gołymi deskami, na których widać było resztki poprzednich posiłków. Służący walczyli o pieczone, przewracając przy tym kielichy z winem, a także miskę z ocukrzonymi orzechami.

- Lepiej się pospiesz, jeśli chcesz coś zjeść - powiedział do niej pyzaty rudowłosy chłopak, siedzący tuż obok.

- Nie chcę jeść.

- To znaczy, że się nie napracowałeś - rzucił inny. - Ale jeśli zostaniesz w tej fortecy, to będziesz błagał o resztki.

- Nie jestem głodny - powtórzyła Soraya.

- *Mangez!* - warknął tamten.

Inni podchwycili to słowo i po chwili wszyscy zachęcali ją do jedzenia. Od tego zgiełku zaczęło jej się kręcić w głowie.

- No, pokaż się - powiedział rudowłosy chłopak i pociągnął ją za ramię.

Soraya cofnęła się instynktownie.

- Patrzcie, jaki nieśmiały! \_ zaśmiał się rudzielec. - A w dodatku chudy jak patyk! - Uszczypnął ją w ramię.

Wyrwała mu się, a następnie popatrzyła na służących, którzy powtarzali rytmicznie: *Mangez! Mangez! Mangez!*

- Nie będę jadł - powiedziała, drżąc ze strachu. Nie chciała jednak dać po sobie znać, że się ich boi. W służbie u Khalila nauczyła się, jak panować nad swoimi uczuciami.

- Zaraz zobaczymy! - wrzasnął jej do ucha chłopak, który siedział po drugiej stronie, i dźgnął ją łokciem w żebra. - Jedz, bo inaczej wepchnę ci pieczone prosto do gardła!

Mark spojrzał w stronę stołu, skąd dobiegały hałasy. Po chwili odnalazł wzrokiem Soraya, który siedział między rudowłosym grubasem a lekko garbatym chłopakiem z burzą jasnych włosów. Kiedy zauważył, że ten drugi uderzył Soraya, jego dłoń mimowolnie zacisnęła się w pięść.

Giles Amaury, wielki mistrz templariuszy, pochylił się w jego stronę.

- O czym to mówiłeś, de Valery?

- Co? A, o wielkim oblężeniu Jerozolimy. Obie strony ciężko je znoszą. Chrześcijanom kończy się już jedzenie, a niewierni w ogóle go nie mają, ale za to przejęli wszystkie studnie w okolicy.

Zauważył, że jasnowłosy chłopak raz jeszcze dźgnął Soraya w

żebra. Soray odwinął się, a następnie uderzył chłopaka pięścią w krocze. Miał mało siły, ale wystarczająco, by tamten aż zwinął się z bólu. To był celny cios.

Grubas natychmiast uderzył Soraya otwartą dłońią w twarz, ale po chwili on też wydał okrzyk pełen bólu.

Przy stole zapadła cisza. Służący, który siedział naprzeciwko Soraya, napełnił swój drewniany kielich winem. Nie wypił go jednak...

- Przerwałś opowiadanie, de Valery.

Mark drgnął. Wciąż myślał o tym, co działo się przy stole dla służby. Niepokoił go los Soraya, chociaż chłopak dowiódł, że potrafi sobie radzić w niesprzyjających okolicznościach.

- Tak, mistrzu.

Soray uchylił się i wino, które było wycelowane w niego, ochlapało chłopaka obok. Mark musiał przyznać, że jest nie tylko odważny, ale też sprytny i zwinny. Doskonale sam poradził sobie w trudnej sytuacji.

Giles Amaury spojrział na swego współbiesiadnika.

- Podobno ten głupek Ryszard urządził rzeź niewiernych, jak również chrześcijan, którzy z nimi byli - mruknął. - Aż trudno w to uwierzyć. Wybił wszystkich do nogi! Cały rycerski świat o tym mówi, więc te wieści dotrą też do Europy...

Mark spojrział ukradkiem w stronę zakapturzonego Ryszarda, który zaczął nerwowo bębnić palcami po stole.

- To prawda - rzekł wolno, jakby wbrew sobie. - Trzeba przyznać, że Ryszard jest lepszym dowódcą niż dyplomatą. Należy jednak

pamiętać, że walczył o życie swoje i swoich poddanych.

- Ten człowiek jest niebezpieczny! - niemal wykrzyknął wielki mistrz. - To głupiec w lśniącej zbroi!

Mark odstawił swój kielich.

- Ryszard być może jest zbyt porywczy, ale nie jest głupcem!

Król przestał bębnić palcami po stole.

- Wydaje mi się, de Valery, że powinieneś ratować swojego służącego - powiedział, wskazując stół dla służby.

Mark spojrzał w tamtą stronę. Sytuacja najwyraźniej się uspokoiła.

- Chyba nie. Chłopak poradził sobie z tymi zawadiakami.

- Popatrz lepiej! - To był rozkaz, a nie uprzejma prośba. Mark domyślił się, że król chce zostać sam z wielkim mistrzem templariuszy.

- Masz rację, bracie. Wygląda na to, że Soray potrzebuje wsparcia.

W rzeczywistości Soray sam doskonale sobie poradził. Mimo to Mark wstał ze swego miejsca i skierował się wolnym krokiem na koniec sali. Walczyły w nim dwa sprzeczne uczucia: z jednej strony nie chciał zostawiać króla samego z wielkim mistrzem, a z drugiej najchętniej udałby się już na spoczynek.

- De Valery! - zawołał go nagle Giles Amaury.

- Tak, mistrzu?

- Nie chcę, byś chodził po naszej twierdzy. Mój służący zaprowadzi was do części przeznaczony dla gości, której nie powinieneś opuszczać. W razie czego możesz wysłać po coś swojego służącego.



Mark skinął głową i stał jeszcze chwilę, patrząc, jak król i wielki mistrz zaczynają coś omawiać przyciszonym głosem. Czyżby Ryszard miał kolejny plan? Oby tylko nie wpakował ich w jakieś tarapaty.

Po chwili podszedł do niego siwy mężczyzna w białej opończy i wskazał dłonią kierunek.

- Tędy, panie.

Mark skinął głową, ale podszedł jeszcze do stołu dla służby.

- Idziemy, Soray - powiedział. - Czas odpocząć. Chłopak natychmiast wstał. Mark odniósł wrażenie, że z wdzięczności chce mu się rzucić na szyję. Był wymizerowany i zmęczony. Choroba morska wciąż dawała mu się we znaki.

- Dziękuję, panie - szepnął. - Dziękuję.

- Taki jesteś wyczerpany?

- Nie, panie, ale zmęczyło mnie... towarzystwo.

- Jednak świetnie sobie poradziłeś - zauważył Mark. Chłopak aż otworzył usta ze zdziwienia. Nie sądził, by rycerz w ogóle zadał sobie trud, żeby popatrzeć w stronę stołu dla służby.

- A więc widziałeś?

- Widziałem.

Soraya się skrzywiła. Świat de Valery'ego, a w każdym razie ta część, którą poznała, był pełen chamstwa, hałasu i brudu. Nienawidziła go całym sercem i pragnęła jak najszybciej go opuścić.

Nie chciała jednak uciec od swego rycerza. Coś ją powstrzymywało, chociaż sama nie wiedziała; co to takiego. Musiała jednak przyznać, że de Valery był dla niej dobry i starał się ją chronić.

Nie spodziewała się tego po nim. Sądziła, że jest zimny i brutalny, jak inni krzyżowcy.

Wyszła za nim z wielkiej sali i służący poprowadził ich kręconymi schodami na górę. Wydawało jej się, że wysłużone stopnie nie mają końca. Szła wciąż przed siebie, nie wiedząc, jak daleko jeszcze do ich komnat. Była bardzo osłabiona i kręciło jej się w głowie. W końcu wyciągnęła na oślep rękę i chwyciła się płaszcza de Valery'ego.

- Lepsze to niż koński ogon, co? - powiedział ze śmiechem.

Soraya uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

- O wiele, panie. Poza tym koń nigdy nie wszedłby po takich schodach.

De Valery zaśmiał się i obejrzał przez ramię.

- Toteż go tutaj nie zapraszają - rzekł rozbawiony.

W końcu znaleźli się na samym szczycie wieży i służący otworzył drzwi, które aż zazgrzytały. Wyglądało na to, że nieczęsto z nich korzystano. Pewnie templariusze rzadko przyjmowali gości. A może mieli dla nich jakieś inne izby, bo ta wydawała się bardzo oddalona od reszty zamkowych pomieszczeń.

- To tutaj, panie - powiedział siwowłosy służący, z trudem łapiąc oddech. - Będziecie mieli wspaniały widok na całe miasto i zatokę. - Spojrzał uważnie na Sorayę. - Tylko uważaj na okna, chłopcze. Wielu służących wypadło z nich, kończąc życie w fosie. Taki już ich los...

Spojrzała w stronę okna i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Czyżby ten mężczyzna chciał ją ostrzec przed jakimś niebezpieczeństwem? Wpatrywała się w niego intensywnie przez chwilę, ale on już zwrócił się do Marka.

- Czy potrzebujesz czegoś z kuchni, panie? - spytał usłużnie.
- Przydałaby się gorąca woda i mydło - odparł de Valery. -

Dawno nie mieliśmy okazji, żeby się wykapać.

- Przyślę z tym pazia - rzekł służący. - Drugi raz chyba nie wszedłbym na te schody.

Soraya popatrzyła na niego wielkimi oczami.

- Woda i mydło? - powtórzyła. - Naprawdę chcesz się myć?

Mark wzruszył ramionami.

- Oczywiście.
- Teraz?
- A kiedy indziej? - odpowiedział pytaniem. - Cóż lepszego mógłbym tu zrobić? Cały aż się lepię od potu i brudu.

Stary służący spojrział na niego od drzwi.

- Wobec tego przydałaby się wam duża balia, panie - powiedział. - Inaczej nie zdołacie się dobrze umyć. Przyślę tu paru służących.

Zapach potu w sali jadalnej wskazywał na to, że rycerze nie myli się zbyt często. Soraya założyła więc, że de Valery też nie będzie się kąpał. Teraz zagryzła wargi, myśląc o tym, że za chwilę rycerz zechce się rozebrać. Kto wie, może nawet każe jej pomagać w kąpieli...

Z trudem przełknęła ślinę. Nigdy wcześniej nie widziała nagiego mężczyzny i nie wiedziała, jak to zniesie.

- Co cię gryzie, chłopcze? Pomóż mi zdjąć buty. Pochyliła się i pociągnęła za ostrogi u jego znoszonych, skórzanych butów. Zdjęcie ich wymagało sporego wysiłku, a ona była przecież osłabiona. Jednak najgorsze miała dopiero przed sobą.

## *Rozdział dziewiąty*

By napełnić balie, potrzebowali aż siedmiu wiader gorącej wody. Ostatni służący przyniósł też miseczkę z płynnym mydłem, a także prześcieradło, którym Mark mógł się wytrzeć po kąpieli, po czym z ulgą ruszył na dół.

Gdy tylko wyszedł, Mark zaczął się rozbierać. Zdjął opończę, którą rzucił na proste krzesło, a następnie zabrał się do ściągania wierzchniej koszuli.

- Otwórz okno - polecił. - Trudno powiedzieć, żebym wydzielał różany zapach.

- Ach nie, panie. Pachniesz tak, jak trzeba - rzekła Soraya, odwracając od niego wzrok. - Jak... jak orchidee w domu mojego wuja. Wcale nie potrzebujesz się kąpać...

- Dość tego! - ryknął Mark.

Ściągnął już nogawice i zabrał się do zdejmowania pończoch. Soraya rozglądała się po całym pomieszczeniu, jakby niezmiernie ją zaciekało. Patrzyła na kominek, w którym leniwie płonął ogień, a

także na stojące obok krzesło, na którym rycerz układał swoje ubrania.

- Nie stój tak po próżnicy - zganiał ją po raz kolejny Mark. -  
Pomóż mi zdjąć kolczugę.

Soraya zrobiła krok w jego stronę. Wiedziała, że musi wypełniać swoje obowiązki. Kolczuga rycerza była bardzo ciężka, ale jakoś sobie z nią poradziła. Pod nią nosił spodnią lnianą koszulę, która rzeczywiście nie pachniała najlepiej.

- Okno - przypomniał jej cierpkim tonem. Otworzyła okno najszerszej jak mogła i wciągnęła do płuc

świeże wieczorne powietrze. Na dole usłyszała plusk wody w fosie i zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Przypomniała sobie, co mówił stary służący i zaraz się cofnęła.

Kiedy w końcu odważyła się spojrzeć na rycerza, stał przed nią zupełnie nagi. Soraya nie mogła się powstrzymać i uniosła dłoń do ust w geście niemego podziwu. De Valery prezentował się naprawdę wspaniale. Jego klatka piersiowa była szeroka i umięśniona. W pasie był wąski, a jego ciało wspierało się na mocnych nogach niczym na kolumnach.

Mimowolnie spojrzała na jego męskość i wstrzymała oddech. Ta część jego anatomii również robiła wielkie wrażenie.

Odwróciła wzrok od rycerza.

- Mój wuj, Khalil, miał wspaniały dom w Damaszku - zaczęła.  
- Z najdroższymi dywanami, meblami ze srebrnymi okuciami i najczystsza pościelą... A także z basenem, w którym można było zażywać kąpieli...

- O czym ty znowu mówisz?

- O domu mego wuja - odparła szybko, nie bardzo wiedząc, co zrobić z oczami.

Wiedziała, że wygaduje bzdury i że de Valery'ego w ogóle nie interesuje dom w Damaszku, mimo to musiała mówić, żeby nie myśleć o tym, iż znajduje się w jednym pomieszczeniu z zupełnie nagim mężczyzną.

- Właśnie, mieliśmy tam basen - powtórzyła po chwili. - Z podgrzewaną wodą. Mogłem się w nim codziennie ką...

- Mogłeś się kąpać w basenie swego pana? Ty, służący? Jesteś zręcznym kłamcą, ale nie dam się na to nabrać.

Odwrócił się od niej i zaczął wchodzić do balii. Soraya spojrzała na miseczkę z mydłem i kąpielowe prześcieradło. Usłyszała chlupot wody i pełne ulgi westchnienie rycerza. Powodowana ciekawością uniosła głowę.

De Valery siedział z zamkniętymi oczami w balii. Na jego ustach pojawił się zmęczony uśmiech.

- Możesz zacząć od szyi - powiedział i westchnął z przyjemnością.

Soraya zastygła na miejscu. Chciał, żeby go umyła? Miała dotykać nagiego mężczyznę?

- Soray, co się z tobą dzieje? - burknął rycerz. - Pospiesz się, bo woda mi stygnie.

Uklękła przy balii i sięgnęła po naczynie z mydłem. Było płynne i pachniało owczym tłuszczem. Spojrzała na klatkę piersiową rycerza i

jego muskularne ramiona, a potem po chwili wahania wzięła kawałek szmatki. Przynajmniej nie będzie musiała namydlać go gołą dłonią.

Czuła się jakoś dziwnie. Żołądek jej się skurczył, ale nie przypominało to tego, czego doświadczyła na statku. Musiała nawet przyznać, że uczucie jest dosyć przyjemne.

Nagle coś jej przyszło do głowy.

- Chwileczkę, panie - powiedziała i sięgnęła do mieszka, w którym trzymała zioła. Po chwili znalazła wonny rozmaryn, wzięła garść i wsypała do mydła. Starannie rozrabiała palcami półpłynną masę, aż w końcu zaczęła wydzielać miły zapach. Następnie nałożyła trochę mydła na szmatkę i zaczęła rozprowadzać po ciele rycerza, poczynając od szyi.

- Hm, naprawdę miło pachnie - powiedział de Valery.

- Za godzinę ty też tak będziesz pachniał, panie - powiedziała, niewiele myśląc.

- A więc jednak cuchnę, co? - rzucił ze śmiechem. - Jeden niewielki oddział chrześcijan jest w stanie zniszczyć całą armię Saracenów samym swoim smrodem.

Jednak rycerz nie cuchnął. Czuć go było potem i skórą, ale ten zapach nie był wcale nieprzyjemny. Mark nie otwierał oczu, wciągnął tylko głębiej powietrze. Zapach był naprawdę cudowny i czuł się wspaniale. Udało mu się dowieźć Ryszarda cało na Cypr, a w dodatku po wielu miesiącach picia kwaśnego piwa mógł nareszcie spróbować dobrego wina. Poza tym odprężyły go jeszcze rytmiczne ruchy Soraya.

Spojrzał jednym okiem na chłopaka.

- Wojna to brudna sprawa. Rycerze walczą nie tylko z wrogami, ale też z gorącem, pustynią, wyczerpaniem, pragnieniem, często również z głodem, a w tym czasie królowie układają się potajemnie z Saracenami i między sobą. Wszyscy chcą tylko więcej władzy i zaszczytów.

- Podobno Saladyn jest uczciwym i rycerskim władcą - zauważyła Soraya.

Mark ponownie westchnął. Kąpiel dobrze mu robiła.

- Saladyn chce przede wszystkim utrzymać Jerozolimę. Jest jak pustynna mrówka, która nie ustaje w swojej pracy. I w końcu dopnie tego siłą bądź podstępem.

Chłopak nic na to nie odpowiedział, zabrał się za to solennie do szorowania. Mark musiał przyznać, że zna się na tym i jest bardzo dokładny. To naprawdę dobry służący, pomyślał. W dodatku wierny, dodał, przypomniawszy sobie jego przysięgę.

Wkrótce jednak wszystkie myśli odpłynęły od niego. Był w tej chwili bardzo wyczerpany. Znacznie bardziej, niż mu się wydawało. Potrzebował snu, a ruchy Soraya przypominały pieszczotę. Żałował, że znowu będzie musiał spać sam. Wyprostował się i usiadł w bali z cichym jękiem.

- Co się stało, panie?

- Nic - mruknął de Valery. - Tyle że od miesiący nie miałem kobiety.

Soraya zastygła nad balią. Wiedziała, co chce przez to powiedzieć. Nie na darmo spędziła część życia w haremie.



- Kobiety?

- Właśnie. Jesteś zbyt młody, by o tym myśleć. Spojrzał na pobladłą twarz służącego.

- Słyszałem, że inni rycerze biorą kobiety Saracenów - dodał po chwili. - Podobno mają delikatną skórę, pięknie pachną i potrafią tańczyć...

- Naprawdę? - wydusiła Soraya, czując, że podłoga znowu zaczyna się jej kołysać pod nogami.

Mark wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nigdy żadnej nie miałem.

- Nigdy?

Rycerz nie zwrócił uwagi na to pytanie. Poczł teraz ukłucie pożądania i z jego gardła wydobył się kolejny jęk.

- No, pospiesz się, chłopcze, bo woda stygnie - rzucił, chcąc jak najszybciej się położyć. - Dla ciebie będzie już zupełnie zimna.

Soraya aż westchnęła, słysząc te słowa. Jakoś wcześniej nie przyszło jej do głowy, że ona też będzie się musiała wykapać.

- Dla mnie?

- Przecież mówiłeś, że kąpałeś się u wuja! A może to jednak były kłamstwa i tylko myłeś twarz i ręce?

Mark wziął prześcieradło i wytarł brzuch i genitalia, a potem zaczął wycierać inne części ciała. Następnie obrócił się tyłem do swego sługi.

- Wytrzymaj mi plecy - polecił.

Soraya zagryzła wargi i zaczęła go wycierać, poczynając od

barków. Mark poddawał się temu, a irytacja powoli ustępowała dziwnemu uczuciu względem tego chłopca. Chciał go chronić i opiekować się nim tak, by nie stało mu się nic złego. W końcu sam sięgnął po prześcieradło i zawiązał je wokół bioder. Spojrzał na swój tors, a widoczna na nim blizna przypomniawsza mu brata.

- Henry, mój brat - rzekł do siebie.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że mówi głośno.

- Tak, panie? Co z twoim bratem?

- Byliśmy... jesteśmy sobie bardzo bliscy - rzekł w zamyśleniu.

- Wychowywaliśmy się razem we Francji, ćwicząc się u ojca chrzestnego. Henry zdobył ostrogi, gdy miał osiemnaście lat, a potem uczył mnie rycerskiego rzemiosła. Ta blizna to ślad po źle odparowanym uderzeniu. Henry płakał wtedy, widząc, co się stało.

- Kochasz swego brata - powiedziała cichutko Soraya i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Tak. Codziennie modlę się o to, by dane mi było jeszcze go zobaczyć.

Soraya oparła się o framugę drzwi. Choroba morska zaczęła jej mijać, ale wciąż czuła się bardzo osłabiona.

- Czy mam zawołać paziów, by opróżnili balie?

De Valery spojrzał na nią tak, jakby miała nie po kolei w głowie.

- Nic podobnego. Rozbieraj się i sam skacz do środka. Soraya poczuła, że serce zamarło jej w piersi.

- Dziękuję, panie, ale... - wymamrotała, nie bardzo wiedząc, jaką posłużyć się wymówką. Rycerz ruszył do wielkiego łóża,

stojącego w rogu komnaty. Mogłaby przysiąc, że na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Wiedziała, że jest brudna i brzydko pachnie, ale nie odważyłaby się rozebrać w tym pomieszczeniu. Chyba że... Spojrzała z nadzieją w stronę łóżka, na jego adamaszkowe zasłony, przywiązane wstążkami do słupków.

- Spokojnej nocy, panie - rzekła.

Mark nie odpowiedział, tylko zdjął kąpielowe prześcieradło i rzucił się nagi na pościel.

- Będzie spokojna, dopóki nasz przyjaciel... zakonnik znajduje się w tych murach - wymamrotał, a potem zamknął oczy.

Soraya odczekała jeszcze chwilę. Gdy oddech rycerza się uspokoił, podeszła kocimi krokami do łoża. Spojrzała na mężczyznę, który leżał z rozłożonymi ramionami i otwartymi ustami. Teraz nie miała już wątpliwości, że zasnął. Nie musiała nawet odwiązywać zasłon.

- Panie? - szepnęła na wszelki wypadek.

Kiedy nie odpowiedział, zdjęła sandały, a następnie luźną koszulę i pas, za którym krył się cenny mieszek z ziołami i jeszcze cenniejsza sakiewka. Potem rozpięła swoje szerokie spodnie, które same opadły na kamienną podłogę. Dopiero na końcu zdjęła turban i odwiązała jedwabną szarfę, kryjącą jej piersi.

Starając się cały czas obracać tyłem do śpiącego rycerza, wśliznęła się bezgłośnie do balii. Uklękła i najpierw zanurzyła głowę w cieplej jeszcze wodzie. Myła włosy, starając się robić to jak najciszej. Dopiero potem usiadła w balii i zaczęła namydlać ciało. Przez cały czas

zerkała niespokojnie w stronę łóża.

Na szczęście de Valery był na tyle zmęczony, że zasnął głęboko. Mimo to Soraya szybko zakończyła kąpiel i owinęła się całą wilgotnym prześcieradłem. Ruszyła właśnie po swoje ubrania, kiedy usłyszała jakieś hałasy na schodach. Po chwili ktoś zaczął się dobijać do ich drzwi.

- De Valery, obudź się! - dobiegł do niej głos mnicha. -

Otwórz drzwi!

Soraya stała bez ruchu, nie bardzo wiedząc, co robić. Za chwilę rycerz się zbudzi i zobaczy ją na środku komnaty.

- De Valery, mam ważne wieści!

Rycerz poruszył się na łóżku i ziewnął. Sen bardzo mu służył, Nie otworzył nawet oczu, tylko machnął ręką w stronę drzwi.

- Rano - wydobył z siebie senny głos. - Daj mi spać.

- Masz natychmiast otworzyć drzwi!

Rycerz przesunął się na brzeg łóżka i ziewnął szeroko. Po chwili uniósł się na łokciu i z trudem stanął na nogach.

- Już, już...

Na szczęście w ogóle nie zwracał uwagi na swego służącego i Soraya odetchnęła z ulgą. Jednak tylko na chwilę, bo nagle przyszło jej do głowy, że zakonnik nie będzie tak senny i być może zauważy to, co umknęło uwagi rycerza.

Przez chwilę patrzyła w niemym przerażeniu na swoje ubrania, a potem chwyciła je, wskoczyła do wielkiego łóża i ukryła się w pościeli. Szybko też odwiązała zasłony z adamaszku, chcąc jeszcze lepiej się

schować.

- Jakie wieści? - spytał sennym głosem de Valery, otworzywszy drzwi.

- Wydarzyło się coś ważnego. - Mnich oddychał bardzo ciężko. Zapewne wbiegł na górę po schodach. Soraya szybko zawiązała sobie szarfę wokół piersi i narzuciła luźną koszulę na nagie ciało.

Po chwili usłyszała ciężkie kroki zakonnika.

- Masz wino? - spytał.

- Nie.

- Więc każ je przynieść - mruknął zakonnik. - Musimy porozmawiać. Sprawa jest naprawdę poważna...

- Soray, idź do kuchni - polecił rycerz. - Powiedz, żeby przyniesiono nam tutaj wino i coś do jedzenia.

Soraya włożyła już spodnie i teraz owinęła się pasem, za którym ukryła oba zawiniątka. Szybko wsunęła sandały.

- Tak, panie.

Obaj mężczyźni nie zwrócili na nią uwagi. Zaczęli rozmowę, zanim jeszcze wyszła z pokoju. Kiedy znalazła się na dole, usłyszała głosy, dobiegające z jednej z sal. Stała więc pod drzwiami, żeby posłuchać.

- Sprzeda? - powiedział jeden z mężczyzn. - Templariuszom? Ale skąd weźmiemy pieniądze, żeby to odkupić?

- Zajrzyj do swego skarbcza, Giles. Znajdziesz tam więcej złota niż trzeba.

- Do licha z nim!

- Anglicy się niecierpliwiają. Musimy zapłacić.

Soraya chętnie by jeszcze posłuchała, ale wiedziała, że nie może zwlekać. Przeszła do kuchni, do której skierował ją jeden ze służących, i złożyła zamówienie. W drodze powrotnej zatrzymała się jeszcze przed komnatą, ale panowała w niej cisza.

W końcu poszła na górę, myśląc o tym, że wreszcie ustały jej dolegliwości i że teraz chętnie by coś zjadła i napiła się.

Kiedy z powrotem znalazła się w komnacie, balia była już pusta, a na stole leżał bochenek chleba, ser i oliwa oraz stała karafka z winem. A więc wysłali ją tylko po to, by móc swobodnie rozmawiać. De Valery miał na sobie długą koszulę, którą zapewne znalazł w stojącej pod ścianą komodzie.

Zakonnik przechadzał się po komnacie tam i z powrotem.

- Nie masz się co spierać, de Valery. Sprawa jest załatwiona. Soraya przesunęła się wzdłuż ściany, tak by nie wejść mu w drogę. Po chwili zostawiła to, co przyniosła, obok krzesła i ukryła się na łóżku za zasłoną z adamaszku. Mężczyźni byli tak pochłonięci rozmową, że żaden nie zwrócił na nią uwagi.

- To bardzo niebezpieczne - powiedział de Valery i odstawił z trzaskiem swój kielich.

- I tak bez przerwy narażamy się na niebezpieczeństwo! - krzyknął mnich. - Wyruszamy przed laudą, więc lepiej się wyśpij.

Mnich podszedł chyba do drzwi, bo po chwili usłyszała ich skrzypienie. Zamknął je głośno za sobą. Stapał ciężko po schodach, ale powoli jego kroki stawały się coraz cichsze.

Soraya wyjrzała zza kotary. Mark stał przy stole z kielichem w ręku, a potem podniósł go do ust i wypił całą zawartość.

- Boże, chroń nas przed Anglią - szepnął do siebie de Valery i podszedł do okna.

Wychylił się i wziął parę głębokich oddechów. Wciąż nie mógł dojść do siebie po tym, co usłyszał.

- To szaleństwo! On jest szalony!

Soraya cofnęła się na łóżko. Nie wiedziała, co się dzieje, ale nie miała zamiaru przejmować się barbarzyńcami. Niech Normanowie powybijają się między sobą. Ona będzie musiała niedługo wymknąć się stąd i odnaleźć króla Anglii.

Ale najpierw musi dowiedzieć się, gdzie jest Ryszard, nim wrogowie Saladyna odszukają ją, by odzyskać list.

Cóż, znalazła się w pułapce. Jeśli zawiedzie, Saladyn każe ją zabić. Ma przecież wszędzie szpiegów.

Przestraszona, zwinęła się w kłębek, zamknęła oczy i natychmiast zapadła w głęboki sen, który przyniósł jej zapomnienie.

## *Rozdział dziesiąty*

Chwilę po wyjściu króla Mark jeszcze raz zaczerpnął powietrza i zaczął się zastanawiać nad jego słowami. Miał się wyspać, ale jednocześnie wiedział, że musi trzymać miecz w pogotowiu. Myślał o sytuacji, w której się znaleźli. W końcu jednak postanowił skorzystać z rady monarchy. Powinien odpocząć przed jutrzejszym dniem. Zaczął się układać na łożu, gdy nagle natrafił na coś udem. Cofnął się.

Do licha, w nogach łoża spoczywał śpiący Soray. Mark uśmiechnął się do siebie. Cóż to za służący, który odważył się zająć miejsce swego pana. Zamiast zepchnąć go na podłogę, przesunął go tylko trochę, by móc samemu się położyć.

Zasnął natychmiast, ale po jakimś czasie coś go obudziło. W komnacie słychać było dziwne trzaski i rozświetlały ją pomarańczowe błyski płomieni. Pożar! Znajdowali się na samym szczycie wieży. Jeśli ogień przyszedł z dołu, nie mieli drogi odwrotu. Jednak w komnacie nie było nawet śladu ognia, gdyż wygasł już nawet żar w kominku.

Mark szturchnął nogą śpiącego Soraya.

- Zbudź się, chłopcze!

Służący natychmiast otworzył oczy.

- Co się dzieje, panie?

- Mamy kłopoty. - Nie wiedział jakie, ale mógł się domyślić

Zapewne Cypryjczycy dowiedzieli się jakoś o tym, że Ryszard chce w sekrecie sprzedać templariuszom ich ziemie.



Z dołu dobiegał do nich huk ognia. Natychmiast zorientowała się, co się dzieje, i tkwiła sparaliżowana w pościeli. Natomiast Mark podbiegł do okna. Soraya natychmiast pobiegła za nim Wyjrzeni oboje na rozświetlony płomieniami dziedziniec.

- Spójrz - powiedział Mark, wskazując tłum z pochodniami, który otaczał wieżę.

Byli tam muzułmanie w turbanach, Żydzi w czarnych jarmułkach i nawet chrześcijanie, zapewne greckiego obrządku Wszyscy krzyczeli i machali pięściami. Ktoś zapewne doniósł im, że król Anglii dobił targu z templariuszami i to właśnie tak ich rozjuszyło. Kupcy i mieszczanie, a nawet chłopci nie chcieli pozwolić na to, by zakon przejął nad nimi kontrolę.

- Szybko - powiedział Mark. - Moja koleczuga i nogawice. Chłopak zwijał się jak w ukropie. Bo też zaczęło się robić gorąco. W końcu Mark przypasał sobie miecz i włożył buty Zatrzymał się teraz ubrany na środku komnaty i zaczął się zastanawiać nad sytuacją.

- Musimy poruszać się bardzo cicho. Otaczają nas nieprzyjaciele. - Wziął naczynie z oliwą i wylał ją na zardzewiałe zawiasy

- Chodź! - Ostrożnie uchylił drzwi, nie wiedząc, czy nieprzyjaciele nie dostali się już do wieży. Prowadziło z niej tylko jedno wyjście, przez co przypominała pułapkę. Zapewne dlatego wielki mistrz kazał ich tutaj umieścić. Kto wie, czy nie postawił gdzieś warty.

Mark odetchnął z ulgą, widząc, że na schodach jest pusto Jednak wycie tłumu, które tu dobiegało, sprawiło, że dreszcz przebiegł mu po

plecach. Wcale nie miał ochoty na kolejną rzeź

Muszą teraz zejść na dół z nadzieją, że wrogowie nie dostali się jeszcze do wnętrza warowni. Bardzo możliwe, że zechcą ją podpalić, tak jak mu się początkowo wydawało, albo po prostu wyważą drzwi. Wyglądało na to, że tłum zebrał się spontanicznie i że nie ma przywódcy, co było dobrym znakiem.

- Trzymaj się mnie i bądź cicho - polecił służącemu. Następnie wyjął miecz i ruszył w dół po krętych schodach.

Soraya szła za nim w milczeniu. Nie miała pojęcia, co się stało, ale wiedziała, że rycerz będzie ją chronił. Kiedy znaleźli się na dole, Mark zatrzymał się tak gwałtownie, że Soraya wpadła na niego z impetem. On jednak nawet nie drgnął. Przed nimi stał mnich z odsłoniętą głową.

- Chodźcie do stajni! - rozkazał.

Mark skinął głową. On też wiedział, że powinni stąd jak najszybciej uciekać.

- Ale przez pomywalnię - powiedział. - Możliwe, że na tyłach jeszcze nikogo nie ma.

Kiedy znaleźli się w kuchni, dobiegł do nich łomot, a potem głośnie okrzyki. Rozwścieczeni Cypryjczycy wdarli się do wnętrza warowni. Ich gniew pozwalał liczyć na to, że nie rozpoznali w pełni sytuacji.

Mark obrócił się, chwycił chłopaka i włożywszy go sobie pod pachę wbiegł do pomywalni. Ryszard biegł przed nimi wielkimi susami. Doskonale wiedział, co mu grozi.

Na szczęście na dziedzińcu od strony pomywalni było pusto. Wszyscy napastnicy weszli do wieży i nie zostawili nawet warty. Zaczęli posuwać się wzdłuż muru w stronę stajni. Tuż za nią widać było otwarty most zwodzony. A zatem ktoś z załogi fortecy musiał zdradzić i wpuścić tłum do środka.

Mark miał nadzieję, że uda im się przejść niezauważenie przez bramę. Musieli jednak działać bardzo szybko.

- Czy czeka na nas statek? - spytał Ryszarda.

- Tak, dwumasztowiec z Genui - odparł władca.

Mark pokręcił głową. Nie miał pojęcia, jak Ryszard zdołał przekonać Guya de Lusignan, żeby udostępnił mu statek. A może po prostu kupił go wraz z towarem i załogą.

Weszli do stajni. Mark puścił Sorayę i gwizdnął cicho na swego wierzchowca. Po chwili Jupiter odpowiedział mu rzeniem. Odwiązał go i rzuciwszy siodło na jego grzbiet zacisnął popręg.

Ryszardowi nie udało się jeszcze odnaleźć swojego wierzchowca. Szukał go pospiesznie, wyraźnie poruszony tym, co działo się na dziedzińcu.

- Nie wsiadamy na konie - zawołał cicho Mark.

- Dobrze - odpowiedział Ryszard, który pojawił się nagle tuż obok, prowadząc konia.

Nie był to jednak jego wierzchowiec. Mark zmarszczył brwi, ale nie miał śmiałości zapytać króla o konia. Wyglądało na to, że Ryszard nie przewidział tego, co się stało.

Ruszyli w stronę mostu, kiedy z wieży wypadło nagle kilku

napastników z pochodniami. Wszyscy rzucili się w ich stronę. Skąd mogą wiedzieć, że mają do czynienia z królem? - pomyślał Mark. A potem nagle zaświtało mu, że chodzi im właśnie o niego. Zapewne wzięli go za jednego z templariuszy.

Mark zasłonił króla i pokazał głową, by kierował się z koniem i Sorayem do wyjścia. Sam natomiast stanął naprzeciwko roz-  
wścieczonych ludzi. Jednak w tym momencie Soray też wysunął się do przodu. W dłoni miał solidny drąg, który zapewne wziął z kuźni. Mark aż pokręcił z podziwu głową. Być może chłopak nie zachował się najmądrzej, ale bardzo odważnie.

Jakiś człowiek okutany w czarną opończę dźgnął pochodnią w stronę Soraya, a ten uchylił się i uderzył go w nogi.

Mark odsunął chłopca spokojnym gestem.

- Przeprowadź konia - powiedział.

Chłopak skinął głową, on zaś stanął sam naprzeciwko ośmiu mężczyzn. Dziewiąty wciąż leżał na ziemi i jęczał, obmacując nogi. Na razie napastnicy trzymali się z daleka, zapewne czekając na posiłki. Jednak Soray był szybszy. Po chwili pojawił się przy jego boku z Jupiterem. Mark dosiadł wierzchowca i złapał chłopaka. Przejeżdżając przez bramę, uciął sznur od kraty, która opadła z trzaskiem, ale wiedział, że nie powstrzyma to tłumu.

Po chwili znaleźli się poza granicami fortecy. Ryszard czekał już na nich na koniu i pomknęli szybko w stronę zatoki. W porcie również grasowali rebelianci, ale byli bardziej zajęci plądrowaniem niż walką. Po chwili dostrzegli dwumasztowy statek i Ryszard wydał rozkaz po

łacinnie.

Marynarze opuścili trap, po którym wjechali na pokład z głośnym łoskotem. Ci z rebeliantów, którzy zostali w warowni, zorientowali się chyba, że uciekł im ktoś ważny, ponieważ ruszyli za nimi w pościg. Stracili jednak sporo czasu i wciąż znajdowali się dosyć daleko.

- Szybko, odbijamy - poleciał po łacinnie Ryszard.

Soraya z przerażeniem spojrzała na morze i statek. Był na nim podobny do poprzedniego ciemnowłosy kapitan, podobni marynarze i nawet takie same worki, które służyły za poślanie.

Znowu poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Miała dosyć tej przeklętej choroby morskiej.

Jednak tym razem nie czuła się tak źle jak poprzednio. Wiedziała, że udało im się uciec przed niebezpieczeństwem, może nawet przed śmiercią.

Statek i morze oznaczały wolność i bezpieczeństwo.

Pięć dni później przybili do Talamony, leżącej w pobliżu Toskanii. Powietrze było przesycone zapachem morza i wędzonych ryb, a w porcie panował wielki ruch. Wszędzie widziało się kupców i opalonych na brąz marynarzy, a także rybaków, którzy o tej porze pozbyli się już swego ładunku i zaczęli suszyć sieci. Soraya dostrzegła też barwnie ubranego minstrela z małpą, tańczącą w takt muzyki.

Na nabrzeżu czekał na nich konny rycerz w kolczudze i z przypasanym mieczem. Trzymał pod pachą hełm i mrużąc oczy patrzył

w stronę wód zatoki. Mark i zakonnik zwolnili.

Kiedy rycerz ich dostrzegł, zsiadł z rumaka i pospieszył w ich stronę.

- De Valery! - wykrzyknął i wziął Marka w ramiona.
- Roger de Clare! Co tutaj robisz? - zapytał zdziwiony Ryszard.

Jednak Roger de Clare nie zwrócił uwagi na monarchę, tylko spojrzał prosto w oczy Markowi.

- Szukałem cię, przyjacielu.
- No i w końcu znalazłeś. Ale skąd te poszukiwania? I jak dowiedziałeś się, gdzie można mnie znaleźć?
- Powiedział mi wielki mistrz templariuszy, Giles Amaury.

Przypląnąłem tu wczoraj i czekałem na wasz statek.

Mark poczuł mrowienie na karku. Coś go niepokoiło w tonie, jakim to powiedział. A w dodatku wyraz jego twarzy... Czyżby chciał mu powiedzieć coś istotnego? Tylko co?

- Ale dlaczego? Dlaczego? - powtórzył nieco ostrzej. Roger położył dłoń na jego barku.
- Mam dla ciebie wieści. - Wskazał gestem, by przeszli nieco dalej, gdzie nikt ich nie będzie słyszał.
- Jakie wieści? - Mark zdradzał coraz większe oznaki niepokoję. Nie podobał mu się ton głosu przyjaciela.

De Clare milczał przez chwilę, a jego szczere brązowe oczy patrzyły ponuro.

- O twoim bracie.

Instynkt podpowiadał mu, że nie powinien tego słuchać. Że musi raczej zatkać uszy i uciec od Rogera. Zbyt wiele złych rzeczy wydarzyło się ostatnio w jego życiu i wiedział, że nie może się teraz spodziewać niczego dobrego.

- Henry jest we Francji, w Ascalon, u boku Filipa - powiedział ostrożnie.

- Już nie - rzekł łagodnie przyjaciel.

- Ależ mówię ci, że walczy po stronie Filipa. Roger zawahał się, a potem pokręcił głową.

- Nie, przyjacielu.

- Kłamiesz!

- Chciałbym, żeby tak było, ale doskonale wiesz, że nie potrafię kłamać.

Mark pokręcił głową. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Pochowano go w Ascalon - dodał przyciszonym głosem Roger. - Na chrześcijańskim cmentarzu.

Mark zacisnął pięści w bezsilnym gniewie. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Poczul się osamotniony i zmęczony.

- Ale to nie wszystko - podjął Roger. - Mam też inne informacje, jeśli zechcesz ich wysłuchać.

- Nie, nie chcę już słuchać! Dostyc, jak na jeden dzień! -

Odszedł chwiejnie i spojrzał w stronę północy. Gdzieś tam znajdował się grób jego brata.

Kątem oka zauważył, że Roger podszedł do Ryszarda i zaczął z nim rozmawiać przyciszonym głosem. Po chwili obaj wsiedli na konie i

podjechali do niego.

- Mamy tu blisko gospodę z miejscami do spania - powiedział król. - Zatrzymamy się tam na noc.

Mark skinął głową. Ręce i nogi miał ciężkie. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Chciał zasnąć i więcej się nie obudzić. Czuł się znużony, jakby dopiero teraz dały o sobie znać trudy podróży. Coś przygniatało go do ziemi. Wszystko wokół wydawało mu się szare, niemal kamienne.

Służący podszedł i wsunął swoją małą dłoń w jego rękę.

- Musisz jeść, panie.

Cichy głos rozległ się tuż koło jego ucha, ale Mark nie mógł podnieść powiek.

- Nie. - Obrócił się na bok na wąskim łóżku.

- Koniecznie - powtórzyła Soraya. - Inaczej nie będziesz miał siły!

- Czy to ty teraz wydajesz rozkazy? - spytał zmęczonym głosem. - Nie zapominaj, że jesteś tylko służącym.

- To prawda, panie, ale jeżeli umrzesz z głodu, to przestanę nim być.

- Nie umrę. Potrzebują mnie w Szkocji.

- Mam tutaj dojrzałe melony, panie. Podarował mi je pewien kupiec na tutejszym targu.

Mark otworzył oczy i spojrzał na nią uważnie. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- A czy zdawał sobie sprawę ze swojej hojności?



- Nie wiem, panie. Nie zdążyłem spytać. Teraz najważniejsze jest to, żebyś jadł.

- Może później.

- Nie, teraz - nalegała Soraya.

Mark rozejrzał się po pobielanej izbie.

- Czy... czy ten zakonnik jest gdzieś tutaj?

- Zajmuje sąsiedni pokój - odparła Soraya. - Twój przyjaciel, panie, je z nim wieczerzę. Mark westchnął. Roger zapewne wkrótce rozpozna króla. Cała armia krzyżowców dowie się o tym, że Ryszard Lwie Serce ją opuścił. Bał się nawet myśleć, co potem nastąpi.

Starał się też nie myśleć o bracie, ale nie na wiele się to zdało. Wciąż go widział oczami duszy. Wspominał, jak Henry pokazywał mu, jak należy trzymać miecz lub lancę. Jak uczył go sztuki wojennej. Jak jeździli razem na targ. Nie mógł pogodzić się z tym, że już nie zobaczy brata.

- Pamiętam, jak wykradaliśmy ciastka z kuchni - zaczął mówić, nie patrząc na Sorayę. - I różne psoty, których ofiarą padali nasi rówieśnicy.

- Czy to nie było złe, panie?

- Złe? Nie. Wszyscy chłopcy tak się bawią. Henry był świetny w wymyślaniu takich żartów. - Urwał na chwilę. - Był świetny we wszystkim.

Soraya spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Opowiedz mi o nim więcej - poprosiła.

- Więcej? Długo by opowiadać. Henry potrafił okiełznać

każdego konia, szepcząc mu coś do ucha. A także zwabić każdą służącą, gdy chciał, by mu napełniła kielich winem. Boże, to straszne, że tak dokładnie to wszystko pamiętam!

Odwrócił się twarzą do ściany. Znowu opanował go potworny żal, który gniótł mu pierś niczym zmore.

W tym momencie ktoś cicho zapukał do drzwi. Soraya spojrzała na pana, a potem podeszła, by je otworzyć. Zupełnie nie spodziewała się tego, co miało za chwilę nastąpić.

## *Rozdział jedenasty*

W drzwiach stała niezwykle piękna dziewczyna, w wieku Sorai. Miała na sobie wzorzystą jedwabną suknię z krótkim rękawem i żółtą pelerynę lamowaną czerwonym brokatem.

- *Kalespera* - powiedziała. A więc Greczynka.
- *Yasas* - odparła Soraya.
- *Poene andros?*
- Mężczyzna? - upewniła się Soraya. - Jaki mężczyzna?

Dziewczyna przyjrzała się jej uważniej.

- Przysłano mnie tu do mężczyzny - wyjaśniła. - Nazywam się Irena.

Soraya otworzyła ze zdziwienia usta, ale zaraz je zamknęła. Więc przysłano ją tutaj do de Valery'ego? Jej pana? Nagle poczuła, że zrobiło

jej się gorąco z wściekłości.

- Nie wydaje mi się - mruknęła.
- Ale mnie się wydaje - powiedziała z uśmiechem Greczynka.
- Nie. - Soraya spojrzała jej prosto w oczy. - On należy do mnie.

Irena była bardzo piękna. Miała smagłą cerę i ciemne włosy, a także długie rzęsy, które wyglądały jak dwie jedwabne zasłony. Pracowała jako kurtyzana, ale była czysta i dobrze ubrana. Soraya spojrzała na swoją brudną koszulę i podarte spodnie.

- Kto cię przysłał?

Irena zaśmiała się lekko, ukazując dwa rzędy białych, równych zębów.

- Sługa boży z pokoju obok. Mam pocieszyć jego przyjaciela i zostać z nim na noc. - Spojrzała znacząco na Sorayę.
- Możesz z nami zostać, jeśli chcesz.

Dziewczyna pchnęła lekko drzwi i weszła do środka. Wokół niej unosił się zapach kwiatowych perfum.

- Och, widzę, że jest przystojny - zauważyła. - Jak się nazywa? Soraya zacisnęła pięści.
- Mark de Valery.
- Jest templariuszem?

Soraya miała ochotę odpowiedzieć twierdząco. Templariusze nie zadawali się z kobietami. Nie potrafiła jednak skłamać.

- Nie - odparła słabym głosem.

Dlaczego jestem tak zła? - zastanawiała się. Powinno być mi

wszystko jedno, jakie grzechy popełni.

Irena pochyliła się nad leżącym Markiem i dotknęła małą dłonią jego czoła. Soraya spojrzała na swoje ręce. Też były małe, ale spalone słońcem i podrapane. Poza tym, chyba nie potrafiłaby się zdobyć na tak delikatny gest.

Irena odrzuciła kaptur, ukazując ciemne, kręcone włosy. Były gęste i puszyste, spięte na środku drogim diademem. Soraya dotknęła swego turbanu, pod którym kryły się jej własne, ścięte krótko, jak na kobietę, włosy.

- Obudź się, mój kochany - powiedziała Irena po grecku.

- Zobacz, jakie przynoszę ci rozkosze. Soraya nie mogła tego słuchać. Wyszła z pokoju i zastukała do sąsiednich drzwi.

- Wejść!

- Przepraszam, ale mój pan w tej chwili... mnie nie potrzebuje.

Może mógłbym czymś służyć waszej wielbności?

Mnich powitał ją szerokim uśmiechem. Za jego plecami dostrzegła Rogera de Clare, który się roześmiał.

- Cisza, de Clare - burknął mnich.

Mnich zaprosił ją do środka i poczęstował serem i białym chlebem. Sam natomiast usiadł po drugiej stronie stołu i zaczął coś śpiewać. Coś o spragnionym miłości księciu, pomyślała Soraya. Nie rozumiała dobrze frankońskiego dialektu z południa Francji.

Kiedy mnich skończył, pochylił się w jej stronę i położył dłoń na jej kolanie. Soraya drgnęła i cofnęła się odruchowo. Wcale nie miała ochoty na podobne poufałości.

De Clare podniósł się ze swego miejsca. - Zostaw chłopca - powiedział.

Mnich spojrział na niego wściekłym wzrokiem.

- Przecież go nie skrzywdzę, de Clare. Chcę się z nim tylko zaprzyjaźnić.

Rycerz jednak potrząsnął głową i wskazał Sorai oddalony od króla siennik. Usiadła na nim, zwinęła się w kłębek, starając się nie słuchać tego, co działo się tuż za ścianą.

To była jedna z najgorszych nocy w jej życiu. Gorsza nawet od tej spędzonej na statku. W ogóle nie mogła spać. Roger kręcił się na swoim miejscu, a mnich chrapał i co jakiś czas przesuwał się w jej stronę, więc starała się trzymać od niego z daleka. W końcu znalazła się w kącie, gdzie siedziała cicho.

Dopiero rano wróciła na swój siennik i udawała, że śpi.

Kiedy wreszcie wstała, wyszła na palcach na korytarz i zajrzała do izby de Valery'ego.

- Gdzie byłeś? - zapytał Mark i spojrział na nią gniewnie swoimi niebieskimi oczami.

- W sąsiednim pokoju, panie. Z zakonikiem i...

- Co? - De Valery uniósł się gwałtownie na łokciu.

- Przecież nie mogłem tu zostać, panie.

- Dlaczego? - spytał i spojrział na nią twardo.

- Bo... - zaczęła.

- Bo?! - powtórzył. - Czy możesz skończyć to zdanie? Soraya

z trudem przełknęła ślinę. Poczwała krople potu na czole.

- Bo byłoby tu zbyt tłoczno, panie.

De Valery zmarszczył brwi i spojrzwał na nią uważniej.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego miałyby tu być zbyt tłoczno?

- To... to z powodu tej dziewczyny, panie. Ireny. Na ustach rycerza pojawił się lekki uśmiech.

- Ach, Ireny.

Soraya zacisnęła usta. Nie chciała o tym rozmawiać. I wcale nie odpowiadał jej zapach kwiatowych perfum, który wciąż unosił się w powietrzu. Ale najbardziej nie podobało jej się to, co musiało tu zajść w czasie jej nieobecności.

- Spójrz na mnie, Soray.

Popatrzyła posłusznie na de Valery'ego, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

- Nie jesteś zbyt młody, by wiedzieć o takich rzeczach? Jak sądzisz, co wydarzyło się tutaj dziś w nocy?

- Nie wiem, panie - wymamrotała. - Wszystko mi jedno.

- Otóż powiem ci, że nic się tu nie zdarzyło. Irena leżała przy mnie, a ja spałem. Następnie wyszła stąd rano nietknięta.

- Ale dlaczego? - spytała zdziwiona Soraya.

Mark nie odpowiedział. Usiadł tylko w pościeli i przeciągnął się.

- Jesteś głodny?

- Nie, panie - skłamała. Wiedziała jednak, że jeśli zje teraz cokolwiek, to zaraz to zwróci.

- Ale ja jestem. Chodźmy na targ.

De Valery zapiął pas bezpośrednio na koszuli. Soraya zauważyła, że nie włożył kolczugi.

- Czy... - urwała, żeby odchrząknąć - czy ta Irena tu wróci?

Mark wciągnął buty i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Nie sędzę. Rozstaliśmy się w przyjaźni, ale... - urwał. -

Zresztą nie musisz tego wiedzieć. - Klepnął ją mocno po ramieniu. -

Poza tym Irena była darem dla mnie, a nie dla ciebie.

Soraya popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Może następnym razem - dodał Mark.

Następnym razem? Czyżby takie zdarzenia miały się jeszcze powtarzać?

- Nie chciałbym spać w jednym pokoju z zakonnikiem -

powiedziała nagle, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru.

Mark zmarszczył brwi.

- I słusznie. Chodź, zdaje się, że to zapach smażonej kiełbasy.

Na targu było tyle wozów i ludzi, że z trudem udało im się przedrzeć do straganów. Brukowany plac pełen był ruchu, kolorów i zapachów. Przekupnie nawoływali, zachwalając swoje towary. Nieco dalej zauważyła też akrobatów, którzy skakali, zabawiając kupujących w nadziei na zarobek. Dawno nie widziała tylu kolorów i nie słyszała tylu różnych języków.

I hałasów! Soraya myślała, że za chwilę pękną jej bębenki w uszach. Porozumiewała się z de Valerym wyłącznie gestami i co jakiś czas zatykała uszy, co jednak nie za bardzo pomagało. Spojrzała na

stragan z suszonymi owocami i słodyczami, a następnie pytając na de Valery'ego. On jednak potrząsnął głową i zaczął jej coś pokazywać. Dopiero po chwili domyśliła się, że chodzi mu o kiełbasy, i skinęła głową. Spojrzała jednak tęsknie na słodycze. De Valery zatrzymał się po chwili i pokazał rękami coś okrągłego. Tym razem i ona była zadowolona i szybko odnalazła stragan z dojrzałymi melonami.

Właśnie chcieli tam pójść, kiedy tuż obok pojawili się przyjaciele de Valery'ego: mnich i Roger de Clare. Soraya patrzyła, jak klepią go po ramieniu, ale nie mogła usłyszeć ich słów. Wszyscy trzej podeszli do straganu z melonami, a ona ruszyła za nimi. Pomyślała, że Normanowie nie mogą wiedzieć zbyt wiele o tym, jakie melony są najlepsze. Miała rację. Mnich po prostu wskazał parę pierwszych melonów. Soraya podeszła do niego i pokręciła głową. Następnie sięgnęła dalej, tam, gdzie kryły się te najlepsze. Kiedy się pochylała, zobaczyła za sobą jakiś ruch.

Mark również spojrzał w tamtą stronę i szybkim skokiem zasłonił własnym ciałem zakonnika, dobywając jednocześnie miecza. Soraya cofnęła się i wpadła na Rogera de Clare, który złapał ją za ramię, chcąc zmusić, żeby się skryła. Nagle pojawiła się przed nią jakaś ciemna postać z szerokim, zakrzywionym mieczem. Ludzie dookoła rozpierchli się, zostawiając ich samych przy stoisku. Soraya miała wrażenie, jakby użądliła ją stalowa pszczoła. Lewą ręką złapała się za prawe ramię. Po chwili dotarł do niej głos Marka:

- Biegnij za mną!

Zakonnik i rycerz ruszyli wąską uliczką. Soraya pobiegła za nimi,



choć wciąż czuła przeszywający ból. Nie miała pojęcia, co się stało z Rogerem de Clare. Nie wiedziała też, gdzie zniknął napastnik. Czy skrył się gdzieś i czekał na kolejną sposobność do ataku? Czy może po prostu uciekł albo padł od ciosów Rogera?

Po chwili usłyszała za sobą czyjeś ciężkie kroki. Spojrzała przez ramię. Był to na szczęście de Clare. Przebiegli we czwórkę do końca ulicy i przecięli niewielki placyk. Już nieco wolniej pokonali dystans dzielący ich od odsłoniętej polanki w pobliżu zatoki i tam się zatrzymali.

Roger, dysząc ciężko, usadowił się pod platanem. Tuż obok legli mnich i Mark. Soraya usiadła u jego stóp i popatrzyła na swoje ramię. Na szczęście było tylko lekko drażnione. Nie musiała go nawet opatrywać. Wystarczy, jak po powrocie do gospody przemyje ranę wodą z mydłem.

W końcu, kiedy odpoczęli, usiedli w ciasnym kole, żeby się naradzić. Wszyscy byli bardzo zaniepokojeni.

- Widziałeś jego twarz, de Clare? - spytał mnich. Roger potrząsnął głową.

- Nie. Tylko brązowy płaszcz i zakrzywiony miecz. Zakonnik zmarszczył brwi.

- Broń Saracenów.

- A mnie się zdawało, że płaszcz był czarny - powiedział Mark.

- Nie, brązowy.

Mnich wyciągnął w ich stronę rękę.

- Kolor przypominał zamuloną wodę - stwierdził autoryta-

tywnie. - Można powiedzieć, że był czarny albo brązowy.

Soraya potrząsnęła głową.

- Przepraszam, że się wtrącam - zaczęła - ale napastnik miał zielony płaszcz, kroju takiego jak twój, panie - zwróciła się do Marka.

- Zieleń była na tyle ciemna, że mógł się wydawać czarny. Poza tym był poplamiony błotem. Nogi miał owinięte czymś czarnym, a twarzy nie można było dostrzec, bo nosił maskę.

Mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu.

- Jesteś pewien? - spytał w końcu Mark.

- Tak, panie. Widziałem go bardzo wyraźnie. A także jego miecz. Był rzeczywiście zakrzywiony i szeroki.

- Właśnie - podjął de Clare. - Broń Saracenów.

- Tak, panie. Poza tym napastnik miał ciemne oczy, mógł więc być Turkiem, Kurdem albo na przykład Nubijczykiem.

- W każdym razie muzułmaninem - stwierdził Mark. - To nie ulega wątpliwości.

- Najprawdopodobniej, panie, chociaż Arabowie mogą być chrześcijanami. Na przykład Maronici. I Koptowie.

- Którego z nas chciał zabić? - spytał mnich.

De Valery wzruszył ramionami. Ta kwestia zupełnie go w tej chwili nie obchodziła.

- Którego z nas chcieliby zabić Saraceni? Wszystkich trzech! Roger de Clare zamyślił się, a potem pokręcił głową. Wziął

Sorayę za ramię i pokazał rozcięcie jej koszuli i ślady krwi.

De Valery zaklął. Zupełnie się tego nie spodziewał.

Soraya zachowywała się tak, jakby zobaczyła tę ranę po raz pierwszy.

- Zranił mnie? Dziwne...

- Nic nie czułeś? - zdziwił się de Valery.

- Coś jakby użądlenie pszczoły - odparła. - Ale nie miałem czasu, żeby o tym myśleć.

Mark obejrzał jej ramię.

- To nie była pszczoła.

Soraya rozejrzała się bezradnie dookoła.

- Ale dlaczego wybrał mnie, skoro... skoro...

- Skoro my bardziej wyglądamy na chrześcijan? - dokończył mnich. - To dobre pytanie. Miał do wyboru rycerzy i sługę bożego, a wybrał arabskiego wyrostka. Odrzucił kaptur i przez dłuższy czas patrzył de Valery'emu prosto w oczy. Soraya mogłaby przysiąc, że porozumieli się w tej chwili w jakiejś ważnej sprawie. W końcu de Valery obrócił się w jej stronę.

- Albo napastnik się pomylił... - zawiesił na chwilę głos - albo było to tylko ostrzeżenie.

Soraya zadrżała ze strachu. Doskonale wiedziała, że to ona była celem zamachu. Bała się, że jej towarzysze się tego domyślą i... nabiorą podejrzeń.

- Do licha! - mruknął mnich. - Ten chłopak nie jest przecież ważny. To ja...

Mark powstrzymał go gestem. Obawiał się, że król powie zbyt wiele. Wciąż musiał walczyć z jego temperamentem.

- Uważałbym raczej na słowa... wielebny ojcze.

Roger spojrział na mnicha, a potem na przyjaciela. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Na krew Pana Naszego! Kto o tym wie?

- Tylko de Valery - odparł cichym głosem zakonnik. - A teraz jeszcze ty.

Roger zerwał się, by klęknąć przed mnichem, ale de Valery zabronił mu tego gestem.

- Siadaj!

Roger poprosił oczami mnicha o pozwolenie, a kiedy ten skinął głową, zajął swoje dawne miejsce.

- Zapominamy o jednym - odezwał się Mark, który spojrział nagle na całą sytuację zupełnie nowymi oczami. - Napastnik chciał zabić Soraya. Pozostaje nam więc pytanie, dlaczego?

Poczuła, jak trzy pary oczu wbijają się w nią niczym szpilety. Mark położył dłoń na jej zdrowym ramieniu.

- Dlaczego? - powtórzył.

## Rozdział dwunasty

De Valery wciąż patrzył na Sorayę kamiennym wzrokiem. Wiedziała, że nie zdoła odwrócić teraz jego uwagi. Stało się właśnie to, czego się obawiała.

- Odpowiadaj, złodziejaszku.
- N... nie p... potrafię, panie - wyjąkała.
- Nie potrafisz, czy nie chcesz?
- Daj spokój chłopakowi - odezwał się Roger de Clare. - Nie wydaje mi się, żeby zrobił coś złego.

Soraya miała już odetchnąć z ulgą, kiedy dostrzegła uważne spojrzenie mnicha. Patrzył na nią, ściągawszy swe jasne brwi.

- Istotnie, nie zrobił nic złego - powtórzył. - Ale ciekawe, jakie tajemnice skrywa ten chłopak.

Chwytał ją za koszulę i przyciągnął do siebie. Poczwała, że jak na mnicha jest potężnie umięśniony, jakby brał udział w walkach i ćwiczył się w rycerskim rzemiośle. Patrzył na nią uważnie z góry.

- No, chłopcze, opowiedz nam o sobie.

Zanim zdążyła otworzyć usta, wykręcił jej rękę. Poczwała ból, który przeszył jej ciało, i myślała jedynie o tym, by nie zacząć krzyczeć. Mnich zacieśnił uścisk i cichy jęk wyrwał się z jej ust,

- Zostaw chłopaka - powiedział de Valery.
- Niby dlaczego? - mruknął złowrogo mnich. - Czuję, że wie więcej, niż chce powiedzieć.

- Daj mu spokój. Nawet Saraceni nie męczą dzieci.
- Za chwilę wszystko nam wyśpiewa.
- Puść go. - De Valery chwycił rękę mnicha, a ten popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Pamiętaj, że nie jestem uzbrojony.
- Pamiętam.
- Mark, pomyśl o tym, co robisz - odezwał się Roger de Clare, który milczał od dłuższego czasu, jakby się nad czymś zastanawiał.
- Już pomyślałem. - Na czole Marka pojawiły się krople potu, ale nie puścił mnicha.

Ten w końcu musiał się poddać i wypuścić ramię Sorai. Odsunęła się od niego natychmiast i zaczęła rozcierać bolące miejsce.

- Tak mi odpłacasz za to, że cię wyleczyłem, panie? - spytała z wyrzutem.

De Valery pociągnął ją w swoją stronę.

- Uważaj, chłopcze, bo masz do czynienia z siłą, która cię przerasta - mruknął.

Zakonnik splunął jej pod nogi i skrzywił się.

- W końcu i tak dowiem się, dlaczego ten człowiek chciał zabić ciebie, a nie mnie - rzucił.

Soraya nie mogła wyjaśnić, dlaczego Arab chciał ją zabić. Inaczej musiałyby zdradzić, że miała list do króla Anglii. Ten list, który Saladyn powierzył jej i Khalilowi. Nagle zaświtał jej pewien pomysł. Może jest sposób, by powiedzieć prawdę jednocześnie nie zdradzić tajemnicy. Było to tak sprytnie, że Khalil z pewnością by ją za to

pochwalił. A przy okazji będzie mogła zażądać od de Valery'ego zwrotu sztyletu.

- Powiem ci prawdę, panie - zwróciła się nie do mnicha, ale do rycerza. - Nie będę kłamać, gdyż byłby to śmiertelny grzech.

Zakonnik przewrócił oczami, a Roger zaśmiał się cicho. Tylko de Valery milczał i wpatrywał się w jej oczy. Przez moment miała wrażenie, że potrafi zajrzeć w głąb jej duszy. Poczula nagle ciepło, które wypełniło całe jej ciało.

- Nie jestem niewolnikiem, ani nawet sługą - zaczęła.

- Tak, a ja jestem samym świętym Andrzejem - mruknął.

Mnich postąpił krok w jej stronę.

- Kim jesteś, chłopcze?

- Powiem, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - rzucił zakonnik.

- Że mnie nie pobijecie.

- Prawdę mówiąc, chętnie bym to zrobił, ale... - spojrzał w stronę de Valery'ego - zdaje się, że masz obrońcę.

- Dwóch obrońców - dodał Roger de Clare.

Mnich zaśmiał się, najwyraźniej ubawiony takim obrotem sprawy.

- Więc jestem otoczony. Jak widzisz, możesz się czuć bezpiecznie - rzekł do Sorai.

Ona jednak nie spieszyła się ze swymi wyjaśnieniami. Zastanawiała się, ile może im powiedzieć. Tyle, by zapewnić sobie bezpieczeństwo i nie wzbudzić podejrzeń.

- Jak mówiłem, nie jestem sługą. Mój wuj, Khalil, był szpiegiem Saladyna...

- Samego Saladyna? - zaśmiał się zakonnik. - Jakoś trudno w to uwierzyć. Nie chce mi wierzyć, pomyślała Soraya. To dobrze. Na to właśnie liczyła.

- Zawsze towarzyszyłem wujowi. A kiedy zginął, ja musiałem podjąć się jego misji.

- I co to za misja? - spytał wciąż roześmiany mnich.

- Muszę dostarczyć wiadomość. Zakonnik wciągnął głęboko powietrze.

- Komu masz ją dostarczyć? Soraya uśmiechnęła się lekko.

- Królowi Anglii.

Tym razem wszyscy trzej mężczyźni wybuchnęli śmiechem. De Valery spoważniał pierwszy i spojrzał na nią świdrującym wzrokiem.

- Kłamiesz!

- Nie, panie.

- Kłamałeś wcześniej.

- Ale tym razem mówię prawdę - zapewniła.

- Nie możemy w to uwierzyć - ciągnął de Valery. - Takie bajki opowiada się dzieciom, a nie chrześcijańskim rycerzom.

- Nie, panie. Uwierz mi!

- Jesteś tylko służącym i nie zapominaj o tym, że służę królowi.

- A ja Saladynowi.

Mnich położył dłoń na ramieniu de Valery'ego.

- Zaczekaj - powiedział, a następnie zwrócił się do Sorai: -



Jak masz zamiar odszukać Ryszarda?

- Sam nie wiem. Mój wuj przybył do obozu Normanów, żeby się z nim spotkać, ale... - spojrzała na de Valery'ego - zginął, zanim zdołał dostarczyć wiadomość.

De Valery chrząknął i pokręcił głową.

- Świetnie opowiadasz swoje historie, chłopcze. Nie będziemy się z tobą nudzić w drodze do Francji.

Soraya omal się nie uśmiechnęła. Nie uwierzyli jej, na co liczyła od samego początku. Inaczej pewnie od razu zażądali listu.

- Cóż... - zaczął mnich, ale znowu się roześmiał - Chcesz powiedzieć, że ktoś nie chce, by ta wiadomość dotarła do króla?

- I że ten ktoś po śmierci twego wuja zaczął szukać ciebie? - dodał de Clare.

Zakonnik przestał się śmiać. De Valery wpatrywał się w nią tak intensywnie, iż miała wrażenie, że jego oczy zamieniają się za chwilę w dwa błękitne płomienie.

- A jeśli to prawda? - powiedział nieswoim głosem. Nagle wszyscy zamilkli. Król i Roger popatrzyli na de

Valery'ego tak, jakby był niespełna rozumu. Trwało to dosyć długo, aż w końcu de Clare wybuchnął śmiechem.

- *Et, alors* - rzucił wesoło - musimy poszukać króla.

- Nie - rzekł twardo de Valery. - Musimy wysłać wiadomość do króla, do Jerozolimy.

Roger spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Właśnie - powtórzył mnich. - Do Jerozolimy. Soraya się

zawahała.

- Muszę więc ruszyć w drogę - rzekła z westchnieniem. I znowu poczuła na sobie ich spojrzenia.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział de Valery.

- Będzie ci mnie brakowało, panie - zaczęła się z nim drażnić Soraya. - Ale przecież możesz się nauczyć, jak wybierać dojrzałe owoce. A nawet - sięgnęła za pazuchę i wyjęła bochenek chleba i daktyle - jak pożyczać jedzenie.

- Och, dopiero teraz czuję, jaki jestem głodny! - powiedział rycerz i sięgnął po chleb.

Mężczyźni zaczęli jeść, co jakiś czas wymieniając ukradkowe spojrzenia. Wciąż myśleli o tym, co przed chwilą usłyszeli. Pierwszy odezwał się Roger..

- Ja też powinienem wrócić do Jerozolimy - rzekł wolno.

- Więc przekaz królowi pozdrowienia ode mnie - odezwał się mnich.

De Valery przysunął się bliżej mnicha.

- To przebranie dobrze cię chroni, najjaśniejszy panie - szepnął.

- Założę się, że napastnikowi chodziło jednak o wiadomość, którą ma ten chłopak.

Zakonnik spojrzał w stronę Sorai.

- Gdzie masz ten list?

- Przy sobie, panie.

- Gdzie konkretnie?

- Nie mogę tego powiedzieć - odparła, cała drżąc. - Mogę ją

dostarczyć tylko Ryszardowi Lwie Serce.

Mnich zrobił groźną minę i wyciągnął mocną dłoń w jej stronę.

- Mamy sposoby, by zmusić cię do mówienia.
- Nie, panie. Możecie mnie torturować, ale nie zdradzę

Saladyna. Nigdy nie znajdziecie tej wiadomości.

Zakonnik pokiwał głową. Taka postawa wyraźnie mu imponowała.

- Odważny z niego chłopak - mruknął. - Zwłaszcza że jest słaby i bezbronny.

- Nie jestem odważny - szepnęła Soraya i zerknęła w stronę de Valery'ego. - Ale wiem, że prawda jest po mojej stronie.

- Wierzę mu - szepnął Mark królowi do ucha. - Rzeczywiście zabiłem jego wuja, bo wydawało mi się, że chce na mnie napaść. Wciąż mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Chłopak sam nie wymyśliłby takiej bajki.

Stanął przed Sorayą i spojrzał na nią świdrującymi oczami. Nie trwało to długo, ale ona miała wrażenie, że do chwili, kiedy się odezwał, upłynęła cała wieczność.

- Ufasz mi, chłopcze?
- Tak, panie. Do pewnego stopnia.
- Więc może ja też powiem ci prawdę, dobrze? Zakonnik

kaszlnął ostrzegawczo.

- Uważaj, de Valery.
- Zastanówcie się, król nie będzie bezpieczny, jeśli nie będzie

miał wszystkich wiadomości - powiedział Mark. - Dlatego musimy

dostać ten list.

W oczach mnicha zapłonęły na chwilę ognie, ale zaraz przygasły.

- Rób, co uważasz za słuszne, de Valery. Ale jeśli okaże się, że chłopak kłamał, każę zabić was obu.

- Chodź, chłopcze. - Mark odwrócił się plecami do zatoki. - Mam ci coś do pokazania.

- Mark! - krzyknął za nim Roger. - Daj spokój! To nie ma sensu!

- Zobaczymy - rzucił przez ramię Mark. Mnich tylko pokręcił głową.

- Niech idzie - rzekł zrezygowany. - Chłopak i tak mu nie uwierzy.

- Może jednak. Wydaje mi się, że jest dosyć sprytny.

- Ha! Sprytny jak na takiego złodziejaszka. Mydlił nam tylko oczy, żeby ocalić własną skórę.

De Clare lekko się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Nie doceniasz go... bracie. Stawiam mego konia, że potrafi rozpoznać prawdę.

- Zakład stoi!

Ruszyli obaj za de Valerym i jego służącym. Kiedy we czwórce znaleźli się w gospodzie, Mark poszedł wprost do swojej izby. Po chwili podniósł sienniki wyjął spod niego skórzaną torbę. Chłopak patrzył na nią bez większego zainteresowania. Roger de Clare i król zamknęli za sobą drzwi, ale stał tuż przy wyjściu, czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

Kiedy Mark znalazł to, czego szukał, spojrzął na Ryszarda a potem wyjął niewielkie zawiniątko. Ostrożnie rozwinął jedwab, ukazując mały, metalowy przedmiot.

- Oto osobista pieczęć króla Anglii - powiedział i podał ją Sorai, która zaczęła ją ostrożnie oglądać.

- Głowa z koroną - powiedziała.

- To król - poprawił ją Mark. - Insignia Ryszarda Plantageneta.

Soraya spojrzała na niego pytająco.

- Na chorągwi nad głównym namiotem znajdował się lew - zauważyła.

- Masz dobrą pamięć.

Roger szturchnął króla łokciem.

- Mówiłem, że jest inteligentny - szepnął.

Król wskazał metalową pieczęć.

- Co o tym sądzisz, chłopcze?

Soraya spojrzała Markowi prosto w oczy.

- Że jesteście lepszym złodziejem niż ja, panie.

- Ha! - wykrzyknął król i teraz z kolei on szturchnął Rogera. -

Więc teraz, chłopcze, jeśli nas nie oszukujesz, może pokażesz nam swoją wiadomość.

Soraya potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Jest przeznaczona tylko dla króla.

W pokoju zapadła kamienna cisza. Mężczyźni patrzyli na siebie, nie wiedząc, co dalej robić.

- Widzisz, de Clare - odezwał się w końcu król. - Więc jednak nie ma żadnej wiadomości. Ten chłopak jest tylko zwykłym służącym.

- Dźgnął Rogera palcem w pierś. - Jesteś mi winien konia.

De Clare jęknął zmartwiony. Ryszard zachichotał. Tylko Mark wciąż patrzył na Sorayę, która słuchała tej wymiany zdań, nie bardzo wiedząc, co ona oznacza.

- Uwierz mi, chłopcze. Król jest bardzo blisko - rzekł Mark.

- Gdzie?

- Tu, z nami.

- Dlaczego mam w to wierzyć?

- Ponieważ to ja ci to mówię. I dlatego, że, jak sam powiedziałeś, kłamstwo jest grzechem.

- Czyżby jeden z was był królem? - szepnęła Soraya.

Przysunęła się do Marka i sięgnęła po sztylet. Złapał jej

dłoń, ale wydała mu się tak mała i gładka, że zaraz ją puścił. Coś w tym chłopcu od dawna go niepokoiło. Nie miał pojęcia, co to takiego, wiedział tylko, że chce go chronić. Teraz jednak nie przypuszczał, by chciał kogoś zaatakować. Dlatego pozwolił mu wziąć sztylet.

Soraya chwyciła sztylet i skierowała w dół jego ostrze. Mark nie cofnął się. Wiedział, że nie ma się czego obawiać. I słusznie, gdyż Soraya wbiła sztylet w stół, a następnie sięgnęła po rubin. Mark nigdy mu się bliżej nie przyglądał. Teraz ze zdziwieniem stwierdził, że można go przekreślić.

To właśnie zrobiła Soraya i po chwili na jej dłoni znalazł się

kawałek welinowego papieru, który był ukryty w rękojęści sztyletu.

Ryszard i de Clare aż westchnęli na ten widok. Soraya wygładziła papier i nie patrząc nań, przekazała go Markowi.

List napisany był po arabsku.

- Do Ryszarda, króla Anglii, z braterskim pozdrowieniem - przetłumaczył Mark i obrócił się do Ryszarda.

Król zeszywniał na moment, a potem podszedł do stołu.

- Przetłumacz - powiedział.

Mark zmrużył oczy, starając się odcyfrować malutkie znaki.

- Strzeż się orła, który przysiadł obok lilii. Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie.

- Ach tak - powiedział Ryszard. - Orzeł to Austria, a lilia Francja. Leopold i Filip.

- Jest jeszcze podpis - dodał cicho Mark. - Saladyn.

- To oszustwo - mruknął Roger. - Przywódca Saracenów nie ostrzegałby chrześcijańskiego króla.

Król potrząsnął głową.

- Nie znasz Saladyna - mruknął Ryszard. - To uczciwy człowiek. Zawarłem z nim rozejm przed wyjazdem do Jaffy.

- Więc jeśli to prawda, ten chłopak naprawdę jest szpiegiem Saladyna - zauważył Roger.

Mark popatrzył na służącego, ale jego twarz nie zdradzała żadnego uczucia. Chłopak nie zaprzeczył jednak, co już było znaczące.

- Chodźmy na zewnątrz - powiedział do niego. Soraya skinęła głową.

Kiedy znaleźli się w pustej sieni, Mark pochylił się w jej stronę.

- Odpowiesz na moje pytania? - spytał przyciszonym głosem.

- Tak, panie.

- Masz mówić tylko prawdę, bo inaczej zabiję cię własnymi rękami.

- Tak, panie - odpowiedziała spokojnie.

Mark pomyślał, że bardzo polubił Soraya. Trudno by mu było spełnić swoją groźbę, ale chciał też wydobyć z niego wszystko, co wiedział.

- Powiedz najpierw, kim jesteś. Już wiemy, że nie służącym. Nie jesteś też Arabem.

- To prawda, Arabowie zabili moich rodziców, a mnie wywieźli do Damaszku. Tam sprzedali mnie do haremu szejka. Mój wuj, Khalil al-Din, kupił mnie i ćwiczył w swojej zenanie na szpiega.

- Więc nie był twoim prawdziwym wujem?

- Był jedynym krewnym, jakiego znałem. Był dla mnie dobry i zawsze traktował jak kogoś z rodziny.

- Chciałeś mnie zabić. Czy takie było życzenie twojego wuja?

- Nie. Chciałem pomścić jego śmierć, ale w końcu... okazało się, że nie potrafię tego zrobić.

- Dlaczego? - Mark wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Z wielu powodów. To nie przywróciłoby Khalilowi życia. W dodatku pismo uczy nas, że nie wolno zabijać. A poza tym... -  
Chłopak spojrzał na swoje sandały. - Poza tym, ty też, panie, byłeś dla mnie dobry. Widzę, że masz już dosyć wojny i zabijania. Po prostu cię



polubiłem...

Mark odwrócił na moment głowę, wyraźnie wzruszony. Nie sądził, że zapala taką sympatią do arabskiego wyrostka. Jednak Soray wielokrotnie dowiódł, że zasługuje na przyjaźń.

- Dlaczego więc nie zaniósłeś wiadomości od Saladyna bezpośrednio do króla?

Soraya wzruszyła ramionami.

- Nie mogłem tego zrobić, panie. Zabrałeś przecież sztylet, w którym znajdował się list. Dlatego musiałem z tobą jechać. Nie mogłem też poprosić o sztylet, bo uznałbyś, że znowu chcę cię zabić.

Mark zmarszczył czoło. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- A ten Arab z mieczem, który na ciebie napadł? Rozpoznałeś go? Pewnie miał cię zabić, żebyś nie mógł dostarczyć listu.

Soraya skinęła głową.

- Tak myślę. Nie znam tego człowieka, ale wszędzie pełno jest płatnych zabójców. Łatwo ich wynajść.

- Orzeł i lilia - mruknął Mark. - Jeśli ktoś nie chce, by ta wiadomość dotarła do króla, uderzy raz jeszcze. Nikt przecież nie wie, że król podróżuje w przebraniu.

- Na szczęście, ja już spełniłem swoją misję.

- Nie do końca. Twój wrogowie nie wiedzą, że doręczyłeś wiadomość i będą chcieli cię zabić. Nie jesteś jeszcze bezpieczny.

- Ale powinienem chyba wrócić do Jerozolimy...

- Lepiej będzie, jeśli zostaniesz z nami. Kiedy król dotrze bez-

piecznie do Anglii, wrogowie przestaną czyhać na twoje życie.  
Natomiast wracając do Jerozolimy, poważnie się narażasz.

Jednak tak naprawdę Mark nie chciał, żeby Soray odjechał. Pragnął zatrzymać go przy sobie. Po śmierci brata pogrążył się w smutku, a chłopak dodawał mu otuchy. Wiedział też, że w miarę zbliżania się do Szkocji będzie mu coraz smutniej.

Soraya spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy chcesz, żebym odjechał, panie?

Mark pokręcił głową. Zrobiło mu się przykro na myśl, że mógłby stracić służącego i... towarzysza. Czuł, że jakaś dziwna więź połączyła go z Sorayem, chociaż nie potrafił jej określić.

- Wolałbym, żebyś został.

Oczy chłopaka załśniły, ale zaraz spuścił głowę i zaczął się wpatrywać w kamienną posadzkę.

- A czy nie zmęczyła cię obecność tego, który pragnął twojej śmierci?

- Wielu ludzi pragnęło i pragnie mojej śmierci, chłopcze. Normanowie, Saraceni, nawet Szkoci z innych klanów, zwłaszcza teraz, kiedy zostałem dziedzicem Rossmorven. Świat nie jest bezpieczny, a ty, Soray, nie stanowisz większego zagrożenia.

Soraya wyprostowała się na całą swoją wysokość.

- Nie stanowią? Mark się zaśmiał.

- Nie przejmuj się tym. Jeszcze wyrośniesz.

No tak, pomyślała. Właśnie tego się obawiała. Ostatnio zauważyła, że ma coraz cieńszą talię i większe piersi. Wiedziała, że nie

może podróżować jako kobieta po tej obcej ziemi, gdzie rycerze nie dotrzymywali ślubów czystości, a kobiety sprzedawały swoje ciało po gospodach.

Zauważyła też, że zaczyna inaczej traktować mężczyzn. Choćby tego, który stał teraz przed nią. To było dla niej coś zupełnie nowego.

De Valery wyciągnął dłoń i uniósł nieco jej brodę.

- Wybór należy do ciebie - powiedział.

Niestety, nie była to prawda. Nie mogła opuścić Marka de Valery'ego. Czuła się z nim za bardzo związana i to również ją niepokoiło.

- Co zrobisz, Soray?

Postanowiła zrobić to, co dyktowało jej serce. Nie mogła mu tylko wyjawiać, dlaczego.

- Zostanę z tobą, panie - odparła.

## *Rozdział trzynasty*

Mark zbadał wzrokiem zatłoczoną uliczkę, którą wcześniej opuścili, a także kępę drzew, gdzie się zatrzymali. Nic jednak nie wzbudziło jego podejrzeń. Wszystko wokoło wydawało się spokojne. Mimo to czuł, że powinni jechać dalej.

- Tracimy czas - powiedział do króla, który wciąż miał na sobie mnisie przebranie.

Ryszard zacisnął szczęki.

- Na miłość boską, de Valery, pozwól nam odpocząć!
- Nie mogę. Musimy wyjechać już dzisiaj i nikt nas przy tym nie może widzieć.
- Pff! Przecież po zachodzie słońca zamkną bramy miasta. I jak przez nie przejdziemy z naszymi wierzchowcami?
- Zaczekamy tu aż do zmierzchu, a potem, kiedy strażnik zacznie zamykać bramę, wyśliźniemy się na zewnątrz.

Ryszard jeszcze burczał coś pod nosem, ale usiadł pod drzewami w pobliżu Marka, Rogera i Sorai. Siedzieli w milczeniu, patrząc na czerwone słońce, które powoli chyliło się ku zachodowi.

Mark powstrzymywał ich, aż zrobiło się niemal ciemno. Dopiero wtedy dał znak do odjazdu. Poprowadzili konie do zachodniej bramy i zatrzymali się tuż przy niej. Soraya trzymała szeroki rękaw płaszcza swego pana i rozglądała się uważnie dookoła.

Przez bramę weszło dwóch spóźnionych kupców z obłado-

wanymi towarami mułami. Mark czekał, aż odejdą dalej ulicą, która wychodziła na targ, a następnie dał znak Ryszardowi i Rogerowi, by się pospieszyli. Najpierw miał iść Roger, następnie król, a Mark z Sorayą na samym końcu.

Strażnik zaczął zamykać bramę. Usłyszeli zgrzyt metalowych łańcuchów i jęk opuszczanej kraty.

- Zaczekaj! - krzyknął Mark.

Strażnik nie zwrócił na niego uwagi i wciąż zamykał bramę. Jeszcze chwila, a wielkie konie rycerzy nie będą mogły przejść pod kratą.

Mark zaklął i pociągnął zwierzęta ku bramie. Czyżby miało im się nie udać? Soray puścił jego rękaw i ruszył w kierunku strażnika. Do licha, czy ten chłopak nigdy nie nauczy się posłuszeństwa?

Mark zostawił konia i podążył za służącym. Po chwili złapał go wpół.

- Soray, co robisz? - szepnął.

Pod rękami poczuł coś delikatnego i miękkiego. Coś, co przypominało kobiece piersi. Soray szarpnął się i podbiegł do strażnika, który wciąż mocował się z łańcuchem.

- *Vatene, farfante!*

Chłopak złapał go za ramię i zaczął pokazywać, żeby poczekał. Mark uważnie mu się przyjrzał. Dopiero teraz zauważył, że ma szersze biodra i bardzo wąską talię. Jak to się stało, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi?

Może dlatego, że nigdy mu się nie przyglądał. Czemu miałby się

zajmować zwykłym służącym?

Soray zaczął się sprzeczać ze strażnikiem w różnych językach. Zapewne chodziło mu o to, by oni w tym czasie mogli przejść przez bramę. Mark gwizdnął na swego konia i już po chwili był wraz z towarzyszami za bramą.

- Sprytny chłopak - powiedział Ryszard. - *Allons*.

Soray wyszedł za bramę jako ostatni, nie przejmując się tym, że strażnik powrócił do swojej pracy.

Mark nie ruszał się z miejsca. Wciąż jeszcze myślał o tym, że jego służący tak naprawdę jest kobietą. Chętnie by go... ją udusił za takie oszustwo.

Ryszard spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co cię gryzie, de Valery? - spytał.

- Nic... trochę osłabłem - odparł i nieświadomie położył dłoń na sercu.

- Nie przejmuj się tym. Zaraz ci się polepszy. Nareszcie mamy przed sobą otwartą przestrzeń i świeże powietrze.

Mark skinął głową i spojrział do tyłu. Soray nie odważył się podejść do niego. A więc jest dziewczyną, a nie chłopcem. Oszukał go tak haniebnie. Mark aż zatrzęsł się z gniewu. A on mu... jej zaufał.

W dodatku martwił się o jego niewinność, dbając o to, by nie zbliżył się za bardzo do Ryszarda. Chciało mu się śmiać. Kto by przypuszczał, że kobieta będzie w stanie znosić wszystkie niewygody podróży? I że będzie walczyć. Do licha, polubił tego chłopaka. Opowiedział mu nawet o swoim bracie. O bólu związanym z jego

utrata.

Przypomniął sobie, jak Soray pomagał mu zdejmować buty. Podawał mu kolczugę. Jak namydlał w kąpielni jego nagie ciało...

Kąpali się w tej samej izbie. Nawet spali w tym samym łóżu. Do licha, chyba musiał być ślepy.

Otoczyła ich głęboka ciemność. Posuwali się bardzo wolnowe wskazanym przez Marka kierunku. Szli na północ. Starali się trzymać blisko siebie, żeby się nie pogubić.

Mark zastanawiał się przez chwilę, czy nie zostawić Soraya na wzgórzach Umbrii. Nie byłoby to zachowanie godne rycerza, ale był tak wściekły na swego służącego, że w ogóle o tym nie myślał. Poza tym podróż z kobietą oznaczała większą odpowiedzialność.

- O świcie dotrzemy do Montiano - powiedział do Rogera i króla. - Odpoczniemy w dzień, a potem znowu będziemy jechać w nocy.

Przynajmniej nie będzie musiał oglądać Soraya, czy jak tam nazywała się jego towarzysza. Może uda mu się wtedy zapomnieć o służącym, którego tak polubił. I w ogóle nie zwracać uwagi na... osobę, którą miał tuż obok.

Zacisnął usta i spojrzał przed siebie. W blasku księżyca zauważył ruiny dawnej warowni. Puścił wodze Jupitera i złapał Soraya za ramię. Powiedział królowi i Rogerowi, by poczekali na nich przy warowni, sam natomiast chciał się rozmówić ze służącym.

Musiał przyznać, że podziwiał odwagę tej dziewczyny. Jednak przede wszystkim pragnął ją ukarać za to, co zrobiła. Zatrzymał się na

poboczu i jednym ruchem ściągnął turban z głowy dziewczyny.

Następnie wyciągnął rękę i dotknął jej piersi, ale szybko ją cofnął, jakby się sparzył. A ona stała, patrząc na niego dumnie.

- Więc nie jesteś chłopakiem - powiedział nieco drżącym głosem.

- Nie, nie jestem.

Mark zazgrzytał zębami. Dawno nie był tak zły.

- Jak więc masz na imię?

- Soraya - odparła, a potem, zanim zdołał się zorientować, wymierzyła mu cios w brzuch, tak że zgiął się we dwoje. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj. Mark z trudem złapał oddech.

- Mógłbym cię za to zabić - rzucił. - Mam do tego prawo.

- Za co? - spytała. - Tylko za to, że się bronisz? Czy za to, że cię oszukałam? Czyżbyś był aż tak dumny, że nie możesz znieść tego małego upokorzenia?

Mark wyprostował się i posłał jej długie spojrzenie.

- Nie waż się w ten sposób do mnie mówić. Jesteś tylko moim sługą.

- Nie jestem twoim sługą - powiedziała Soraya. - Nie jestem nawet twoją służącą.

- Do licha z tobą - mruknął Mark i przywołał Jupitera. Chciał jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę i... zapomnieć o Sorai. Wsiadł niezręcznie na wierzchowca, a potem ruszył w stronę króla i Rogera, nie oglądając się za siebie.

- Jaką mamy cichą i spokojną noc - zauważył Ryszard, kiedy



zatrzymał się przy ruinach.

Mark zmełł w ustach przekleństwo. Ta noc wcale nie wydawała mu się spokojna. Z westchnieniem skierował Jupitera w stronę Gwiazdy Polarnej i ruszył przed siebie. W tym momencie Soraya wskoczyła na konia i objęła go z tyłu. Mark poczuł, że zaczyna się pocić. Wcale nie miał ochoty na jej towarzystwo, a jednocześnie... bałby się ją tu zostawić. Czuł się dziwnie rozdarty, jakby sam nie wiedział, czego chce.

Jechali spokojnie. Księżyc znalazł się już w najwyższym punkcie na niebie, kiedy Soraya przysunęła się bliżej do niego -

- Słyszę konie, panie - szepnęła.
- Ja też - odparł cicho.

Czuł się za nią teraz jeszcze bardziej odpowiedzialny. Wahał się przez chwilę, a potem wyjął sztylet z klejnotem zza swojego pasa i podał go Sorai.

- Weź to - powiedział. - Jeśli nie będziesz mogła się bronić, może kupisz życie za ten klejnot.

- Dziękuję, panie - szepnęła.

Cofnęła się, by włożyć sztylet za pas, po czym znowu przyłgnęła do Marka, który starał się nie myśleć o tym, że jest tak blisko. Po chwili podjechał do Rogera, który osłaniał króla od tyłu.

- Konie - szepnął.

Przyjaciel skinął głową. On też usłyszał stuk kopyt i zapewne również się zaniepokoił.

- Tak, wiem.

- Jadą za nami już od jakiegoś czasu. Skręć z Ryszardem na wschód, a ja ich wezmę na siebie i pojedę na północ. Spotkamy się jutro w Montiano, w klasztorze Świętego Stefana.

- Jak Bóg da - szepnęła Soraya.

Mark skinął głową. Patrzył jak Roger wraz z królem zbaczają ze szlaku, by zjechać na boczną drogę, sam natomiast oparł dłoń na szyi Jupitera. Koń zarżał głośno.

Soraya wychyliła się do tyłu i nadstawiła uszu.

- Jest ich dwóch, panie.

Tylko dwóch, pomyślał z ulgą Mark. Ciekawe, kim są? Francuzi będą ścigać króla, a Saraceni Sorayę. Trudno mu będzie pokonać dwóch jeźdźców naraz, mając jednocześnie za sobą dziewczynę.

- Moim zdaniem to Francuzi - powiedziała Soraya. - Arabowie jeżdżą ciszej, a Francuzi tak jak ty, panie.

- Masz słuch tak samo ostry jak język - mruknął.

- Chcę żyć - powiedział Soraya. - Ale nasi ludzie są cisi niczym cienie. Nawet mnie trudno by ich było usłyszeć. Mark odczekał chwilę, chcąc się upewnić, że ich prześladowcy nie pojedą tropem króla i Rogera, a następnie zwrócił się do Sorai.

- Spróbujemy ich zgubić. Ukryjemy się w tych ruinach.

Podjechał wolno do zniszczonego muru, starając się nie robić hałasu. Wiedział, że ma za sobą dwóch jeźdźców i zastanawiał się, jak ich oszukać. W końcu wjechał w ruiny, gdzie oboje z Sorayą zsiadli z konia i ukryli go za murem. Na znak Marka położyli się na ziemi. Było im zimno, ale leżeli bez ruchu i nasłuchiwali.

- Zaczekamy i zobaczymy, czy pojedą dalej - szepnął. Soraya skinęła głową. Mark położył dłoń na jej wargach, ale zaraz ją cofnął.

- Nic nie mów - dodał.

Po chwili usłyszeli nadjeżdżających jeźdźców. Dźwięki, jakie do nich dochodziły, wskazywały na to, że mają na sobie kolczugi, a nie miękkie arabskie stroje.

- *Beeilon sie sich!*

Soraya jeszcze mocniej przywarła do ziemi. Mark wyjrzał zza muru. Jeden z jeźdźców zaczął śpiewać po niemiecku jakąś nieprzyzwoitą piosenkę o rycerzu i szynkareczce z krągłymi piersiami. Mark aż poczerwieniał. Miał nadzieję, że Soraya nie zna niemieckiego.

Jednak drzenie jej ramion wskazywało, że rozumie słowa piosenki. Znała więc niemiecki, a przy okazji dobrze się bawiła.

Mark przysunął się do niej.

- Jeśli wydasz choć jeden dźwięk, to cię zaduszę. Skinęła głową, chociaż wciąż trzęsła się ze śmiechu. Mark

wstrzymał oddech, nasłuchując jeźdźców. Nie wydawali mu się groźni. Nikogo nie szukali. Jechali po prostu drogą przed siebie. Soraya również domyśliła się, że nie są niebezpieczni. Ot, po prostu dwaj zabłąkani rycerze w drodze do domu...

- W waszych piosenkach nie ma ani odrobiny poezji - powiedziała Soraya. - A tylko grube słowa.

Mark wyprowadził Jupitera z ukrycia.

- Poezji? A co ty możesz wiedzieć o poezji?

- Bardzo dużo, panie. Znam Owidiusza, Omara Khayyama i nawet pieśni króla Salomona.

- Kłamiesz - burknął.

- Mówię prawdę. „Jesteś piękna, pani - zacytowała. - masz oczy gołębiczy i...”.

- Wystarczy. Wygląda na to, że szpiedzy Saracenów szkołą się nawet w poezji - powiedział jadowicie.

- Jak widzisz, panie - powiedziała, wychylając się zza muru. Trakt był pusty. Ruszyli wolno przed siebie i przez większą część drogi oboje milczeli.

Po paru godzinach zaczęło się rozjaśniać. Mark rozejrzał się dookoła. Miał nadzieję, że już niedługo dotrą do klasztoru w Montiano, a wtedy zażąda od Sorai dalszych wyjaśnień.

## *Rozdział czternasty*

Soraya przymknęła oczy i oparła się czołem o plecy Marka, Miała zeszywniałe ramiona i czuła się obolała po nocnej jeździe. Z trudem trzymała się pasa swego pana, a poza tym była głodna. Zapach morza został daleko za nimi, a to spowodowało, że przypomniała sobie o jedzeniu. Mijali gaje oliwne i wioski, gdzie o tej porze kręciły się tylko jakieś kundle.

Minęli też bardziej okazały budynek z szarego kamienia. Sądząc

po zapachu, była to tłocznia win. Soraya poczuła, że ślina napływa jej do ust. Była nie tylko głodna, ale też bardzo spragniona.

Noc pachniała kurzem, a w pobliżu wiosek unosił się odór gnijących odpadów. Dlatego z przyjemnością powitała chłodny wiatr, chociaż jednocześnie poczuła, że jest jej zimno. Zęby jej zadzwoniły i Soraya jeszcze mocniej przywarła do Marka.

Ten nagle zeszywniał.

- Nie martw się, panie. Nie zniszczę ci płaszcza. Poczuela, że się śmieje. Czyżby sprawiły to jej słowa? Soraya uniosła głowę.

- Co cię tak bawi, panie? - spytała. - Mam nadzieję, że nie mój zmarznięty nos.

Mark pokręcił głową. Nie sądził, że jest aż tak naiwna.

- Nie, nie nos. Znam już twój sekret i wiem, czym tak do mnie przywarłaś. Na pewno nie nosem.

Soraya cofnęła się nieco, ale zaraz musiała się do niego przytulić, bo znowu zrobiło jej się zimno.

- Nie myśl o tym, panie. Tak będzie lepiej...

- Spragniony koń myśli o wodzie - odpowiedział jej przysłowiem.

- Ale ty nie jesteś koniem. Mark zaśmiał się ponuro.

- Wolałbym być koniem - mruknął. - Konie nie mają wyobraźni.

Soraya uśmiechnęła się do siebie. A więc zaczął myśleć o niej jak o kobiecie. Znaczyło to, że ma nad nim jakąś władzę. Było to dla niej coś zupełnie nowego. Nigdy wcześniej tego nie doświadczyła. Ale

teraz tak wiele zmieniło się w jej życiu.

- To prawda, że jesteś mężczyzną - powiedziała. - Jesteś silniejszy i możesz mnie pobić.

- Na razie to ja dostałem w brzuch - zauważył.

- To dlatego, że byłem wściekła, bo mnie zaatakowałeś - wyjaśniła. - Nagle poczułam się słaba i bezbronna. Tak naprawdę nie mogłabym z tobą walczyć.

- Przestań, na miłość boską, gadać. Kobiety nie walczą w ten sposób...

- Och!

Przez chwilę zastanawiała się, jak walczą kobiety. Mark dał jej klucz do rozwiązania tej zagadki. Powiedział o wyobraźni. Soraya zrozumiała, że to kobiecość jest ich największym atutem, chociaż ona potrafiła też władać innymi rodzajami broni.

Postanowiła, że tak czy tak Mark musi zapłacić za jej upokorzenia.

- W zenanie, gdzie spędziłam dziesięć wiosen, inne dziewczęta uczyły się tego, jak postępować z mężczyznami - zaczęła sugestywnie. - Nie brałam w tym udziału, ale teraz te lekcje bardzo by mi się przydały.

Mark nagle się wyprostował i spojrzał na nią z urazą. Na jego czole pojawił się srogi mars.

Soraya zaśmiała się, ale zaraz umilkła. Nagle dotarło do niej, że nie może bezkarnie drażnić się z Markiem. Ona też była spragniona jego dotyku, pragnęła poczuć go blisko... Tak, to było prawdziwe

niebezpieczeństwo i instynktownie wyczuwała, że musi się go strzec.

- Już niedługo dotrzemy do Montiano - powiedział Mark, wskazując przed siebie. - Miasteczko leży na końcu tej doliny.

Spojrzała przez jego ramię, ale widziała tylko drogę i kładące się na niej długie cienie.

- Czyżbyś był w stanie widzieć w tym półmroku, panie? - spytała.

Mark pokręcił głową.

- Nie. Po prostu znam tę drogę. Jechałem tędy już wcześniej.

- A król? Czy też ją zna?

Mark westchnął zmęczony. Teraz przynajmniej rozumiał, skąd brała się gadatliwość Soraya czy raczej Sorai.

- Tak. Na pewno nie zabłądzi, pod warunkiem, że skupi się na jeździe. Jego ukochana siostra, Joanna, jest królową Sycylii. Przebywa tam również jego żona, Berengaria. Dwie gołębice w klatce pełnej jastrzębi.

- Doskonale wiem, jak się czują. W zenanie byłam jak ptak wśród kotów. Tyle że eunuchy nie mają...

- Bądź cicho - przerwał jej Mark. - Czy nie możesz milczeć choć przez chwilę?

- Nie przyjmuję od ciebie rozkazów - powiedziała zbuntowana Soraya. - Nie jestem twoją niewolnicą.

- Jeśli chcesz być ze mną, musisz robić, co każę. Puściła jego pas i dotknęła delikatnie pleców.

- Oczywiście - rzekła miękki tonem. Mark znowu drgnął i

obejrzał się za siebie.

- Jesteś bezczelna.
- Ale, jak zauważyłeś, potrafię też być użyteczna.

Mark pokręcił głową. Zrozumiał już, że prowadzi z nim grę, ale nie akceptował jej reguł i chciał to jakoś wyrazić.

- Nadużywasz mojej cierpliwości, Sorayo.
- O to mi chodzi, panie.

Mark dźgnął konia ostrogami. Musiała mocno chwycić się pasa, żeby nie spaść z wierzchowca.

- Klasztor - rzucił Mark przez zaciśnięte zęby. - Tam, za tymi drzewami.

Nareszcie. Nareszcie będzie mogła się ogrzać i odpocząć. Musiała dojść do siebie po tej podróży. Poza tym liczyła na to, że będzie mogła się wreszcie wykapać - sama. A w każdym razie się umyć. Bardzo jej to było potrzebne.

Po chwili wyrósł przez nimi mur z szarego kamienia. Budynek klasztoru wyglądał jak przykucnięta sowa. Nie był duży, ale dosyć wysoki. Dostępu do niego broniła drewniana brama z solidnymi okuciami.

Soraya pociągnęła nosem, przyglądając się budynkowi. Na ścianach nie było żadnych ozdób, niczego, co mogłoby ucieszyć oko. Czyżby ci mnisi nie chcieli zjednać sobie łaski bożej sztuką zdobniczą? Czyżby nie wierzyli w to, że można w pięknie odnaleźć Pana? W jej kraju, gdzie dbano zarówno o szczegóły architektoniczne, jak i o piękno słów, było zupełnie inaczej.



- Nie podobają mi się italskie ziemie - rzekła z westchnieniem.  
- Tutejsze wioski cuchną odpadkami, a budowle wyglądają tak, jakby to były zwykłe chaty.

- Nic o tym nie wiesz - zachnął się Mark. - Rzym stanowi serce potężnego imperium.

- Nie, to Konstantynopol jest sercem świętego imperium - stwierdziła.

- Dla chrześcijanina te ziemie stanowią centrum wszechświata.  
- Mark skierował Jupitera do bramy i pociągnął za sznur od dzwonka.  
- Ha, ładne mi centrum! Nie ma tu nic świętego.  
- Chrześcijanie wierzą, że jest.  
- Tylko ciemni, niewykształceni chrześcijanie - spierała się.

Mark spojrzał na nią przez ramię z czymś w rodzaju pogardy. Tak to przynajmniej odebrała. Wciąż demonstrował swoją wyższość i bardzo ją to denerwowało. A przecież tak niewiele wiedział o jej kulturze.

- Co ty możesz wiedzieć o wszechświecie? - mruknął.  
- W zenanie uczono mnie...  
- Dostyc już o tej zenanie!  
- Traktujesz mnie jak niewierną - zauważyła z pretensją w głosie.

- A nie jesteś nią?

Chciała odpowiedzieć, ale w tym momencie jakaś Zakapturzona głowa pojawiła się w okienku przy bramie.

- Pokój z wami - powiedział mnich.

- I z tobą, bracie - odpowiedział Mark.
- Skąd przybywacie i kim jesteście?
- Z Ziemi Świętej. Jesteśmy wędrowcami szukającymi

schronienia.

- Ilu was jest?
- Dwóch.
- Dobrze.

Brama otworzyła się zadziwiająco cicho. Zapewne mnisi dbali o nią i ją oliwili.

- Możecie wjechać - powiedział mnich. - Jestem brat Andreas. Dostaniecie jedną izbę, bo inni podróżni zajęli drugą...
- Nie macie trzeciej? - zdziwił się Mark. Brat Andreas pochylił pokornie głowę.
- Jesteśmy biednym zakonem, *signore*. Ale jedna izba powinna wystarczyć dla was i - spojrzał na Sorayę - waszego służącego.

Kiedy znaleźli się w środku, mnich zamknął bramę. Wewnętrzny dziedziniec wydawał się bardzo ciasny. Klasztor rzeczywiście nie był zbyt duży, a to wrażenie pogłębiała jeszcze wszechobecna szarość. Mieli wrażenie, jakby poruszali się w półmroku, ograniczeni ze wszystkich stron murami, które powoli przesuwały się w ich stronę.

- Nie jesteś więc muzułmanką? - zapytał Mark przyciszonym głosem.

Soraya potrząsnęła głową.

- Nie. Moi rodzice byli chrześcijanami, a ja nie zmieniłam wiary. Tyle że uczyłam się zasad Koranu, jak również stosownych

modlitw, bo tego chcieli moi nauczyciele.

Mark skinął głową.

- Tak, wspominałaś już o tym. Przecież sprzedano cię jako niewolnicę.

- Zawsze czułam się inna i samotna - rzekła ze smutkiem Soraya. - I to nie tylko z powodu wiary.

Skierowali się do budynku, który wskazał im brat Andreas.

Zawsze czułam się samotna - te słowa Sorai dźwięczały w uszach Marka. On zawsze czuł, że ma brata, na którym mógł polegać, ale teraz, po jego śmierci, dotarło do niego straszne znaczenie tych słów. Teraz on też czuł się osamotniony. Wiedział, że musi przejąć rodzinny majątek i zachowywać się jak dziedzic, ale najchętniej zaszyłby się w takim właśnie klasztorze, gdzie mógłby spędzić resztę życia.

Mark westchnął ciężko, myśląc o tym, że nigdy już nie zobaczy brata. Że nie będą mogli porozmawiać o swoich wyprawach i doświadczeniach. Czuł się tak, jakby nagle umarła część niego samego. Brakowało mu łez, by móc opłakać tak wielką stratę.

Nagle poczuł, że teraz przede wszystkim musi chronić Sorayę. Czuł to już wcześniej, na statku, kiedy płynęli na Cypr, ale teraz to uczucie było znacznie silniejsze. Cóż, miał wtedy do czynienia z bezczelnym chłopakiem, który nagle zamienił się w samotną dziewczynę. To była bardzo poważna zmiana.

Odniosł wrażenie, że jakaś sieć zaciska się wokół jego serca. Nie miał jednak pojęcia, co to znaczy. Wiedział, że nie mógłby opuścić

Sorai, ale przecież nie mógłby też opuścić Ryszarda, który był jego panem.

Mnich w białym habicie przyglądał im się przez chwilę. Soraya zauważyła, że ma okrągłą twarz i krzaczaste brwi. W świetle wschodzącego słońca dostrzegła też jego długie, wypiełgnowane palce. Słyszała, że mnisi utrzymują się z uprawy ziemi, ale ten z całą pewnością nie pracował w polu.

Soraya poczuła się niepewnie. Brat Andreas z jakiegoś powodu ją niepokoił. Może chodziło o to, że miał tak natchniony, niemal dziecięcy wyraz twarzy. A może o to, że przypatrywał jej się z nieskrywaną ciekawością.

- Stajnia jest właśnie tutaj, *signore* - powiedział mnich. - Nie mamy własnych koni, ale stoją w niej w tej chwili dwa piękne rumaki.

- Bardzo dziękuję, świętobliwy bracie.

Mark nakazał Sorai ruchem głowy, by zeskoczyła z wierzchowca, a następnie sam zsiadł z Jupitera. Doskonale wiedział, że w stajni znajdują się konie Rogera i Ryszarda, ale się *i* tym nie zdradził. Wszedł do środka, a po chwili wynurzył się z ponurą miną

Zakonnik wskazał im dalszą drogę.

- Proszę za mną - powiedział.

Poprowadził ich do drewnianego budynku, w którym mieściły się izby klasztorne. Kiedy Mark i brat Andreas weszli do środka, Soraya została na chwilę na zewnątrz, by rozejrzeć się po zabudowaniach.

Klasztor rzeczywiście był chyba dosyć biedny. Tylko jego surowe mury były z kamienia, resztę wykonano z drewna. Za-

budowania nie wyglądały zbyt okazale, nie mówiąc o zdobieniach. Mnisi już nie spali. Z jednego z budynków, zapewne kaplicy, dobiegały do niej jakieś śpiewy. Czowała spokój, który spowijał to miejsce jak kokon. Nareszcie byli bezpieczni i mogli się tym cieszyć.

Gdy weszła do środka, Mark czekał na nią w niewielkiej sieni. Soraya dopiero teraz zauważyła jego zaciętą minę. Brat Andreas znajdował się nieco dalej i wskazywał dłonią długi korytarz.

- Wasza izba znajduje się na końcu, po prawej stronie - powiedział. - Tuż obok komnaty tamtych wędrowców.

- Będę chciał z nimi porozmawiać.

- Teraz? - zdziwił się mnich. - Jest już po laudzie. Na pewno obaj śpią mocno, bo mówili, że jechali całą noc.

Brat Andreas poprowadził ich do izby. Była mała i stało w niej tylko jedno wąskie łóżko i solidna komoda. Mnich uklonił się im z uśmiechem.

- Życzę dobrego odpoczynku, *signore*.

## Rozdział piętnasty

Mark niemal natychmiast zamknął drzwi za mnichem i zamyślił się ponuro. Soraya spojrzała na wąskie łóżko, a potem na zaciętą minę Marka.

- Co się stało? - spytała.

- Konie - odparł. - Żaden z nich nie należy do Rogera czy króla.

Soraya wciągnęła głęboko powietrze do płuc. Od razu pojęła, co to może znaczyć.

- Ale przecież oni śpią w pokoju obok - zauważyła, jakby jeszcze to do niej nie dotarło. - Król i Roger mogli przecież...

Mark wyciągnął dłoń, by ją uciszyć.

- Możliwe, że tu nie dotarli. Albo zgubili drogę, albo coś ich zatrzymało...

- A ludzie obok?

- To mogą być obcy. Choćby ci dwaj niemieccy rycerze, którzy nas mijali.

- A może po prostu znaleźli gdzieś lepsze konie? - podsunęła Soraya.

- Gdzie? Na drzewie? - Mark zacisnął pięści. - Boże, co ja najlepszego zrobiłem! Przysięgałem, że będę chronił króla! Po chwili wahania otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Szedł do wyjścia.

Soraya dopędziła go w paru susach.

- Dokąd idziesz, panie?
- Do stajni. Muszę odnaleźć Ryszarda.

Soraya zatrzymała się niepewnie w sieni. Czyżby Roger i król rzeczywiście tu nie dotarli? Niemożliwe! Musi najpierw sprawdzić, kto znajduje się w pomieszczeniu obok. Jeśli się okaże, że to ich towarzysze, będzie jeszcze miała czas, by zawrócić Marka. Nie chciała, żeby ruszał teraz w drogę. Zdawała sobie sprawę z tego, że samotni rycerze stanowili cel bandyckich napaści.

Przeszła cichutko do sąsiedniej izby. Była zamknięta od wewnątrz na sztabę, którą mogła łatwo podważyć za pomocą swego sztyletu. Po chwili zajrzała do przyciemnionego wnętrza.

- Kto tam? - zapytał ktoś po niemiecku. - Pokaż się.

Dostrzegła jeszcze dwie krótkie kolczugi i hełmy na podłodze. Szybko zamknęła drzwi i pospieszyła do swojej izby. A więc Mark miał rację. Król i Roger nie dotarli do klasztoru.

Wyrzała na dziedziniec, gdzie usłyszała jakieś hałasy. Mark był już przy bramie. Dosiadł konia i po chwili wyjechał na zewnątrz. Doskonale rozumiała, co nim kierowało. Czuł się odpowiedzialny za Ryszarda i chciał go chronić. Wiedziała, że nie pochwalał wielu decyzji króla, ale był mu wierny. Właśnie dlatego zdecydował się ryzykować życie.

Położyła się w ubraniu na łóżku, czekając na niego. Minęła godzina, a Mark nie wracał. Musiała chyba zasnąć, bo kiedy otworzyła oczy, usłyszała dźwięk kopyt na wewnętrznym dziedzińcu.

Zerwała się i pospieszyła do okna. Mark dosiadał konia króla. No

jasne, gdyby na drodze ktoś ich zaatakował, Ryszard uciekałby na Jupiterze.

Soraya zagryzła wargi. Co mogło się stać z królem i Rogerem de Clare? Wybiegła szybko i skierowała się na dziedziniec.

Mark wyszedł chwiejnym krokiem ze stajni. Wyglądał na zmęczonego, ale chyba nie był ranny.

- Co się stało, panie?

- Znalazłem ich w gospodzie - mruknął. - Ryszard dobierał się do Szynkarki, a Roger leżał pijany pod stołem. Dobrana z nich para.

Soraya zaśmiała się z ulgą. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Nawet nie pomyślała o takim rozwiązaniu, choć wydawało się zupełnie naturalne, wzięwszy pod uwagę usposobienie Ryszarda.

- Strasznie się z nimi umęczyłem - powiedział Mark zmęczonym głosem. - Musiałem ich obu wsadzić na konie i w dodatku przywiązać, żeby z nich nie pospadali.

Soraya spojrzała na Rogera i monarchę. Rzeczywiście by przywiązani do koni, na których drzemali, pochyleni nad grzywami zwierząt. Roger wyglądał bardzo kiepsko. Jego twarz miała zielonkawy odcień i sprawiał wrażenie mało przytomnego.

- Obaj są pijani - rzekł Mark.

- Gdzie będą spać? W klasztorze nie ma już wolnych izb.

- Tu, w stajni. Przygotowałem im trochę słomy. Zapaskudziliby tylko podłogę - dodał z odrazą.

Brat Andreas wprowadził konie wraz z jeźdźcami do środka. Soraya ruszyła za nim, by mu pomóc. Nie chciała, żeby szarpał się z



pijanymi.

Mark usiadł ciężko na ziemi. Próbował pokonać zmęczenie i zastanowić się nad sytuacją. Był tak zły na króla, że nie odważył się z nim rozmawiać. Musi jednak zrobić wszystko by taka sytuacja się nie powtórzyła.

Okazało się, że brat Andreas doskonale poradził sobie z pijanymi. Soraya wyszła po chwili ze stajni i spojrzała na swego pana.

Mark przeciągnął dłonią po twarzy. Był wyraźnie znużony, a jego błękitne oczy zmatowiały, jakby pokryło je bielmo snu.

- Muszę się wykapać i odpocząć - powiedział. - Wiesz, Soray, w tej gospodzie było pełno wszy.

- Tak, panie.

Soraya pomogła mu wstać i oboje skierowali się do wnętrza klasztoru. Po chwili byli już w izbie. Mark spojrzał na łóżko, a potem zwałił się na nie z jękiem.

- Jestem zbyt zmęczony na kąpiel - mruknął.

Niech i tak będzie. Mark w ogóle zapomniał o tym, że jest kobietą. Nazwał ją Soray, jakby zapomniał o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo jej to przeszkadza.

Dobrze, on nie musi się kąpać, ale ona postanowiła się przynajmniej umyć. Tuż za wewnętrznym dziedzińcem znajdował się mały staw. Przeszła tam teraz i sprawdziła wodę dłonią. Była zimna, postanowiła jednak zmyć z siebie podróżny kurz. Rozwinęła turban i włożyła głowę do wody. Zatrzęsła się z chłodu, w jej oczach pojawiły się łzy... Mimo że nie miała mydła, sama woda wystarczyła, by poczuła

się lepiej. Wytarła włosy turbanem i umyła twarz i ramiona. Pomyślała, że niedługo znowu będzie musiała obciąć włosy, jak wtedy, gdy wyruszała na wyprawę z Khalilem. Inaczej trudno jej będzie udawać chłopaka.

Kiedy znalazła się z powrotem w izbie, stanęła na chwilę przy łóżku i patrzyła na nieruchome ciało Marka. Jego pierś unosiła się równym oddechem. Jednym ramieniem zasłaniał sobie oczy. Mogłaby tańczyć boso na jego brzuchu, a on i tak by się nie obudził.

Mark wciągnął głęboko powietrze, a ona podjęła decyzję. Podeszła bliżej i trąciła go łokciem.

- Posuń się trochę - mruknęła, a następnie weszła do łóżka. Obróciła się do niego tyłem. Mark przewrócił się na bok i po chwili poczuła jego ciepłą klatkę piersiową. Zupełnie nieświadomie objął ją ramieniem. Chciała je odsunąć, ale w końcu uznała, że nie ma to sensu.

Spełniła swe zadanie. Saladyn powinien być zadowolony, chociaż dowie się o tym zapewne dopiero wtedy, gdy Ryszard dotrze do Anglii. Mimo to wiedziała, że jest wolna. Czy więc dalsza podróż miała jeszcze jakiś sens? Przecież Markowi zależało przede wszystkim na królu. Opuścił ją, byle tylko go odnaleźć. Przy okazji zapomniał nawet, że ma do czynienia z kobietą... Soraya od razu zrozumiała, że nic dla niego nie znaczy.

- Jutro podejmę decyzję - wymamrotała i zamknęła oczy. Wiedziała jednak, że będzie musiała poprosić Rogera de

Clare, by zabrał ją z powrotem do Jerozolimy.

Mark śnił o swoim bracie. Henry leżał ranny na piasku pustyni i

Mark klęknął przy nim, żeby mu pomóc. Przetarł mokrą szmatką jego wargi i czoło, a następnie wziął go na ręce. Kiedy jednak tak szedł przed siebie, ciało brata stawało się coraz lżejsze i lżejsze. Henry powoli umierał. Nagle jego ciało. wysliznęło się z rąk Marka i poszybowało wprost do nieba.

- Zaczekaj! - krzyknął za nim. - Zaczekaj!

Wtedy się obudził. Cały drżał. Serce biło mu jak oszalałe.

- Dobry Boże! - westchnął.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to był tylko sen. Od czekał chwilę, aż serce mu się uspokoi, a potem potrząsnął głową. Poczuł, że ma obok coś miękkiego i miłego w dotyku. Wyciągnął w tamtą stronę rękę i dotknął czyjegoś krągłego biodra.

Soraya!

Mark cofnął dłoń jak oparzony. Spojrzał na jej rozpuszczone włosy, wijące się na pościeli, i pomyślał, że coraz bardziej przypomina tę, którą jest w istocie. Jej biodra miały piękny, miękki kształt, pod cienką koszulą rysowały się piersi. Twarz była delikatna, prawie dziecinna, a zamknięte oczy osłaniały długie rzęsy i dwa doskonałe łuki brwi.

Pochylił się w jej stronę. Musiał przyznać, że miała cudowną cerę. Wokół niej unosił się delikatny kobiecy zapach i Mark poczuł, że serce znowu zaczyna mu bić coraz mocniej.

Soraya miała lekko rozchylone usta. Chciał ich dotknąć swoimi wargami, ale na szczęście w porę się powstrzymał. Patrzył tylko na jej pokryte delikatnym puszkciem policzki, które przypominały świeże

brzoskwinie, i na ciemne brwi, czując, że coraz bardziej mu na niej zależy. Dostrzegł też małe uszko, które wystawało spomiędzy włosów. Właśnie do takiego ucha chciało się szeptać miłosne zaklęcia...

Mark nie miał pojęcia, jak to się stało, że nikt nie zwrócił uwagi na urodę Sorai. Być może wynikało to z tego, że nosiła przebranie, a poza tym, kogo obchodził zwykły służący?

Mark odsunął się od niej delikatnie. Nie miał do niej żadnego prawa. Soraya nie była już nawet jego służącą i mogła jechać, dokąd chciała. Położył się na boku, patrząc na pobieloną, drewnianą ścianę izby.

Po chwili jednak obrócił się ponownie w stronę dziewczyny i położył dłoń na jej ramieniu. Musi ją chronić, przynajmniej dopóki mu towarzyszy. Musi zadbać o to, by było jej ciepło i wygodnie. I by nie dosięgła jej kazała ręka wrogów Saladyna.

Mark jęknął cicho. I by nie dosięgła jej również strzała jego pożądaniami.

## Rozdział szesnasty

Soraya pochyliła się i szepnęła coś Rogerowi de Clare do ucha. Rycerz zaśmiał się, słysząc te słowa.

- To niemożliwe, chłopcze - powiedział. - De Valery przysiągł chronić króla. Dla niego to sprawa honoru. Chyba wiesz, co to znaczy?

- Ale...

- De Valery nie zdoła zrobić tego sam, chociaż muszę przyznać, że jest bardzo odważny. Dlatego nie mogę go opuścić; Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale wszędzie czyha ją wrogowie Ryszarda. Tutaj wcale nie jest bezpieczniejszy niż w Jerozolimie. Kto wie, może nawet grozi mu większe niebezpieczeństwo. Obiecałem Markowi, że będę mu towarzyszył aż do Anglii.

Soraya rozluźniła dłonie, które zacisnęła wcześniej w pięści, i skinęła głową.

- Rozumiem, panie. Poproszę cię więc o to znowu, gdy przyjdzie właściwy czas.

- Kiedy dotrzemy do Anglii - stwierdził Roger. - Teraz ty też jesteś członkiem naszej ekspedycji. Służysz Markowi, a on Ryszardowi. De Valery nie poradziłby sobie bez ciebie.

Soraya aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Naprawdę tak myślisz, panie? Roger poklepał ją po ramieniu.

- Wiesz, Soray, widzę, że jest przy tobie weselszy. Nie sądzi-

łem, że tak szybko podźwignie się po śmierci brata. Nie wiem, jak ci się to udaje, ale ostatnio śmieje się więcej niż kiedykolwiek w życiu. Zwłaszcza po tej rzezi w Acre chodził ponury i myślałem, że nigdy nie zdoła o tym zapomnieć. Dobrze mu służysz, chłopcze, i obaj z królem jesteśmy ci za to wdzięczni.

Soraya aż się wyprostowała. Nie wydawało jej się, by Roger Ją zwodził. A więc Mark lubił jej towarzystwo?

- Zabiorę cię do Jerozolimy na wiosnę, jeśli ciągle będziesz chciał tam jechać. Oczywiście pod warunkiem, że obaj będziemy żywi, co wcale nie jest takie pewne.

- Czy wszyscy rycerze są związani słowem honoru?

De Clare zaczął sobie rozmasowywać skronie. Wciąż wyglądał kiepsko, ale doszedł już nieco do siebie po wczorajszym pijaństwie.

- Oczywiście. Honor jest dla rycerza ważniejszy niż życie.

Soraya przysiadła na piętach i przyjrzała się uważnie Rogerowi.

- Mam zioła, które powinny ci pomóc, panie.

- Na Boga, nie! Dobry z ciebie chłopak, Soray, ale Ryszard narzeka, że wciąż ma w ustach gorycz po twoim naparze.

- Ale mu pomógł, prawda? De Clare się zawahał.

- No tak, sądząc po tym, że skacze jak młody jeleń. Boję się jednak, że nie utrzymałbym teraz niczego w żołądku.

Mark patrzył sennie na puste miejsce na łóżku. Do licha, Soraya gdzieś zniknęła. Ale gdzie się mogła podziać? Czyżby chciała ukraść coś z refektarza? Ta dziewczyna była naprawdę niemożliwa.

Potrząsnął głową. Powinien wziąć ją rano na poszukiwania.

Soraya była zbyt inteligentna, by zostawiać ją samą, nawet w klasztorze. Teraz wstał szybko i ruszył do drzwi.

Kiedy znalazł się na dworze, pożałował, że nie wziął ze sobą płaszcza. Górskie powietrze było chłodne i przesycone wilgocią. Postanowił przede wszystkim zajrzeć do stajni, przekonany, że Soraya poszła odwiedzić króla i Rogera.

Mark otworzył drzwi. Zobaczył najpierw Ryszarda, chodzącego tam i z powrotem po stajni, a potem siedzącego na słomie Rogera, który trzymał się za głowę. Soraya siedziała tuż obok. Znowu miała turban na głowie, a pod koszulą nie było widać piersi.

Na jego widok wstała, ale spuściła głowę i patrzyła na podłogę. Mark poczuł nagły gniew. Dlaczego Soraya przyszła tu, do Rogera?

- A cóż to za spisek? - spytał sucho.

- Dziękuję za zioła, chłopcze - rzucił Roger. - I pamiętaj, co ci mówiłem.

Wstał z pomocą Sorai i spojrzał przekrwionymi oczami na Marka. Z trudem utrzymywał się na nogach.

- Zamknij drzwi, de Valery, zanim to słońce zupełnie mnie oślepi - poprosił słabym głosem.

Mark spełnił jego prośbę.

- Musimy porozmawiać - rzekł krótko.

- Ciszej - mruknął król. - Jeszcze ciągle boli mnie głowa.

- Nic dziwnego, sire. Po takiej ilości wina! Ryszard się skrzywił.

- Nie przypominaj mi o tym.

Mark pokręcił z dezaprobatą głową. Miał dosyć niańczenia

monarchy i gdyby nie resztki szacunku, jakie do niego żywił, z pewnością by mu to powiedział. Teraz jednak zdecydował się ostrożniej dobierać słowa.

- To nie było zbyt mądre. Wszędzie mogą czaić się szpiedzy wroga. Nawet w takiej parszywej gospodzie.

- Bzdura! - warknął Ryszard i się zatrzymał. - Rozmawiałem tylko z szynkarką... Byłem zajęty.

Roger stanął między Markiem a królem.

- Przysięgam, że to się już nie powtórzy - powiedział z miną, która wskazywała, że czuje się winny za to, co zaszło.

Mark westchnął ciężko. Przez chwilę patrzył na obu towarzyszy, a potem powiedział dobitnie:

- Mnich nie zajmowałby się w ten sposób dziewczką. To musiało wzbudzić podejrzenia.

- O tak - mruknął Ryszard. - Mam zachować celibat przez całą drogę do Anglii? Kto tutaj wydaje rozkazy?!

Mark zaklął pod nosem. Czy Ryszarda można było traktować poważnie?

- Powierzyłeś mi swoje życie, najjaśniejszy panie - powiedział, starając się zachować spokój. Dlatego będę robił wszystko, byś go nie stracił. Nawet...

- Nawet? - powtórzył groźnie rycerz.

- Nawet wbrew tobie samemu - zakończył Mark. Ryszard stał przez chwilę, nie bardzo wiedząc jak zareagować, a potem poklepał Marka po plecach.



- Dobry z ciebie człowiek, de Valery - powiedział. Mark przewrócił oczami.

- Czy będziecie mogli jechać dalej? - zwrócił się do obu towarzyszy.

- Tak - odparł król.

- Nie - jęknął Roger.

- Bardzo dobrze, więc przygotujcie siodła.

- Przydałoby się coś zjeść - zauważył Ryszard. - Może ten chłopak, Soray, mógłby...

- Coś ukraść? - dokończył Mark. - Nie. Przede wszystkim... - Chciał powiedzieć: „jest moim służącym”, ale zakończył inaczej: - Znowu gdzieś zniknął.

Gdzie mógł się podziać? Jak zwykle zniknął w najmniej odpowiedniej chwili.

Na prośbę Rogera odczekali jeszcze godzinę, a następnie osiodłali konie i wyszli na plac przed stajnią. Zaczynało już świtać. Mark pogładził Jupitera po muskularnej szyi.

Soraya jeszcze się nie pojawiła, a oni musieli już wyjeżdżać. Nie miał pojęcia, co się mogło z nią stać. Przecież nic mu nie powiedziała.

Ryszard wdrapał się samodzielnie na swego konia, natomiast; Roger trzy razy próbował trafić nogą w strzemiono, aż w końcu Mark musiał mu pomóc. Z pobliskiej kaplicy dobiegały do nich głosy mnichów śpiewających godzinki. Dopiero w tym momencie Mark uświadomił sobie, że dawno nie brał udziału w mszy. Powinien to zrobić, zwłaszcza teraz, po śmierci brata, ale wciąż wydawało mu się,

że nie ma do tego prawa. Myśli o masakrze w Acre wciąż przygniatały jego duszę.

A teraz, kiedy okazało się, że pożąda kobiety, poczuł się jeszcze mniej godny tego, by wziąć udział w świętym obrzędzie. To było gwałtowne uczucie, nad którym nie potrafił zapanować. Rozglądał się niespokojnie dookoła, szukając Sorai.

Zaczął wsłuchiwać się w śpiew mnichów i nagle poczuł się: bardziej samotny niż kiedykolwiek. Wydawało mu się, że jego dusza nie zazna już spokoju. Miał wrażenie, że to on, a nie Henry, powinien leżeć w grobie.

Jednocześnie bardzo brakowało mu wsparcia innych ludzi. A konkretnie jednego człowieka...Nagle na placu pojawił się brat Andreas z bardzo ładnym i wyglądającym na silnego kucykiem. Tuż za nim biegła w podskokach Soraya.

- Popatrzcie! Czyż nie jest wspaniały?! - powiedziała, wskazując kucyka.

Zwierzę rzeczywiście wyglądało na zdrowe i szybkie. Poza tym było czyste i ładnie umaszczone.

- Jest za mały dla Ryszarda - zauważył Mark. Soraya pokręciła głową.

- To mój wierzchowiec - oznajmiła dumnie.

Mark ponownie przewrócił oczami. Najpierw król, a teraz ona.

- Pewnie wygrałeś go w kości, co? - mruknął z pogroźką w głosie.

Posłała mu spojrzenie, od którego mogło zsiąść się mleko.

- Kupiłem go.  
- Tak? Ciekawe za co? Czyżbyś sprzedał moją kolczugę?  
- Dałem za niego złotą monetę - odrzekła dumnie. - To dobra cena.

Mark przyglądał się przez chwilę jej dumnie wysuniętej brodzie. Nie wierzył jej, ale też nie chciał kwestionować przy mnichu jej słów. Brat Andreas najwyraźniej jej wierzył i to wystarczyło. Pomyślał, że gdyby udało się ją zostawić w klasztorze, byłaby tu z całą pewnością bezpieczna.

A on nie musiałaby już więcej o niej myśleć.

- Przyznaj, panie, że tak będzie lepiej - powiedziała, dosiadając swego kucyka. - Nie będziemy musieli dzielić już jednego wierzchowca.

Brat Andreas ruszył w stronę kaplicy, by dołączyć do innych mnichów.

- Dużo lepiej - powiedział Mark i pochylił się w jej stronę. - Gdzie ukradłeś tę złotą monetę?

- Nie kradnę, panie.

- No dobrze, więc gdzie ją pożyczyles? Jesteś gorszy niż plaga szarańczy. Wolałbym, żebyś został...

Król spojrział na nich z zainteresowaniem i Mark urwał. Wolałby, żeby Soraya została w Jaffie. I żeby w dalszym ciągu była chłopcem.

- Już nigdy nie będzie tak jak kiedyś - szepnęła Soraya, jakby zgadywała jego myśli.

Mark pokręcił głową. Już wcześniej uświadomił sobie tę bolesną

prawdę.

- Ale musimy udawać, że tak jest.

- Tak, będziemy towarzyszami. - Zerknęła w stronę króla. -

Właśnie dlatego kupiłem kucyka.

- Mógłbyś zostać tutaj, w klasztorze Świętego Stefana - zauważył Mark. - Byłbyś tu bezpieczny. A ja zostawiłbym pieniądze na twoje utrzymanie...

- Wolę ci towarzyszyć, panie - szepnęła. - Zwłaszcza że mam już wierzchowca. Chyba sprawdzam się w podróży, prawda? - Spojrzała na niego uważnie.

Mark westchnął ciężko. Z trudem się do tego przyznawał przed samym sobą, ale byłoby mu ciężko jechać dalej bez Sorai.

Bardzo ją polubił w czasie tej podróży. Nie, to było coś więcej. Miał wrażenie, że w ogóle nie chce się z nią rozstawać. To było silniejsze od niego.

Mnisi zaczęli właśnie wychodzić z porannego nabożeństwa. Brat Andreas pomachał im ręką i zrobił parę kroków w stronę podróżnych.

- Zaczekajcie! - rzucił.

Mark pomyślał, że nie powinni dłużej zwlekać. Zwłaszcza że wbrew wcześniejszym planom mieli jechać w dzień, a nie w nocy. Na szczęście dalsza droga biegła przez dosyć odludne tereny. Czekali jednak posłusznie na brata Andreasa, który wyszedł po chwili z kuchni z koszem z jedzeniem i wsunął go w rękę Marka.

- Z Bogiem - powiedział.

Soraya usadowiła się na wełnianym kocu, który służył jej za

siodło, i wzięła w dłoń wodze ze sznurka. Spojrzała jeszcze na brata Andreasa.

- Szczęśliwej drogi, pani - rzekł cicho, ale słowa te dotarły do Marka, który zamarł w siodle.

Pani? A więc brat Andreas wiedział, że Soraya jest kobietą! Czy to ona mu powiedziała, czy też sam się tego domyślił? Jeśli to drugie, to był zdecydowanie lepszym obserwatorem niż oni wszyscy.

Soraya dźgnęła swego wierzchowca piętami i pierwsza znalazła się za bramą. Król ruszył za nią, a za nim Roger. Mark zwlekał jeszcze chwilę, przyglądając się mnichowi, ale twarz brata Andreasa była nieprzenikniona. W końcu on też przejechał przez bramę, żegnając gościnny klasztor.

Gdy znaleźli się na trakcie, Soraya zwolniła, żeby porozmawiać z Markiem.

- Brat Andreas wie, kim jestem - rzuciła, równie zdziwiona jak on.

- Nie powiedziałaś mu tego wcześniej?

- Nie. - Urwała na chwilę i zagryzła wargi. - Być może nie powinnam go była prosić o tego kucyka. Dziwny z niego człowiek. Skoro domyślił się, kim jestem, być może wie też, że jedziemy z królem Anglii.

Mark poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Jeśli brat Andreas jest szpiegiem, Ryszard znajduje się w tej chwili w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Natomiast król, gdy tylko oddalili się trochę od klasztoru, zaczął śpiewać w dialekcie langwedockim balladę miłosną,

doskonale się przy tym bawiąc.

Mark spojrzał w stronę pobliskich drzew, by sprawdzić, czy nikt się tam nie czai. Wyglądało na to, że na razie są bezpieczni. Tylko jak długo?

Pomyślał, że Ryszard nie powinien w tej sytuacji śpiewać.

- Boże, mam wrażenie, że muszę się zajmować wielkim dzieckiem - rzekł z westchnieniem.

- Psotnym dzieckiem - dodała Soraya. - Ale wydaje mi się, że Ryszard się z tobą drażni. Chce zobaczyć, jak poradzisz sobie w trudnej sytuacji.

- Zapomina, że jeśli ja znajdę się w trudnej sytuacji, to on tym bardziej.

- Możliwe - przyznała Soraya. - Ale odnoszę też wrażenie, że lubi ryzyko. I że cała sytuacja trochę go bawi. Może zachowywałby się lepiej, gdybyś nie podchodził z takim oburzeniem do wszystkich jego wybryków.

Mark jęknął głucho. Pomyślał, że Soraya może mieć trochę racji, ale on nie mógł przecież zlekceważyć swoich obowiązków.

- Jak będzie trzeba, związę go i zaknebluję.

- Nie odważysz się tknąć monarchy - wykrzyknęła Soraya. -

W przypadku Saladyna byłoby to nie do pomyślenia.

- W przypadku Ryszarda myślę o tym coraz częściej - mruknął Mark. - Saladyn jest mądrym władcą, a naszego króla trzeba chronić przed nim samym. Przysięgałem, że będę mu służył najlepiej jak potrafię i zamierzam dotrzymać słowa.

Soraya spojrzała na niego uważnie.

- A czy nie jesteś czasami wewnątrznie rozdarty, panie? -  
spytała. - Czy twój honor nie sprzeciwia się temu, co masz robić jako  
poddany króla?

Mark skrzywił się, słysząc te słowa. Sam często się nad tym  
zastanawiał i doszedł do wniosku, że przede wszystkim winien jest  
posłuszeństwo swojemu władcy, który rządzi jego krajem w imieniu  
Boga.

- Za dużo myślisz - mruknął.

- To prawda. Khalil też często to powtarzał, ale w gruncie rze-  
czy był z tego zadowolony. Moje wykształcenie i wiedza sprawiały, że  
byłam tym cenniejsza. Khalil obawiał się tylko tego, że nikt nie będzie  
chciał mieć mądrzejszej od siebie żony.

- Za dużo też mówisz - dodał Mark. Roger i król zniknęli po  
drugiej stronie wznoszącego się łukiem mostu. Ponaglił więc Jupitera,  
by ich dogonić.

Soraya zrównała się z nim po chwili.

- Ale dzięki temu przyjemniej spędza się czas w podróży -  
rzuciła. - Zauważyłam, że czasami nawet cię bawią moje uwagi.  
Chciałbyś spędzić całą drogę do Anglii w ponurym milczeniu?

- Czemu nie - mruknął, ale zaraz ugryzł się w język. Na  
szczęście Soraya nie wzięła tej uwagi poważnie.

- Przede wszystkim chcę dowieźć króla cało i zdrowo do Anglii  
- powiedział. - To mój podstawowy obowiązek.

- A potem ruszyć do Szkocji - dodała Soraya. - Gdzie masz

zamiar się ożenić.

Mark spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Skąd ten pomysł?

- Przecież jesteś mężczyzną. Poza tym Roger zdradził mi, że jesteś zaręczony. Kim jest twoja wybranka?

- Raczej wybranka mojej rodziny - sprostował. - Jehanne z Chambois. Jesteśmy zaręczeni od dzieciństwa.

- Ale, jak rozumiem, nie jest już dzieckiem. A ty starasz się być jej wierny.

Mark pomyślał o Irenie. Zapewne o nią chodziło Sorai.

- To nie takie proste - mruknął. - Czy mógł zdradzić, że nie skorzystał z usług greckiej kurtyzany z zupełnie innego powodu? Czy Soraya by go zrozumiała?

Po masakrze mieszkańców Acre Mark poczuł, że jego dusza zachorowała. Wtedy chyba po raz pierwszy zrozumiał tak naprawdę, że człowiek ma duszę. I że nie można zawładnąć czyimś ciałem, w ten lub inny sposób, nie myśląc o jego duszy.

Prawdę mówiąc, sam bał się o tym myśleć. Miał do wypełnienia obowiązki, a potem chciał przystąpić do spowiedzi i powiedzieć o tym wszystkim, co go dręczyło. Być może Ryszard nie jest najlepszym władcą, ale bez niego Francja wchłonie ziemie Andegawenów, a jego brat, Jan bez Ziemi, spustoszy wesołą Anglię.

Poza tym Mark wiedział, że Jan spogląda łakomym okiem na Szkocję. Miał w niej nawet popleczników wśród przywódców niektórych klanów. Zaiste, nie zdawali sobie oni sprawy z tego, co



robią. Nie, Ryszard za wszelką cenę musi wrócić do ojczystej ziemi.

Soraya jechała w milczeniu, aż dotarli do najwyższego punktu łukowatego mostu. Widzieli stąd przed sobą obu jeźdźców. Nagle zeszywnieli. Wierzchowiec Ryszarda niespodziewanie skręcił w bok, król przechylił się w siodle, po czym runął wprost do rzeki.

Roger usłyszał plusk i odwrócił się, ale król już zniknął pod powierzchnią wody. Rycerz aż otworzył usta ze zdziwienia, a potem zakrzyknął strasznym głosem:

- Król w Wodzie!

Mark popędził ku brzegowi.

- Szybciej! - krzyknął do towarzyszy. - Przecież on nie umie pływać!

## *Rozdział siedemnasty*

Mark wjechał konno do rzeki, a następnie zeskoczył z Jupitera i zdążył złapać Ryszarda za habit, zanim uniósł go lodowato zimny prąd. Drugą ręką chwycił uprząż swego wierzchowca i tak zdołał wyciągnąć króla na brzeg. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ nie dosyć, że monarcha nie należał do lekkich, to jeszcze ciągnęła go w dół przesiąknięta wodą odzież.

Ryszard leżał jak wyrzucona na piasek ryba. Z ust i nosa ciekła mu woda. Mark, nie zwlekając, przerzucił go sobie przez kolano i

zaczął wypompowywać ją z jego płuc. Nie miał pojęcia, czy Ryszard zasłabł, czy może był po prostu nieuważny. W tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Chodziło o to, by go odratować i by jak najszybciej zaczął oddychać.

- Ten pijany głupiec nie umie pływać! - zwrócił się do towarzyszy.

Król Stęknął głucho.

- Uważaj, co mówisz, de Valery - wymamrotał. - Nikt nie ma prawa nazywać króla Anglii pijanym głupcem.

Mark zdjął go z kolana i położył na ziemi. Następnie wstał i odszedł parę kroków dalej. Ręce mu się trzęsły. Postanowił, że już nigdy więcej nie spuści Ryszarda z oka.

Zauważył, że Roger i Soraya zdjęli z króla przemoczony habit i koszulę, po czym zaczęli go wycierać wełnianym kocem.

- D...dajcie mi p... płaszcz. - Ryszard szczękał zębami. - B... bardzo tu zi...zimno.

Mark potrząsnął głową.

- Nie, panie. Ktoś mógłby cię rozpoznać w takim odzieniu - stwierdził. - Okryj się tym. - Podał mu wilgotny koc. - A ja tymczasem rozpalę ogień. Też powinienem się wysuszyć.

Soraya nie traciła czasu. Udało się jej zebrać spore naręcze suchych patyków i teraz układała je w zacisznym, osłoniętym od wiatru miejscu. Skrzesała ogień i przygotowała kije, na których zawiesili mokry habit i koszulę Ryszarda. Mark stwierdził, że nie będzie suszyć swoich ubrań.

Dopiero teraz pomyślał o jedzeniu, które dostali od brata Andreasa, i sięgnął po kosz.

- Zaraz się rozgrzejemy - powiedział już nieco weselszym tonem.

- I wyschniemy - dodał król. Mark pokręcił głową.

- Spójrz na niebo, najjaśniejszy panie.

Niedaleko od nich nad górami zbierały się ciemne chmury i ciągnęły w ich stronę. Po chwili usłyszeli pierwsze grzmoty. Dygocący z zimna król aż się skurczył.

- Ubierz się, panie - rzekł Mark. - Musimy jechać.

Deszcz zacinał tak, że już po chwili wszyscy byli mokrzy. Soraya czuła, jak nasiąkają wodą nawet jej spodnie. W dodatku wiał ostry wiatr, co potęgowało uczucie dotkliwego zimna. Konie szły wolno, walcząc z nawałnicą. Ich kopyta grzęzły w mokrej ziemi. Nie zbaczali jednak z prowadzącej na północ starej rzymskiej drogi.

Soraya nie czuła już palców. Ani nosa. Nawet jej uszy były zdrętwiałe od zimna. Skuliła się na kucyku, bojąc się ruszyć. Miała wrażenie, że cała jest z lodu i jeśli zmieni pozycję, to zaraz spadnie.

Zaczęła się zastanawiać, co robi w tym nieprzychylnym kraju w taką pogodę. Wolałaby już raczej przeżyć burzę piaskową na pustyni. Ale cóż, musiała towarzyszyć człowiekowi, który wolał surowy klimat Północy od gorącego słońca Palestyny.

Kiedy spojrzała przed siebie, zauważyła, że Mark zatrzymał swego wielkiego rumaka i coś zawołał. Szum deszczu był tak głośny, że go nie słyszała, ale obserwowała ruchy warg i starała się domyślić, o

co mu chodzi. Jednak na koniec potrząsnęła głową.

Wtedy Mark nakazał jej ręką pośpiech. Popatrzyła na niego bezradnie. Nie mogła jechać szybciej. Była zmarznięta i nie miała już siły.

Mark przyglądał się jej przez chwilę, a potem ruszył przed siebie. Boże, niech ten deszcz się skończy, modliła się w duchu. Niech w końcu wyjdzie słońce. Kiedy już myślała, że nie może być nic gorszego od deszczu, z nieba sypnęło śniegiem. Wielkie płatki zaczęły pokrywać całe jej ciało. Osiadały nawet na brwiach i rzęsach. Dobry Boże, czy już nigdy nie będzie jej ciepło i sucho?

Nareszcie zrobiło się cicho. Miała wrażenie, że cisza aż dźwięczy jej w uszach. Śnieg tłumił nawet odgłosy końskich kopyt. Nie przypuszczała, że jest taki zimny. Wcześniej słyszała o śniegu, ale wyobrażała sobie, że jest czymś w rodzaju gęsiego puchu. W jej kraju czasami bywało zimno, zwłaszcza nocami na pustyni, ale nie tak, jak na tych cudzoziemskich ziemiach.

Mark również był zziębnięty i głodny. Spojrzał za siebie na Sorayę, jadącą na pokrytym śniegiem kucyku. Wyglądała jak królowa śniegu, o której w dzieciństwie opowiadała mu matka. Ten, kto jej dotknął, zamieniał się w lodowy posąg i musiał stać w jej pałacu wraz z innymi statuami.

Soraya jednak drżała i kulila się z zimna. Pod tym względem wcale nie przypominała złowroziej władczyni. Jej stopy, na których miała jedynie lekkie sandały, zrobiły się prawie niebieskie.

Mark oderwał od niej wzrok i spojrzał w stronę wyrastającej

przed nimi grupy chat krytych strzechą. Na ich dachach osadzał się śnieg, ale kominy paru z nich dymiły wesoło, obiecując strawę i odpoczynek. Zastanowiło go, że w ogóle nie było przy nich widać ludzi. Mark zdecydował jednak, że muszą się rozgrzać i trochę odpocząć. Wjechał więc na placyk targowy, położony między budynkami.

Poczuł, że jest głodny. Co prawda jadł nie tak dawno, ale zimno spowodowało, że szybko zgłodniał.

Spojrzał w stronę Sorai i stwierdził, że jej usta poruszają się miarowo. Do licha, czyżby coś jadła?! Pewnie coś gdzieś ukradła i teraz posilała się w tajemnicy.

Mark popędził konia w jej stronę. Nawet nie starał się ukryć tego, jak bardzo jest na nią zły.

- Ty kłamliwa wiedźmo - mruknął.

Soraya zatrzymała kucyka. Wolno uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Jej źrenice zaśniły złowrogo.

- Jak śmiesz oskarżać mnie o kłamstwo? - spytała dumnie. - Od trzech dni ani razu nie skłamałam.

- Możliwe. Co nie znaczy, że nas nie zwodzisz.

Soraya uniosła dumnie głowę. Nie chciała dać się w ten sposób obrazić.

- W jaki sposób?

Mark wyciągnął oskarżycielsko rękę w jej stronę. Chciał, żeby poczuła, jak bardzo nią pogardza.

- Powiedz, co jesz!

Dziewczyna spojrzała na niego niechętnie i otarła śnieg z brwi.

- Jabłko - odrzekła spokojnie. - Zerwałam je z drzewa, które rosło za mostem. Też byś miał jabłka, gdybyś zwrócił uwagę na sad.

- Jaki sad?

- Ten, obok którego przejeżdżaliśmy. To było zaraz przed tym, jak zaczął padać deszcz.

- Ach, za bardzo się wtedy przejmowałem tym, co się stało, żeby zwracać uwagę na otoczenie - rzekł z westchnieniem.

- Przepraszam, jeżeli cię fałszywie oskarżyłem.

- Jeżeli, jeżeli... - rzuciła Soraya, a następnie zacisnęła usta.

Nie wiedziała, co Mark chce robić dalej. Było jej wszystko jedno.

Czuła się niesprawiedliwie potraktowana z powodu jednego jabłka i bardzo ją to bolało.

Spojrzała w stronę Marka, który natychmiast odwrócił wzrok.

Tchórz!

Wiedziała jednak, że Mark jest odważnym człowiekiem. I że potrafi narażać dla nich życie. Zaczęła się zastanawiać, co zrobi teraz, żeby nie pozamarzali.

Mark jakby domyślił się, co jej chodzi po głowie. Uniósł się w strzemionach i wskazał nieco oddaloną od innych chatę. Sprawiała wrażenie niezamieszkaną, ponieważ z jej komina nie unosił się dym.

Chata nie wyglądała zbyt gościnnie, w dodatku była przysypana śniegiem, ale żebracy nie mogą wybierać. Dobrze, że przynajmniej udało im się znaleźć jakieś schronienie, w którym będą mogli przeczekać śnieżycę. Wkrótce zrobi jej się cieplej i będzie mogła zjeść

jeszcze jedno pomarszczone jabłko.

Soraya skręcała za Markiem, gdy coś w bocznej uliczce zwróciło jej uwagę. W drzwiach domu stał okutany od stóp do głów mężczyzna ze skrzypkami w rękach. Na dłoniach miał mitenki. Patrzyła, jak unosi swój instrument i wkłada go pod brodę.

Nagle w ciszy odezwała się cicha melodia. Soraya miała wrażenie, że to czary. A potem opadł nieco szal, który osłaniał twarz mężczyzny, a ona aż wytrzeszczyła ze zdziwienia oczy. Na okrągłej twarzy dostrzegła znajomy słodki uśmiech. Mężczyzna skłonił się jej, wciąż przebiegając smykem po strunach skrzypek. Miał te same mlecznoniebieskie oczy, co...

Soraya dźgnęła piętami wierzchowca. W miarę jak oddalała się od tego miejsca, muzyka cichła. Po chwili dotarła do Marka, który nakazał gestem, by zsiadła.

- Tutaj się schronimy - powiedział, wskazując chatę.
- Ten cz... człowiek - wyjąkała.
- Skrzypek? Co z nim?
- Wy... wygląda jak brat Andreas.
- Chyba ci mózg zamarznął. Przecież brat Andreas został w

klasztorze! Lepiej wejdź do środka, żeby się rozgrzać.

Podeszła do Marka i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Nie. Przecież mógł wyjechać tak samo jak my! - powiedziała dobitnie. - Stoi teraz w uliczce i gra na skrzypkach.

Mark przyjrzał się jej uważniej. Po chwili na jego czole pojawiły się trzy poziome zmarszczki.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - spytał, patrząc na nią z niepokojem.

Soraya potrząsnęła głową.

- Nie, Mark, nie mam przywidzeń! Westchnął ciężko.

- Znajdujesz jabłka, których nikt inny nie widział. Dostrzegasz ludzi, którzy nie powinni tu być. Cóż jeszcze mam powiedzieć?

- Nic! - Soraya wcisnęła mu do ręki wodze swego kucyka i weszła do chaty. Jej wnętrze wydawało się lodowato zimne, ale przynajmniej było w nim sucho.

Mark przywiązał konie do drążka przy chacie i ruszył za Sorayą. Było mu przykro, że tak ją potraktował. Jazda w tych warunkach z całą pewnością ją wyczerpała. Wszyscy byli zmęczeni i potrzebowali odpoczynku.

Wszedł do chaty.

- Soray, weź mój płaszcz. - Wykonał pojednawczy gest. Soraya pokręciła głową.

- Jeśli chcesz chronić króla, powinieneś uważać na szpiegów - stwierdziła po prostu. - Nie mam pojęcia, kim jest brat Andreas, ale nie wyglądał mi na zwykłego zakonnika. Miał oczy wokół głowy i widział więcej niż inni ludzie.

- Mówisz jak kobieta, która wszędzie dookoła widzi wrogów - szepnął ściszym głosem.

Soraya pokręciła głową.

- Mówię jak szpieg, na którego mnie wyćwiczo - powiedziała gniewnie, nie zważając na obecność Rogera i króla, którzy



zresztą byli tak zmarznięci, że w ogóle nie zwracali uwagi na ich rozmowę. - To niepojęte, że nie chcesz mi wierzyć! Że ignorujesz moje ostrzeżenia!

Mark spojrzał na nią ostro.

- Wcale ich nie ignoruję. Też jestem zmęczony i zziębnięty. -  
Podszedł niechętnie do drzwi. - Dobrze, zobaczę, co się tam dzieje. -  
mruknął.

- Będę tu czekać na przeprosiny - zawołała za nim. Jednak przede wszystkim cieszyło ją to, że Mark w istocie nie zlekceważył jej ostrzeżeń.

Ryszard i Roger pochylali się nad ogniem, starając się go rozdmuchać. Wnętrze chaty było zadymione, ale drzewo nie chciało się zająć żywym płomieniem. Soraya zatrzasnęła drzwi i dopiero wtedy dym zaczął płynąć przez otwór kominowy.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak król Anglii rozbiera się przy ogniu. Po chwili Ryszard cisnął swoje mokre rzeczy w jej stronę.

- Rozwieś to, Soray - polecił.

Rozejrzała się dookoła, szukając jakichś sprzętów, na którym mogłaby powiesić koszulę, habit i pończochy. Jednocześnie starała się nie patrzeć na nagi, pokryty rudym owłosieniem tors Ryszarda. A tym bardziej nie spuszczać wzroku...

- Co się tak rumienisz, chłopcze? Nigdy wcześniej nie widziałeś nagiego mężczyzny? - spytał ją monarcha.

Soraya z trudem przełknęła ślinę. Przypomniał jej się nagi Mark w kąpielni. Poczwała, że czerwieni się jeszcze bardziej, chociaż wcale

tego nie chciała. Jej piersi zaczęły nabrzmiwać pod szarfą.

- No, rusz się, Soray! - huknął król. - Rozwieś te rzeczy.

Skoczyła na równe nogi i rozejrzała się po izbie. Znalazła

w niej kawał konopnego sznura, który przymocowała do belek.

Właśnie na nim rozwiesiła królewskie rzeczy. Zmieścił by się tam również jej strój, ale wcale nie miała ochoty się rozbierać.

- Popatrz na tego chłopaka, de Clare. Jest nieśmiały jak dziewczica!

Roger spojrział na nią i zaśmiał się oblesnie. Kto wie, co mu chodziło po głowie? Soraya wołała o tym nie myśleć.

- Z całą pewnością jest prawiczkiem, najjaśniejszy panie. I to się nie zmieni przy Marku. Od Acre nasz Szkot unika nawet najpiękniejszych kobiet.

- Tak! - mruknął król. - To musiało zrobić z niego wałacha. Roger w zamyśleniu pokręcił głową.

- Myślę, że to raczej coś tutaj - wskazał na głowę. - Biedak! Doskonale sprawdza się w bitwie, ale nie ma sumienia, by zabijać kobiety i dzieci.

- To byli wrogowie! - huknął Ryszard, a potem się zamyślił. - Ci Szkoci to prawdziwa tajemnica. Trochę poeci, a trochę wariaci, co i tak na jedno wychodzi. Ale mają w sobie siłę górskich niedźwiedzi!

Zamilkli na chwilę.

- W głowie mi się kręci - powiedział nagle Ryszard.

- To z głodu, najjaśniejszy panie - rzekła Soraya. - Wszyscy powinniśmy coś zjeść. Mógłbym... - urwała gwałtownie. Nie chciała

wychodzić na dwór w mokrym ubraniu i swoich lekkich sandałach.

Od drzwi powiało chłodem. Pojawił się w nich Mark z koszem, a także płaszczem na futrze i grubymi dziecięcymi pończochami.

- Jedzenie! - ucieszył się król. - Czuję ser! Roger chwycił niesiony przez Marka kosz.

- Wino! I chleb! Aż cztery bochenki. - Spojrzał na towarzysza.  
- Jak udało ci się to zdobyć?

- Kupiłem te rzeczy od... pewnego człowieka. - Popatrzył na Sorayę roześmianym wzrokiem.

Wstrzymała oddech. Czekwała, aż ją przeprosi. Była pewna, że odnalazł brata Andreasa.

- Te pończochy są na mnie za małe, de Valery - zauważył król.  
- Bo nie są dla ciebie, sire - odparł Mark.  
- Ale płaszcz... - Król złapał płaszcz na futrze, lecz Mark wyszarpnął mu go z ręki.

- On też jest za mały. Kupiłem go dla Soraya. - Spojrzał jej w oczy i zrozumiała, że chce ją w ten sposób przeprosić. To jednak było wszystko.

Usłyszeli drapanie do drzwi i na moment wszyscy zamarli.

Nasłuchiwali przez chwilę. Znowu dobiegło do nich drapanie, a potem ciche skamlenie. Soraya podeszła do wejścia.

- Nie otwieraj - rzucił Mark.

Za późno. Do środka wpadł mały, czarny piesek i podbiegłszy do paleniska otrząsnął z siebie wodę. Parę zimnych kropel spadło przy tym na nagie ciało króla, który wzdrygnął się i zakomenderował:

- Wyrzućcie stąd to zwierzę!

Mark ruszył do pieska, ale Soraya była przy nim pierwsza.

Zasłoniła go własnym ciałem.

- Na dwór z nim - mruknął Mark.

- Nie - powiedziała spokojnie Soraya i dotknęła jego futra. -

Jest zziębnięty i głodny, ale wygląda na zdrowego.

- Nie możemy żywić przybłądy - powiedział Mark. Soraya przytuliła policzek do pieska. Zrobiło jej się nagle

bardzo przyjemnie. Jakby znalazła w tej obcej ziemi bratnią sierocą duszę.

- W dodatku ma miłe futerko.

- Powinniśmy się go pozbyć - przekonywał Mark.

- Niech go zatrzyma. Jak będzie musiał dzielić się z nim swoim jedzeniem, szybko dojdzie do opamiętania - powiedział król.

- Nie znasz go, najjaśniejszy panie. Prędzej sam umrze z głodu...

- No to najwyżej - mruknął król. - Daj spokój Sorayowi, de Valery. To rozkaz.

Soraya wzięła mokrego pieska i przytuliła go do piersi. Po chwili poczuła na brodzie jego szorstki język i zaśmiała się. Pomyślała, że nazwie go Saquii, co po arabsku znaczy: „mróz”.

## Rozdział osiemnasty

Bukłak z winem krążył między nimi, aż w końcu go opróżnili i poczuli, że robi im się trochę cieplej. Król odwrócił naczynie do góry dnem, ale nie wypłynęła już z niego ani jedna kropla. Westchnął ciężko.

- Może powinienem poszukać innego kupca - powiedział.

Mark położył dłoń na jego nagim ramieniu i pokręcił głową.

- Nie, panie. Ktoś mógłby cię rozpoznać.

- W tych łachmanach - wskazał suszący się habit. - Chyba żartujesz, de Valery.

- W tej sprawie nigdy nie żartuję. - Popatrzył z niepokojem na króla, który zaczął krążyć po izbie. Było widać, że rozpiera go energia i wciąż coś nowego przychodzi mu do głowy. Nie będzie łatwo dowieźć go bezpiecznie do Anglii.

Cóż, Mark ruszył w pościg za domniemanym bratem Andreasem, ale kiedy dotarł na miejsce, minstrela nie było już na ulicy. Dookoła panowała cisza. Okoliczni mieszkańcy pochowali się w domach i Mark nie chciał ich niepokoić swoimi pytaniami.

Wciąż jednak czuł niepokój. Wiedział, że Soraya nie wymyśliłaby takiej historii. Znaczyło to, że albo rzeczywiście widziała brata Andreasa, albo kogoś bardzo do niego podobnego.

Czy mogła się jednak aż tak pomylić? Wiedział, że powinien docenić jej inteligencję, bo inaczej źle na tym wyjdzie.

Tak, nauczył się doceniać Sorayę. I nie chodziło tylko o jej umysł. Sam nie wiedział, jak to się dzieje, ale pragnął jej coraz bardziej.

Spojrzał teraz w stronę ognia, przy którym siedziała, otulona ciepłym płaszczem, trzymając w ramionach pieska. Pomyślał, że ani król, ani Roger nie zdają sobie sprawy z tego, że mają przez sobą piękną, pełną gracji kobietę. Nikt przecież nie uwierzyłby, że białogłowa zdecydowałaby się wyruszyć w taką podróż. I że mogła stawiać czoło przeciwnościom na równi z mężczyznami.

Zresztą prawda była taka, że rycerze rzadko zwracali uwagę na służących. Król po posiłku siedział zadowolony i wpatrywał się w ogień, skubiąc brzeg swego nareszcie suchego habitu. Roger drzemał chyba na siedząco z półprzymkniętymi oczami. Nikt w tej chwili nie miał ochoty na dalszą podróż.

- Wciąż masz mokre ubrania, chłopcze? - król zwrócił się do Sorai.

- Tak, najjaśniejszy panie.

- Powinieneś je zdjąć i powiesić. Sznurek jest wolny. Mark chciał zaprotestować, ale Soraya rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Tak, najjaśniejszy panie.

- No to się rozbieraj!

I znowu Mark omal nie wstał ze swego miejsca, ale Soraya sprawiała wrażenie pewnej siebie. Okryta swoim nowym płaszczem zaczęła się pod nim rozbierać i po chwili zdjęła już koszulę, a następnie szerokie spodnie. Powiesiła to wszystko na konopnym sznurze przy

ogniu.

Mark poczuł, że robi mu się gorąco. Zaczął sobie wyobra - zać Sorayę nagą pod płaszczem. Jej gładką skórę, która przypominała delikatny jedwab. Jej piersi i jasne uda, które rozsunęłyby dla niego zachęcająco.

Zacisnął dłonie i patrzył gdzieś w bok.

Monarcha spojrział z kolei na swego towarzysza i obrońcę.

- Teraz ty, de Valery - polecił. - Musimy się rozgrzać, bo inaczej złapie nas gorączka. Mamy przed sobą długą drogę.

Mark zdjął koszulę i pończochy, ale przykrył się płaszczem, który zdążył trochę podeschnąć. Król skierował wzrok w stronę Rogera, ponieważ jednak ten spał, nie zachęcał go do suszenia ubrań. Rzucił tylko koło niego swoją opończę i ułożył się na niej, bo sam chciał odpocząć.

Teraz oboje byli nadzy.

Roger spał. Po chwili dobiegł też do nich rytmiczny oddech króla.

Popatrzyli z Sorayą na siebie, a następnie spłoszeni odwrócili wzrok. Mark czuł, że coraz bardziej trawi go pożądanie, ale nie chciał mu się poddać. Przez chwilę zastanawiał się, co dalej, a potem podrzucił dREW do ognia i zaczął się układać do snu. Wiedział, że musi wypocząć przed dalszą drogą. Z bożą pomocą śnieżyca się skończy i będą mogli ruszyć na północ.

Nagle zauważył niewielki ruch. Soraya wyjęła z torby kawałek sera i podała go psu. Ten chwycił go, zjadł szybko, a następnie schronił

się pod jej płaszczem. Mark poczuł, że bardzo mu zazdrości. Sam chciałby w tej chwili być tak blisko Sorai.

Ryszard mamrotał coś przez sen.

Mark starał się nie myśleć o Sorai i zastanowić się nad dalszą drogą. Jednak była zbyt blisko, by mógł ją zignorować.

Świeże drewno zaczęło trzaskać w palenisku. Mark myślał przez chwilę, gdzie się położyć. Powinien wybrać miejsce przy drzwiach, tak by móc stawić czoło ewentualnym napastnikom. Było tam jednak zbyt zimno i wiało od dworu. Dlatego położył się za Sorayą, by móc ją przynajmniej chronić w razie ataku. Ryszard i Roger leżeli bliżej ognia.

Wyciągnął ramię i położył je na płaszczu Sorai. Wyczuł pod nim jej nagie ciało. Nagle dobiegło do jego uszu warczenie pieska.

Uśmiechnął się. Strażnik swojej pani.

Soraya poczuła jego dłoń na swoim boku i nagle dwie łzy popłynęły jej po policzkach. Miała wrażenie, że Mark bierze ją w ten sposób w opiekę. W tym geście było coś miłego i łagodnego. Jednak kiedy się gniewał, potrafił być naprawdę straszny.

Nienawidziła go.

I kochała.

Była gotowa oddać za niego życie.

Mark zbudził się, czując ból. Tylko swemu rycerskiemu treningowi zawdzięczał to, że nie krzyknął. Piesek Sorai wbił zęby w jego kciuk.

- Puszczaj, gadzino!

Poczuł, że Soraya zaczęła się trząść ze śmiechu. Wzięła psiaka,



odciągnęła dalej i przytuliła do swego boku. Ten ziewnął z zadowoleniem i po chwili zasnął.

- Zranił cię? - spytała.
- Rękę mam całą - odparł. - Ale uraził moją dumę.
- Cieszę się.
- Z powodu ręki czy dumy?
- Twojej dumie nic nie zaszkodzi - mruknęła.
- Do licha! Więcej z tobą kłopotu, niż jesteś tego warta.

Przysunęła się w jego stronę. W tej chwili między nimi znajdował się piesek, pewnie zadowolony z tego, że jest mu tak ciepło i przytulnie.

- Mylisz się, Mark. Jestem warta więcej, niż ci się wydaje.

Poczuł jej oddech na szyi. Chciał ją pocałować. Chciał wziąć ją w ramiona i poczuć, że należy do niego. Cały drżał z podniecenia.

Pragnął ją w tej chwili posiadać.

Soraya leżała obok i oddychała coraz szybciej. Mark spojrzał w stronę Rogera i króla. Obaj pogrążeni byli w głębokim śnie. Przesunął dłoń i dotknął szyi Sorai. Poczuł, jak serce zatrzepotało jej w piersi, ale nie wykonała żadnego ruchu.

Leżała jak sparalizowana, myśląc o tym, że bardzo pragnie Marka. Pożądanie wypełniło całe jej ciało. Nawet nie przypuszczała, że może czuć coś takiego. I że może stracić panowanie nad własnymi pragnieniami.

Nie myślała teraz o tym, że zmarzła, i o czekającej ich podróży. Pragnęła tylko jednego: czuć Marka blisko, coraz bliżej... Jej piersi

weszły i czuła dziwne mrowienie między nogami. Rozsunęła je, ale ono nie ustąpiło.

Mark dotknął jej ucha, a potem szepnął: „Sorayo”.

Zrobiło jej się gorąco. Sam dźwięk jej imienia sprawił, że była nagle zupełnie bezbronna, gotowa zrobić wszystko, o co ją poprosi. Mark przysunął się bliżej. Czuła jego palce na swoim nagim ramieniu.

- Sorayo - powtórzył.

- Tak, Mark?

Spojrzał w głąb jej oczu i zrozumiała, czego pragnie. Ale zaraz potem zerknął w stronę śpiących towarzyszy i pojęła, że jest to wykluczone. Nie mogli się przed nimi zdradzić. W innym wypadku znalazłaby się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Skinęła głową, czując jak serce wypełnia jej żal.

Ich ręce połączyły się i trwali tak przez dłuższy czas. Oboje wiedzieli, że trudno będzie im zasnąć, ale zmęczenie sprawiło, że zapadli w coś w rodzaju półsnu. I tak dotrwali do świtu.

To była najwspanialsza noc w jej życiu.

Kiedy zaczęło się robić widno, Soraya odsunęła się od Marka i przykryła szczelnie swoim nowym płaszczem. Następnie włożyła szybko stare ubranie, jak również przyniesione przez Marka pończochy. Niestety, nie miała odpowiednich butów na wyprawę. Buty były bardzo drogie i nie chciała na nie wydawać pieniędzy. Przez chwilę zastanawiała się, co robić, aż znalazła w chacie pas wyprawionej owczej skóry. Przecięła go na pół, a następnie owinęła kawałkami skóry stopy i na nie włożyła sandały. Było jej w tym

naprawdę ciepło.

Uchyliła trochę drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Aż zmrużyła oczy, bo nigdy w życiu nie widziała takiej bieli. Śnieg przestał już padać, ale pokrył wszystko w zasięgu wzroku. Nawet nie przypuszczała, że może go być aż tyle. Przy drzwiach powstała spora zaspą i nie mogła ich szerzej otworzyć, zobaczyła jednak, że zostawione na noc wierzchowce mają się dobrze. Trzeba je będzie tylko nakarmić przed podróżą.

Wioskę otaczały białe górskie szczyty. Nad nimi rozciągało się niebo tak czyste i błękitne, jakiego nigdy nie widziała w Palestynie, która słynęła z pięknej, słonecznej pogody. Tutejszy błękit miał w sobie jakąś głębię, jakby słońce nie zdołało go jeszcze wypalić.

Powietrze było zimne i z niechęcią pomyślała o tym, że musi wyjść i poszukać gdzieś ustronnego miejsca. Nie miała jednak wyboru. Wyśliznęła się przez półprzymknięte drzwi i ruszyła na tyły domu. W końcu znalazła odpowiednie miejsce. Po chwili ręce miała zgrabiące, a nos czerwony od zimna.

Nagle kątem oka dostrzegła dwie ciemne sylwetki. Stali przed nią dwaj mężczyźni. Z przerażeniem pomyślała, że nie ma żadnej broni i krzyknęła przeraźliwie.

Jeden z napastników wydobył szeroki miecz i gestem nakazał jej milczenie.

- Zabij ją teraz - powiedział drugi po arabsku. Napastnik z mieczem pokręcił głową.

- Nie teraz, głupcze.

Jeden z nich wziął ją za ramię i przerzucił przez plecy. Zdażyła

już wciągnąć spodnie, ale jeszcze ich nie zawiązała i w tej sytuacji trudno jej było się bronić.

- Mark! - krzyknęła.

Mężczyzna, który ją niósł, zatkał jej usta dłonią. Przeszli uliczką w stronę placu, a potem nieco dalej, tam, gdzie widziała poprzedniej nocy skrzypka. Kiedy mężczyzna postawił ją, zobaczyła ich wierzchowce. Były to wspaniałe arabskie rumaki, szybkie i wytrzymałe. Soraya aż jęknęła. Wiedziała, że Mark na swoim Jupiterze nie zdoła ich dogonić.

Jeden z napastników zarzucił ją na konia niczym worek prosa.

- Jedziemy - zakomenderował ten, który zapewne był dowódcą.

Po chwili obaj ruszyli przed siebie. Nawet jej nie związali. Zapewne uważali, że nie jest dla nich groźna.

- Dlaczego nie zabijemy jej teraz? - zapytał drugi.

Nie otrzymał odpowiedzi, ruszył więc za towarzyszem.

- Jest dla nas bezużyteczna - przekonywał go jeszcze.

- Wszystko w swoim czasie - stwierdził pierwszy. - Najpierw musi nam powiedzieć, co wie,

Soraya złapała oddech i zaczęła wzywać pomocy. Po chwili poczuła uderzenie w tył głowy i zapadła w ciemność.

## Rozdział dziewiętnasty

Mark poczuł nagle, że jest mu chłodno. Zimny wiatr dmuchał od strony drzwi. Psiak przysunął się bliżej jego nagiego brzucha, warknął, a następnie zwinął się w kulkę.

- Soraya? - szepnął Mark.

Spojrzał w stronę sznurka, na którym nie było już jej rzeczy, a potem w stronę drzwi. Czyżby wyszła? Na taki mróz?

Zerknął w stronę ognia, zastanawiając się, czy jeszcze zdoła go rozdmuchać, a potem tylko machnął ręką i zaczął przechadzać się miarowo po wnętrzu chaty. Do licha, co się z nią dzieje? Dlaczego jeszcze nie wraca? Czy nie przychodzi jej do głowy, że on się o nią niepokoi?

Król ziewnął, przeciągnął się, po czym spojrzał zamglonymi od snu oczami na Marka.

- Jestem głodny - mruknął.

- Idź do diabła.

- Wolałbym raczej posłać gdzieś Soraya, żeby coś nam pożyczyl.

Mark stanął w miejscu i rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Niestety, gdzieś zniknął - rzekł niepewnie.

- A, więc jednak poszedł po jedzenie - ucieszył się król. Tak, to na pewno o to chodzi, przekonywał siebie w duchu Mark. Soraya wyszła po to, by swoim zwyczajem znaleźć coś, czym mogliby

wszyscy napęłnić brzuchy. To, że znikająca, było bardzo denerwujące, ale na szczęście zawsze potem wracała.

Przynajmniej do tej pory....

Mark z trudem przełknął ślinę. Miał jakieś złe przeczucie. Nie wiedział tylko, skąd się ono brało i starał się mu nie ulegać.

Nagle poczuł, że piesek zaczyna się ocierać o jego nogi. Mark podniósł go, przez chwilę zastanawiał się, co z nim zrobić, a następnie umieścił zwierzę na płaszczu Sorai.

- Daj mi spokój - mruknął.

Piesek wyglądał na urażonego. Wyciągnął się jednak wygodnie na futrzanym podbiciu. Markowi nagle coś zaświtało. Wyszła i nie zabrała płaszcza? Chociaż było tak zimno?

Chwycił szybko płaszczy, strząsnąwszy z niego psiaka, i wybiegł na dwór. Owionęło go zimne powietrze. No tak, było naprawdę chłodno. Soraya nie mogła więc pójść daleko.

- Na miłość boską, zamykaj drzwi! - zawołał za nim król.

- Soray! - zawołał Mark. Król podszedł do wyjścia.

- Co cię dręczy, de Valery? - spytał.

- Mam wrażenie, że coś się stało z Sorayem - odparł Mark. -

Coś tu jest nie w porządku.

- Nie przejmuj się nim. Przecież to tylko służący. Musimy zbierać się do dalszej drogi.

- Nie! - powiedział gwałtownie Mark. - Jeszcze nie! Twarz

Ryszarda poczerwieniała z wściekłości.

- Nie?! Nikt nie powinien sprzeciwiać się królowi Anglii!

Chodź, de Valery. Powiedziałem, że jedziemy.

Mark spojrzał na Rogera.

- Nie mogę.

Przyjaciel zrobił zdziwioną minę.

- Zastanów się, Mark. Przecież złożyłeś przysięgę. Narażasz swój rycerski honor.

Tak, honor nakazuje służyć Ryszardowi, ale serce każe szukać Sorai, pomyślał. Ubrał się szybko i wyszedł przed chatę.

- Soray! - zawołał.

Odpowiedziała mu cisza. Zaczął się rozglądać za śladami i odnalazł te, które należały do dziewczyny, a potem jeszcze dwie pary innych. Dopiero po chwili zorientował się, że koło chaty doszło do walki, i że Soraya została uprowadzona. Przeszedł do placyku, dokąd prowadziły ślady, ale tam zmieszały się one z innymi, należącymi do mieszkańców wioski.

Nagle przypomniał sobie napastnika na rynku w Talamonie. Tamten cios wymierzony był w Sorayę, a nie w króla. Wyglądało na to, że zamachowcy w końcu ją znaleźli, i że jest ich co najmniej dwóch.

Mark zastygł na miejscu. Soraya znajdowała się w o wiele większym niebezpieczeństwie niż Ryszard. Jednak to, że ją porwano, wskazywało, że zamachowcy nie będą chcieli jej od razu zabić. Mark zacisnął pięści w bezsilnej złości. Postanowił, że jeśli byli to wysłannicy Saladyna, wróci do Jerozolimy i osobiście zetnie głowę wodzowi Saracenów.

Niech Bóg ma ją w swojej opiece!

Nagle wśród śladów stóp odnalazł odciski końskich kopyt. Prowadziły w stronę drzew, znajdujących się nieopodal wioski, i dalej na północ. Mark zawrócił w pośpiechu do chaty. Musieli jak najszybciej ruszyć tropem porywaczy. Nie było ani chwili do stracenia.

Wpadł do środka jak burza.

- Ubierajcie się! - krzyknął. - Na konie i za mną! Ryszard, który siedział przy wygasłym palenisku, tylko zmarszczył brwi. Chociaż niedawno to on nakłaniał do wyjazdu, teraz sprawiał wrażenie, jakby nie zamierzał się stąd ruszać.

- Jeszcze nic nie jedliśmy - zauważył. - Zaczekajmy, aż chłopak coś przyniesie...

- Ruszajcie się! Ktoś porwał Soraya!

- Porwał? - Król rozparł się wygodnie. - Założę się, że w wiosce szybko znajdziesz innego służącego. Może tylko nie tak sprytnego... - dodał z czymś w rodzaju żalu w głosie.

Mark zaczął się pocić. Tym razem włożył koleczugę. Przypasał też miecz i wziął sztylet, który Soraya zostawiła w chacie.

- Pojadę przodem - powiedział.

- Wykluczone - zaprotestował monarcha. - Przysiagłeś, że będziesz mnie chronił.

Roger wstał ze swego miejsca.

- Nie masz wyboru, Mark.

- Mam - mruknął ponuro Mark.

Mógł zdradzić króla i stracić honor albo poświęcić ukochaną osobę. W końcu udało mu się zmusić Ryszarda, by zebrał się do drogi.



Jednak król wcale się nie spieszył. Wolnym ruchem zsunął śnieg z grzbietu swego wierzchowca.

- Spokojnie, de Valery - rzekł. - Weźmiemy ze sobą kucyka Soraya. Jest dla mnie za mały, ale może przed opuszczeniem Italii znajdziemy jakiegoś innego służącego. Albo służącą.

Mark chciał głośno zaprotestować, ale Roger powstrzymał go gestem. Król wciąż się ociągał, więc sam wsiadł na konia i pogalopował do wioski i dalej na północ. Nawet nie zauważył pieska Sorai, który biegł tuż za nim.

Król i Roger ruszyli wolno jego śladem. Co jakiś czas odwracał się, by sprawdzić, gdzie się znajdują, ale dystans między nimi powoli narastał.

Mark zatrzymał się i wskazał ręką na północ.

- Tam pojechali!

Piesek zaszczekał i zaczął obwąchiwać ślady. Mark spojrzał na niego z niechęcią. Myślał przede wszystkim o tym, że nie może stracić Sorai.

- Idź sobie! - powiedział. Ale zwierzę nie miało zamiaru go opuścić. Biegło cały czas za nim. Kolejne okrzyki Marka nie robiły na nim większego wrażenia.

Jest taki jak Soraya, pomyślał Mark. I nagły ból przeszył mu pierś.

- Chyba musisz go adoptować - zakrzyknął król.

Mark zazgrzytał zębami i dźgnął piętami konia. Minął ostatnie chaty w wiosce i ruszył pod górę. Na szczęście drogą którą uciekali

porywacze, nie odbiegała od wybranego przez nich szlaku. W dalszym ciągu jechali na północ. Mark zastanawiał się, dlaczego porywacze nie zawrócili na południe, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Wiedział, że musi się spieszyć, gdyż słońce już zaczęło rozpuszczać leżący na drodze śnieg. Jak na razie ślady kopyt były dosyć wyraźne, ale wiedział, że za parę godzin zupełnie znikną.

Szlak nagle się rozdwajał. Jedne ślady prowadziły na wschód, inne bieging na północ, w stronę gór. Mark zmrużył oczy, przyglądając się dokładnie odciskom kopyt.

Bardziej odpowiadała mu dalsza jazda na północ, ale wiedział też, że jest to mniej bezpieczne. W górach kryli się bandyci. Którędy mogli pojechać Arabowie?

Po chwili namysłu skierował się na wschód, modląc się z nadzieją, że podjął słuszną decyzję.

Napastnicy związali Sorai ręce z tyłu, ale przynajmniej było jej ciepło. Tuż obok w metalowym koszu buzował ogień. Przysunęła się do niego blisko i po chwili dostrzegła wetknięty weń sztylet o cienkim ostrzu. A więc ognia nie rozpalono po to, by mogli się przy nim ogrzać. Soraya od razu domyśliła się, co ją czeka i poczuła, że robi jej się słabo.

- Pytam cię po raz kolejny, gdzie jest król Anglii - odezwał się jeden z napastników.

Soraya potrząsnęła głową. Nie była zakneblowana, ale wiedziała, że na tym odludziu głośne krzyki nie mają sensu. Chata, do której ją zaciągnęli, stała w gęstym sosnowym lesie. A mężczyźni dokładnie

zatarli wszystkie ślady.

- Gdzie jest król Ryszard? Milczała.

- Zaoszczędź sobie bólu! - Mężczyzna szarpnął ją za ramię. -

I tak będziesz mówić.

- Podróżowałam tylko z rycerzami - odparła. - Z dwoma rycerzami i jednym mnichem.

Mężczyzna pokręcił głową. Nie chciał dać wiary tym wyjaśnieniom.

- Gdzie jest wiadomość, którą miał dostarczyć twój wuj?

Soraya westchnęła. Wiedziała, że musi chronić króla i Marka, aż dotrą bezpiecznie do Anglii. Mężczyzna wykręcił jej rękę tak, że łzy stanęły jej w oczach. Soraya jęknęła z bólu.

- Na razie jestem delikatny - powiedział. - Gdzie ta wiadomość?

Nie wiedziała, co zrobi, kiedy napastnik użyje sztyletu. Poczuła, jak gardło ściska się jej ze strachu. W tej chwili chciała krzyknąć, ale ponownie stwierdziła, że nikt jej i tak nie usłyszy.

- Obyś miał dziesięć córek - powiedziała do przeciwnika wolno po arabsku. - I oby każda z nich dobrze wyszła za mąż.

Mężczyzna splunął z niechęcią i sięgnął po sztylet.

## *Rozdział dwudziesty*

Mark popędził konia do przodu, ale po chwili usłyszał, jak Ryszard zarządził zmęczonym głosem postój. Do licha, było za wcześnie, by się zatrzymywać. Wciąż chodziło mu po głowie, że nie mogą zgubić zostawionych przez porywaczy śladów.

Raz jeszcze przyjrzał się śladom kopyt. To nie mogły być ciężkie, rycerskie konie. Zapewne były to lekkie rumaki arabskie, które mogły jechać szybciej. Dlatego do tej pory nie zdołali ich dogonić. Jak również z powodu ociągania się Ryszarda, który wcale nie był zachwycony tym, co się działo. Zachowywał się jak rozpieszczone dziecko, które uważa, że jest najważniejsze na świecie.

- Gdzie jedziesz, de Valery? - zawołał teraz.

Mark zacisnął usta, udając, że go nie słyszy. Do piekła, pomyślał. Bo trafię tam za życia, jeśli nie odnajdę Sorai.

- Musimy znaleźć schronienie, najjaśniejszy panie - wyjaśnił, starając się panować nad głosem. - To w tym kierunku.

Spojrzał przed siebie i dostrzegł pieska, który wciąż im towarzyszył. Jemu też należało się coś do jedzenia. Rzucił mu więc kawałek chleba, który miał w torbie, bacząc, by Ryszard tego nie zauważył.

Saqui. Tak właśnie nazwała go Soraya. Wyjaśniła, że po arabsku oznacza to mróz. Dziwne imię dla zwierzęcia, które było czarne niczym węgiel, ale Soraya lubiła takie szarady. -

- Boże, pomóż mi ją odnaleźć - szepnął zarliwie.
- De Valery, rozkazuję ci się zatrzymać! - huknął Ryszard.

Mark ściągnął cugle. W tej samej chwili piesek, który szybko uwinął się z chlebem, rzucił się między drzewa. Ryszard dał ręką znak, by zsiadł z konia. Mark posłuchał go z westchnieniem. Wtem dopadł do niego Saquii i szczeknął dwa razy. Mark nie zwrócił na to uwagi. Pies pociągnął go więc zębami za nogawicę. Chciał go kopnąć, ale Saquii odskoczył. Nie dawał mu jednak spokoju i co jakiś czas poszczekiwał, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Co się z nim dzieje? - mruknął król. Mark wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Piesek skoczył wyżej i pociągnął go za poję płaszcza, a potem znowu zaszcekał.

- Ty wredna paskudo!

- Stój bez ruchu, to pomyśli, że jesteś drzewem i da ci spokój - poradził król, a potem zachichotał. - Tylko uważaj, żeby nie ulżył sobie w wiadomy sposób.

Mark nie powiedział mu, co sądzi o tej radzie, jak też o wielu innych radach Ryszarda. Patrzył na pieska, który sprawiał wrażenie, jakby chciał, żeby poszli za nim między drzewa. Spojrzał też na szlak i stwierdził, że koński trop nagle się urywa. Czyżby śnieg stopniał? A może wrogowie zatarli za sobą ślady?

Piesek szczeknął.

Nagle dobiegł do ich uszu wysoki krzyk i Mark zamarł na

miejscu. To była Soraya. Saquii, nie zważając na nich, pobiegł w tamtą stronę.

- *A moi!* - zakrzyknął Mark i wsiadłszy na konia, ruszył za pieskiem.

Teraz zarówno król jak i Roger zrozumieli, co się dzieje. Jechali za nim już bez dyskusji, starając się zachować jak największą ciszę.

Kolejny pełen bólu krzyk przeszył powietrze. Mark zagryzł wargi. Musiał jechać wolno, gdyż przeszkadzały mu gałęzie drzew. Po chwili dostrzegli stojącą w lesie prostą drewnianą szopę. Mark nie tracił czasu. Zeskoczył z konia i dobywszy miecza wpadł do środka.

Mężczyzna w turbanie odwrócił się zaskoczony. Chwycił tkwiący w ogniu sztylet i ruszył z nim w stronę Marka. Jego ostrze lśniło czerwono. Mark od razu zrozumiał, do czego chciał go użyć.

Soraya klęczała tuż przy koszu, w którym palił się ogień, ale kiedy zobaczyła, że Arab zmierza w stronę Marka, rzuciła się na niego z pasją. Mark uniósł miecz i przesunął się w stronę Sorai. Tamten skorzystał z tego i podbiegł do drzwi. Wypadł na dwór i legł martwy od ciosu Ryszarda.

Mark zauważył na lewym nadgarstku Sorai brunatny ślad.

- Już jesteś bezpieczna - powiedział. Ryszard zajrzał do środka.
- Są tu jeszcze jacyś Arabowie? - spytał. Mark potrząsnął głową.
- Był tylko jeden.
- A jak tam chłopak?
- Żyje - odparł sucho Mark.

Król podszedł do Sorai i włożył do pochwy swój miecz, który następnie ukrył pod habitem.

- Czy chodziło mu o mnie?
- Nie, najjaśniejszy panie - odparła.
- Więc o co? - spytał zdziwiony.
- Chciał... - zawahała się - chciał poznać treść listu od

Saladyna, ale nic mu nie powiedziałem.

Soraya cała drżała. Na jej policzkach widać było ślady łez. Ryszard zmierzwił jej włosy, a następnie poklepał ją po ramieniu.

- Dobry z ciebie chłopak, Soray.

Mark pochylił się nad Sorayą i przeciął jej więzy. Zmarszczył tylko mocniej brwi na widok drugiego śladu po przypalaniu. Na szczęście rany nie były głębokie i powinny się za jakiś czas zagoić. Teraz muszą przyłożyć do nich śnieg, żeby się nie jątrzyły.

- Już wszystko w porządku - ciągnął Ryszard, bardzo z siebie zadowolony. - Zająłem się tym bandytą.

Mark spojrzał na króla.

- Jest jeszcze drugi napastnik, sire. Wyjechali razem z wioski.  
- To prawda - potwierdziła Soraya. - Rozdzielili się, ale nie wiem, gdzie pojechał tamten. Odniosłem wrażenie, że mają jakieś dalsze plany.

Ryszard tylko machnął ręką, jakby to było nieistotne.

- Gdzie teraz jesteśmy? - spytał.
- W Umbrii.
- Więc nie możemy jechać na zachód - mruknął. - Kiedy Filip

dowie się, że nie ma mnie w Jerozolimie, zrobi wszystko, by dostać mnie w swoje ręce. Może lepiej będzie, jeśli miniemy te piekielne góry i pojedziemy na wschód do Rawenny?

Mark pobladł.

- Ale stamtąd będziemy mieli blisko do Austrii.

- Cóż, król Anglii nie boi się Austriaków. Już wolę mieć do czynienia z Leopoldem, niż z tym parszywym Filipem.

- Słusznie. Ale przejazd przez Rawennę to nienajmądrzejszy pomysł.

- Chcesz powiedzieć, że jestem niemądry?! - zaperzył się Ryszard.

- Nie, panie, tylko nieostrożny.

Mark chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę i wziąć Sorayę w ramiona, wiedział jednak, że nie może tego zrobić przy królu i Rogerze. Doskonale rozumiał, że w ogóle nie powinien tak bardzo przejmować się „chłopakiem”, jeśli nie chce wzbudzić podejrzeń króla.

- Ha, więc nieostrożny! - zaśmiał się Ryszard. - Odważny z ciebie człowiek, de Valery. Niewielu ośmieliłoby się mówić w ten sposób do króla.

- Staram się mówić prawdę, najjaśniejszy panie.

- Aż do bólu.

Soraya chrząknęła, chcąc zwrócić na siebie uwagę obu mężczyzn.

- Potrzeba nam sprytu, najjaśniejszy panie - zaczęła. - Ani Filip, ani Leopold nie będą się spodziewać, że odważysz się iść w zimie przez góry. Właśnie dlatego powinniśmy ruszyć na północ.



Ryszard pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to marznięcie i burze śnieżne - mruknął. -

Poza tym chciałbym zobaczyć w Rawennie te kościoły z wieżami w kształcie cebuli. - Wsiadł na konia. - Weźmiemy ze sobą wierzchowca tego Araba - dodał.

- I? - spytał Mark.

- Pojedziemy do Rawenny.

W Rawennie były nie tylko kościoły z obłymi wieżami, ale także olbrzymi targ z mięsem i rybami, na którym w dodatku występowali komedianci. Soraya zmarszczyła nos. Cuchnęło tu gorzej niż w Bagdadzie i było jeszcze głośniejsze, ale też bardziej kolorowo. Po szarości klasztoru i bieli śniegu, która towarzyszyła im w drodze, te barwy cieszyły jej oczy.

Ryszard chciał koniecznie obejrzeć orientalne kopuły kościołów, dlatego zatrzymywali się przy każdej z nich i zadzierali głowy do góry. Potem zaczęli przechodzić od gospody do gospody, próbując oferowanych tam win. Przy czym król różnicował zwiedzanie: po każdym kościele musieli zajrzeć do gospody, i tak na zmianę. Teraz siedzieli przy lepiącym się stole w La Bella Putta.

Soraya czuła, że od dymu i zapachu kadzidła w kościołach kręci jej się w głowie. Jej rany już się trochę zagoiły, ale wciąż była wyczerpana po tym, co się stało. Mark chyba też chętnie by odpoczął. Jedynie Ryszard miał niespożyte siły i bez przerwy domagał się nowych bukłaków wina. Wypił już dużo, a wyglądało na to, że wciąż ma spore możliwości.

Soraya doskonale wiedziała, czym to się może skończyć. Starła się jednak o tym nie myśleć i rozglądała się ciekawie dookoła.

Rycerze w Rawennie byli niczym świnie. Nosili brudne płaszcze i zardzewiałe kolczugi. W dodatku, sądząc po zapachu, rzadko się myli. Poza tym odniosła wrażenie, że są z nich straszni grzesznicy. Modlili się rano, pili w dzień, a wieczory i noce spędzali w towarzystwie kobiet lekkich obyczajów, których wiele kręciło się po uliczkach.

- Uwielbiam to miasto - oznajmił król. Kaptur zsunął mu się z głowy i wszyscy zebrani mogli go teraz widzieć.

Soraya i Mark wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Król był już zbyt pijany, by uważać na takie rzeczy. Powinni go jak najszybciej zabrać do jakiegoś zajazdu, gdzie mógłby odpocząć i wytrzeźwieć. I przede wszystkim skryć się w jakiejś zacisznej izbie.

Nie mogli jednak zrobić tego siłą, bo gotów był się rozkrzyczeć, że jest królem Anglii i nie można go w ten sposób traktować.

Na szczęście pomny poprzedniego pijaństwa Roger ledwie maczał usta w kielichu.

- Musimy go stąd zabrać - szepnął mu na ucho Mark.

- Z gospody czy z miasta? - spytał Roger.

- Na razie z gospody - odparł Mark. - A potem z Italii. Za dobrze się tu bawi. To prawda, że mnisi też tu piją i obłapiają dziewczki, ale zwraca na siebie uwagę.

Spojrzał na króla, który zażądał więcej wina, a potem wezwał postawnego Szweda w zawody, kto więcej wypije. Roger westchnął, widząc tę scenę.

- Będzie ciężko - stwierdził.

Mark skinął głową. Ponieważ na stole pojawiło się jedzenie, wziął pół gomółki sera i bochenek chleba, a następnie podał je Sorai, która przysypiała nad swoim winem. Czarny piesek leżał zwinięty w kłębek na jej kolanach.

- Może go zwięzać i wyprowadzić jak barana? - mruknął.

Roger pokręcił głową.

- To byłaby zdrada.

- Więc może powiedz mu, że jego brat Jan i król Filip wypowiedzieli mu wojnę. To mogłoby sprowadzić na niego otrzeźwienie.

Na ustach Rogera pojawił się lekki uśmiech.

- To już lepszy pomysł. To by mu dało do myślenia. Soraya uniosła głowę znad kielicha.

- Może raczej powiedzieć mu, że urządzają wielki turniej w... zaraz, jakie jest następne miasto na wschód?

- Wenecja, ale nie możemy tam jechać. Na Ryszarda czeka tam jeszcze więcej uciech niż w Rawennie!

Roger odstawił z trzaskiem kielich. W gospodzie było tak głośno, że nikt i tak nie zwrócił na to uwagi.

- Wobec tego musimy jechać do Austrii - mruknął.

- Niemożliwe. Ryszard ośmieszył Leopolda w Jerozolimie, a on nigdy mu tego nie daruje. Jesteśmy otoczeni przez wrogów. Wrogów i szpiegów.

Soraya zastanawiała się przez chwilę.

- Zauważyłem, że Ryszard lubi zakłady - powiedziała. - Więc

może o coś się z nim założyć?

Mark spojrzał na nią z podziwem.

- Świetny pomysł. Tylko jaki to ma być zakład? - Zasepił się.

- Taki, żeby musiał opuścić Rawennę, by wygrać. Spojrzeli w stronę Ryszarda, który wygrał ze Szwedem i teraz wołał o jedzenie.

Potrafił wchłonąć mniej więcej tyle wina co jadła. Aż trudno było uwierzyć, że to wszystko mieści się w jego żołądku.

- Ba, łatwo powiedzieć - mruknął Mark.

- Ryszard lubi wygrywać - Soraya zabrała się do wyniszczania szczegółów swego planu. - Załóżcie się z nim, że nie zdoła przejechać dwustu mil w ciągu trzech dni. A potem trzeba będzie wybrać wolną drogę przez góry.

- Świetny plan! Żeby tylko Ryszard nie zechciał pojechać do Wenecji - mruknął Mark.

- W Wenecji panuje zaraza - rzekł Roger. - Wiem to od tego kupca. - Wskazał głową mężczyznę przy sąsiednim stole.

Soraya zaczęła mu się uważnie przyglądać i jej twarz nagle pobladła. Znała te rysy.

- Brat Andreas - szepnęła. - To nie kupiec, ale brat Andreas.

- Niemożliwe - mruknął Roger.

Mark przyjrzał się uważnie wskazanemu mężczyźnie. Miał gładką, różową skórę, okrągłą twarz i długie palce. De Valery złapał chleb i ser i zerwał się na równe nogi.

- Soray ma rację - powiedział. - Chodźcie!

Roger otworzył szeroko oczy i patrzył na rzekomego kupca.

Soraya podbiegła do drzwi, trzymając w ramionach psiaka. Mark podszedł do króla i szepnął mu na ucho tylko jedno słowo: „Szpieg”.

Ryszard podskoczył, jakby ukąsił go skorpion. Nagle niemal wytrzeźwiał. Nasunął kaptur na głowę i ruszył nieco chwiejnym krokiem za Markiem. Minęli grupę trubadurów i podeszli do wyjścia.

Po chwili owionęło ich chłodne nocne powietrze.

Roger ocknął się w końcu, wyszedł z tawerny i przyprowadził konie. Soraya już wsiadła na swego kucyka.

- Jedziemy - powiedział król zupełnie przytomnym głosem. Po chwili ruszyli przed siebie ulicami miasta, gdzie nawet

po zmroku rozbrzmiewała muzyka. Ryszard chwiał się trochę w siodle, ale dawał sobie radę. Co chwila patrzył tylko tęsknie w oświetlone okna mijanych gospód. Sprawiał wrażenie, jakby chciał odwiedzić je wszystkie.

- Gdzie jest de Clare? - krzyknął w pewnym momencie Mark.

- Za tobą - odezwał się Roger.

Minęli kamienny kościół Świętego Jana, który oglądali już wcześniej. Mark myślał przez chwilę, że król będzie szukał schronienia w domu bożym, ale ten ruszył dalej ulicami miasta.

Mark podjechał do niego.

- Musimy wydostać się z miasta - powiedział.

- Za późno - odparł król. - Bramy będą pozamykane.

- Jednak spróbujmy. Jedziemy do bramy północnej. Okazało się, że brama północna nie była zamknięta, ale

nie była też otwarta. Krata zepsuła się i zatrzymała w połowie

drogi. Nie można jej było opuścić. Na to przynajmniej wyglądało. Strażnicy, którzy przy niej stali, dyskutowali o czymś zawzięcie, pociągając co jakiś czas łyk wina z bukłaków.

Mark westchnął ciężko. Soraya przeszłaby pod tą kratą ze swoim kucykiem, ale nie on z Jupiterem, czy nawet Ryszard ze swoim wierzchowcem.

Podeszli do strażników, by zorientować się, co się dzieje. Jednak żaden z nich nie mówił po francusku ani angielsku. Soraya stanęła przy nich i zaczęła nucić jakąś piosenkę po arabsku.

- Co on robi? - mruknął król. - Oszalał?

Strażnicy skinęli głowami. Piosenka wyraźnie im się podobała, zresztą Mark musiał przyznać, że Soraya miała miły dla ucha głos. Czekali we trzech na dalszy rozwój wypadków. W końcu Soraya skończyła swoją piosenkę i ukloniła się strażnikom, a ci zaczęli klaskać.

Pokazała im gestem, żeby podnieśli kratę, a oni zastanawiali się przez chwilę. W końcu jeden z nich machnął ręką i podszedł do koła, na które nawijał się łańcuch. Przez chwilę mocował się z nim, aż w końcu krata uniosła się jakieś pół metra. Następnie rozłożył ręce w bezradnym geście. Znaczyło to tyle, że więcej się nie da. Mechanizm zepsuł się i nic już nie można było z nim zrobić. Strażnicy nie byli z tego zadowoleni, bo musieli teraz czuwać całą noc przy północnej bramie.

- Tyle wystarczy - rzucił Mark. - Z koni.

Pierwszy przeprowadził pod kratą swego wierzchowca, ponieważ

Jupiter był największy. Za nim przeszedł król, a potem Roger. Na koniec za bramę wysliznęła się Soraya, która wcześniej skłoniła się strażnikom.

Po chwili wszyscy wsiedli na konie i ruszyli szybko przed siebie w nadziei, że zgubią szpiega.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Soraya jechała na kucyku, uśmiechając się szeroko. Ryszard podjechał do niej pierwszy i poklepał ją po chudym ramieniu. Tak zwykle wyrażał sympatię, i zdążyła się już do tego przyzwyczać.

- Dobry z ciebie chłopak - powiedział.

Roger zasalutował jej po rycersku, unosząc dłoń do brody.

Mark podziękował jej ostatni. Prawdę mówiąc, miał ochotę zsiąść z konia i klęknąć u jej stóp, ale wiedział, że tylko obudziłoby to podejrzenia jego towarzyszy. I bez tego mieli dosyć kłopotów.

- Świetnie sobie poradziłeś. Skąd pomysł, że zechcą wysłuchać twojej piosenki?

- Zauważyłam instrumenty, które trzymali koło bramy - wyjaśniła. - Wyglądało na to, że zajmują się muzyką. Postanowiłam zaryzykować...

Oczywiście Mark nie widział żadnych instrumentów. W ogóle nie rozglądał się dookoła. Chodziło mu tylko o to, żeby jak najszybciej

wydostać się z Rawenny. Raz jeszcze okazało się, że Soraya jest obdarzona zmysłem obserwacji, który bardzo może się im przydać. Postanowił, że nie będzie już lekceważył pochodzących od niej ostrzegawczych sygnałów, nawet gdyby wydawały mu się absurdalne.

Spojrzał na jej pokrytą smugą brudu twarz i pomyślał, że wygląda w tej chwili naprawdę pięknie. Nie mieli nawet czasu na to, żeby się umyć. Gdyby nie pijaństwo króla, mogliby wcześniej trochę odpocząć.

- Bardzo pomysłowo. Czasami wydaje mi się, że jesteś aż nazbyt sprytna.

Soraya spojrzała na niego i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Była wyraźnie zadowolona z tego, co się stało.

- Nie, panie. Na tyle, żebyś nie przestał się mną interesować...

- Jedź ze mną do Wenecji - powiedział.

Było to zupełnie niepotrzebne. Soraya nie miała innego wyboru. Ale Mark powiedział to tak, jakby chciał ją w ten sposób zaprosić do Szkocji, do swego życia i... do swego łóżka. Czy zrozumiała, o co mu chodzi? Bez wątpienia!

Jednak Mark czuł, że nie może od niej żądać zbyt wiele. W tej chwili był związany słowem honoru i musiał służyć królowi. Soraya zdawała sobie z tego sprawę i długo patrzyła mu w oczy.

- Pojadę tam, gdzie zechcesz - powiedziała, a następnie popędziła swego kucyka za wierzchowcem Ryszarda.

Jechali całą noc. Ryszard miał co prawda kłopoty z utrzymaniem się w siodle, ale ponieważ nie napotkali po drodze żadnego miejsca,



gdzie mogliby się schronić, musieli jechać dalej. Roger co jakiś czas przysypiał na koniu, lecz zaraz się budził. Soraya nie spała. Mimo okładów ze śniegu bolały ją przypalone nadgarstki. Jednak jeszcze bardziej bolało ją serce. Chciała być z Markiem i wiedziała, że jest to niemożliwe. Gdzieś tam na północy czekał na niego dom i... narzeczoną, z którą w końcu będzie się musiał ożenić. A wówczas ona okaże się niepotrzebna i być może będzie musiała wracać do swego kraju i do domu wuja. Czekala ją długa droga do Anglii i z powrotem. Nie chciała jednak opuścić Marka. Była gotowa pojechać z nim na kraj świata.

Wizyta w Wenecji okazała się być katastrofą. Tuż przed miastem koń Ryszarda okulał i król nalegał na kupno nowego rumaka, takiego, który byłby odpowiedni dla władcy o jego statusie.

- Nie będziesz wyglądał na biednego mnicha, panie - usiłował sprzeciwić się temu Mark. - I tak coraz częściej zdejmujesz kaptur i narażasz siebie i nas na niebezpieczeństwo. Ten rumak powie wszystko naszym wrogom. To ryzykowne.

- Samo życie jest ryzykowne - mruknął Ryszard.

- Poza tym podróżujemy w zimie i mamy coraz więcej wydatków - argumentował Mark. - Potrzebujemy pieniędzy na strawę i przyodziewek.

Jednak król nie chciał go słuchać, chociaż Mark mówił, że jeśli tak dalej pójdzie, to będą się żywić czarnym chlebem i sypiać w stajniach, jak w czasie ostatnich trzech nocy. Noclegi w stajniach były niebezpieczne również z tego względu, że król w końcu domyśliłby się, iż służący Marka jest kobietą. A w każdym razie mógłby to

„sprawdzić” po swojemu. Ryszard cieszył się sławą kobieciarza, ale w obozach rycerskich krążyły plotki, że nie gardzi też chłopcami.

Po dotarciu do Wenecji pojawił się nowy problem. Soraya raz jeszcze zobaczyła brata Andreasa, który grał na swoich skrzypkach, tym razem na placu św. Marka. Od razu jej uwierzyli. Mark nie bał się samego brata Andreasa, ale tych, którym służył.

Następnego dnia o świcie wyjechali z pięknego miasta i ruszyli w dalszą drogę. Mark miał nadzieję, że nawet jeśli brat Andreas jest szpiegiem, co raczej nie ulegało wątpliwości, to nie zdąży tak szybko skontaktować się ze swoimi mocodawcami. I to niezależnie od tego, kim byli.

Przejechali ledwie milę, gdy od Alp nadciągnęła straszna burza. Najpierw padał śnieg z deszczem, a potem grad wielkości gołębic jaj. Okryli się szczelnie tym, co mieli, i skulili w siodłach, ale to niewiele pomagało. Co rusz któreś z nich wydawało okrzyk bólu, czując mocne uderzenie w głowę.

- Nie jedziemy dalej - oznajmił Ryszard, kiedy dotarli do skrzyżowania.

Roger spojrział ze zdziwieniem na władcę.

- Wracamy do Wenecji? - spytał.

Markowi chciało się śmiać. Król wydał ich ostatniego denara na spory bukłak z winem, wypił niemal cały, a potem w nocy wymiotował.

Ryszard spojrział kwaśno na Rogera.

- Nie przypominaj mi o tym mieście. Mają tam kiepskie wino i

podłe jedzenie. A poza tym mało kobiet. Jak to się dzieje, że w Wenecji jest tyle ludzi, skoro prawie nie mają tam kobiet?

Ruszył do przodu, mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwa. Mark spojrzał za nim i pokręcił głową.

- To gorsze niż niańczenie małego dziecka - stwierdził.  
- Pewnie - zaśmiał się Roger. - Dziecku przynajmniej można dać klapsa.

Mark westchnął ciężko. Kiedy zdecydował się na wyprawę z królem, wiedział, że nie będzie ona lekka. Nie przypuszczał jednak, że właśnie z takich powodów. Ryszard słynął z odwagi, był też dobrym dowódcą i brakowało mu jedynie zdrowego rozsądku i... umiaru.

- Sam nie wiem, co sobie myślałem, kiedy przysięgałem, że go będę ochraniał - mruknął. Przyjaciel położył dłoń w rękawicy na jego ramieniu.

- To był twój obowiązek. Jesteśmy rycerzami i na tym polega nasze życie. Musimy służyć naszym lennym panom, nawet jeśli nam się to nie podoba.

- Już niedługo nie będę rycerzem - przypomniał mu Mark - I z pewnością nie będę służył Ryszardowi. Wręcz przeciwnie zrobię wszystko, by Plantagenetowie trzymali się z daleka od ziem Szkocji. Wiem, że klany są skłócone, ale Anglicy wprowadziliby na nasze ziemie jeszcze większy zamęt. Teraz widzę to bardzo jasno - dodał, zaciskając pięści. Roger spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Będziesz walczył z Ryszardem? - spytał zdziwiony. Mark spostrzegł, że Soraya patrzy na niego uważnie. Chociaż nie zdradzała

miną, o czym myśli, to jednak oczy jej pociemniały.

- Saladyn śmiałyby się z was - stwierdziła. - Walczyć z Filipem czy Leopoldem to rozumiem, ale walka z rodakami...

- Normanowie nie są moimi rodakami! - stwierdził Mark -  
Zawsze będę walczył o moją ojczyznę!

- Ale wcześniej musisz dochować wiary Ryszardowi -  
zauważył Roger.

- Nie zdradzę Ryszarda. Już prędzej to on zdradzi siebie. Roger  
potrząsnął głową.

- Musi zdawać sobie sprawę z tego, że jesteśmy blisko ziem  
jego wrogów. To prawda, że lubi się bawić, ale jak będzie trzeba,  
zachowa zdrowy rozsądek.

Z ust Marka wyrwało się tylko jedno słowo: - Oby!

- Więc pojedziemy przez Austrię?

- Tak, z bożą pomocą. Najpierw do Salzburga, a potem do  
Zurichu. Ryszard ma tam krewnych po kądzieli. Powinniśmy się tylko  
modlić, żeby ktoś ukradł mu rumaka, zanim zatrzyma nas pierwsza  
austriacka straż, której wyda się podejrzane, że zwykły mnich jedzie na  
takim koniu.

Soraya posłała mu szybkie spojrzenie, ale zaraz spuściła oczy.  
Ryszard odwrócił się do nich i krzyknął:

- Hej, pospieszcie się! Jestem głodny!

- O nie! - jęknęła Soraya. - Znowu mamy jechać do gospody?

Tylko nie to!

- Niestety - westchnął Roger i popędził do króla.

- To wyjątkowo głupie z jego strony - mruknął Mark.
- Radzę tego nikomu nie powtarzać - rzuciła ze śmiechem

Soraya.

- Roger nie ma racji, Ryszardowi brak zdrowego rozsądku.

Myślę, że już wkrótce ktoś go rozpozna, a wtedy niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Zatrzymali się przy pierwszej napotkanej po drodze oberży. Król wciągnął głęboko powietrze do płuc.

- Czuję pieczonego królika - powiedział bardzo zadowolony.

Stanowiło to wystarczającą zachętę. Ryszard zsiadł z konia

i pomaszerował prosto do wejścia, nie oglądając się za siebie.

Roger też zsiadł z wierzchowca i wziął wodze królewskiego konia.

Następnie poprowadził zwierzęta do stajni.

- Cóż, ja też jestem głodny - rzekł Mark - Poza tym musimy nakarmić konie i dać im trochę odpocząć.

Poszli najpierw do stajni, gdzie chłopiec stajenny zajął się ich wierzchowcami, następnie Mark rozejrzał się bacznie dookoła i w końcu weszli do wnętrza oberży. Oboje skierowali się do stołu w kącie. Wewnątrz było ciepło i hałaśliwie. Biesiadnicy zaczęli się gromadzić wokół wesołego mnicha, który zapowiedział, że za chwilę zaśpiewa im piosenkę.

- Muszę tylko przepłukać gardło - rzekł Ryszard i kazał oberżyście przynieść garniec najlepszego wina.

Roger dosiadł się do nich i popatrzył z niepokojem na monarchę.

- Ciekawe, jak chce za to zapłacić.

- Nie wiem, przyjacielu - odparł Mark. - Nie mamy już pieniędzy. Może najpierw zjemy, a potem będziemy się martwić.

Roger wskazał współtowarzyszy króla.

- Może wygra jakiś zakład - powiedział. - Jest dobry w siłowaniu się na rękę.

Mark nie patrzył jednak w tamtą stronę. Zwrócił uwagę na samotnego mężczyznę, który ulokował się przy drzwiach i choć udawał, że nic go nie interesuje, co jakiś czas zerkał na króla. W oczach Sorai pojawiło się ostrzeżenie.

- Przepraszam, panie, ale muszę wyjść na chwilę z Saquii - powiedziała.

Mark skinął głową.

- Ale uważaj. I nie opuszczaj podworca.

Wzięła psa na ręce i wyszła. Mark zajął się mięsem i winem. Pił mało, zerkając co jakiś czas w stronę drzwi. Nie było jej długo, zbyt długo. Parę osób wyszło, ale znacznie więcej weszło do środka.

W końcu uznał, że najwyższy czas poszukać Sorai. Nie zdążył jeszcze się podnieść, gdy dziewczyna wpadła do zajazdu i pospieszyła do króla. Pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Ryszard zrobił się błądy niczym płótno.

Po chwili oboje ruszyli w stronę kuchni, gdzie włożyła mu kucharski fartuch i wcisnęła w dłoń tasak. Mimo przebrania nie wyglądał na kucharza, ale było to jedyne, co mogła w tej chwili zrobić. W tym samym momencie w oberży pojawiło się czterech zbrojnych. Zaczęli chodzić po sali, przyglądając się gościom.

Roger chciał wstać i dobyć miecza. Mark złapał go za ramię.

- Nie ruszaj się - powiedział. - Ale bądź gotów do walki. Gdy jeden ze zbrojnych wszedł do kuchni, Mark położył dłoń na rękojeści miecza. Roger zaklął i patrzył w stronę kuchni, gdzie wciąż panowała cisza.

Nagle rycerz, który wszedł do kuchni, wydał głośny okrzyk. Pozostali ruszyli w tamtą stronę. Mark i Roger zerwali się od stołu. Wbiegli do kuchni i zobaczyli, że Soraya uderzyła wielką patelnią w głowę pierwszego zbrojnego. Ten padł bez czucia na podłogę. Jednak drugi rycerz chwycił ją w pasie i odrzucił jak piórko w kąt pomieszczenia. Patelnia z głośnym brzękiem upadła na podłogę.

Ryszard uniósł tasak, ale jeden ze zbrojnych przystawił mu miecz do szyi, więc wypuścił broń. Dwaj pozostali rycerze znajdowali się tuż obok.

- Oto Ryszard Lwie Serce - rzucił zbrojny. Król wyprostował się dumnie.

- Zostawcie go! - krzyknął Mark i odciągnawszy Ryszarda, zasłonił go własnym ciałem.

Miał przeciw sobie trzy nagie miecze.

- Nie, zostaw ich - powiedział król. - Nie możesz z nimi walczyć, bo zabiją mnie pierwszego.

Mark patrzył na napastników. Ten ogłuszony przez Sorayę zaczął się gramolić z podłogi. Roger sięgnął po swój miecz.

- Nie! - krzyknął król.

Za późno. Jeden z napastników odwinął się i ciał Rogera przez

udo. Ten zwalił się z jękiem na ziemię. Napastnik podszedł do Ryszarda.

- Ryszardzie, królu Anglii, jesteś moim jeńcem! - rzekł dumnie.

Mark gotów był do walki, ale władca położył dłoń na jego ramieniu. W tej sytuacji niewiele można było zrobić. Musieli się poddać, jeśli chcieli pozostać przy życiu. Nie ulegało wątpliwości, że rycerze są zdecydowani na wszystko. Musieli dostać wyraźne instrukcje od swoich zwierzchników.

- Zostaw go - powiedział. - Pojedziesz z wieściami do mojej matki, królowej Eleonory. Powiesz jej, by mnie wykupiła.

Jeden ze zbrojnych podszedł do Marka.

- Poddaj się, bo rozplatają mnie jak tego królika - mruknął król.

Mark skinął głową i schował miecz do pochwy. Zbrojni zdjęli Ryszardowi kucharski fartuch i związali mu ręce. Po chwili wyszli z nim, nie zwracając uwagi na pozostałych. Dyspozycje dotyczyły więc tylko króla. Inaczej zajęliby się też jego obrońcami.

Roger wciąż leżał na podłodze.

- Nie mogę jechać - powiedział. - Ruszę za wami, kiedy opatrzy mnie medyk.

Mark potrząsnął głową. Było mu bardzo żal przyjaciela i nie chciał, by zajmował się on dalej cudzymi sprawami. I tak poświęcił już dużo czasu na to, by towarzyszyć królowi. Mark miał nadzieję, że monarcha o tym nie zapomni.



- Nie. Twoja misja się skończyła. Odpocznij tutaj, a potem jedź do Jerozolimy.

Soraya podniosła się i podeszła do Marka. Oboje wyjrżeli przez okno, by jeszcze raz zerknąć na króla, który odjeżdżał w eskorcie zbrojnych.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Soraya wcisnęła złotą monetę w wielką dłoń oberżysty.

- To na opiekę nad sir Rogerem de Clare - powiedziała.

Mężczyzna spojrział wielkimi oczami na złoto, spróbował monety zębami, a następnie skinął głową.

- Będzie miał najlepszą - zapewnił. Mark przyklęknął obok przyjaciela.

- Przykro mi, że muszę cię opuścić - powiedział. - Twój koń będzie czekał w stajni, aż wydobrzejesz.

Roger zamknął na chwilę oczy.

- Jedźcie w imię boże. Koniecznie weź ze sobą chłopaka. Mark zerknął na Sorayę.

- O ile tylko będzie chciał ze mną jechać - rzucił. Soraya wiedziała już, że pojedzie z Markiem do Anglii i że

zmieni to całe jej życie. Nie mogła zostawić go samego. Ten wziął ją za ramię.

- Chodźmy już - powiedział.
- A czy nie zapłacimy za kolację? - spytała.

Mark wzruszył ramionami. W ogóle o tym nie myślał, a teraz okazało się, że mają jeszcze jeden problem.

- Czym? Ryszard wydał wszystkie nasze pieniądze. Sięgnęła za swój pas i wyjęła z sakiewki srebrną monetę. Mark złapał ją za rękę.

- Skąd to masz?
- Nie ukradłam tych pieniędzy, jeśli o to ci chodzi. - Uniosła dumnie brodę.

Mark pokręcił głową. Wciąż nie bardzo wiedział, kiedy może ufać Sorai.

- Co innego wziąć z targu trochę chleba czy owoców, a co innego zabrać komuś sakiewkę - mruknął.

- Niczego nie ukradłam - powtórzyła. Po chwili dodała lekko zawstydzona: - Ale coś sprzedalam.

- Co takiego sprzedalaś? - zaciekawił się Mark. Wahała się przez chwilę.

- Królewskiego konia.

- Sprzedałaś królewskiego konia? - powtórzył i pobiegł do stajni. W środku rzeczywiście nie było wspaniałego rumaka Ryszarda.

- Naprawdę to zrobiłaś?

- Przecież sam powiedziałeś, że byłoby lepiej, gdyby ktoś go ukradł. Dlaczego mi nie wierzysz? W tym kraju mężczyźni nie chcą słuchać kobiet...

- Wierzę ci - mruknął. - Gdyby Ryszard się o tym dowiedział,

powiesiłby cię na pierwszej gałęzi.

Soraya wzruszyła ramionami.

- Ale już tego nie zrobi. Ten mężczyzna potrzebował dobrego dodatkowego wierzchowca. Zapytał o konia Ryszarda, a ja powiedziałam, że mogę go sprzedać. Stajenny potwierdził, że przyprowadziłam go do stajni razem z Rogerem de Clare.

- Ale na czym miałby jechać Ryszard? Przecież sprzedaliśmy wcześniej zdobytego araba!

- Jakiś kupiec obiecał, że odstąpi mi swoją kobyłę, która doskonale nadaje się dla mnicha. - Soraya miała odpowiedź na wszystko. - Przecież powiedziałaś, że z powodu tego wspaniałego konia ktoś w końcu zwróci na nas uwagę...

- I stało się to szybciej, niż przypuszczałem - mruknął.

- Jest coś jeszcze...

- Mam dosyć niespodzianek, jak na jeden dzień - rzekł zmęczonym głosem. - Król jest w niewoli, Roger leży ranny, co jeszcze mi szukujesz?

- Ten człowiek, który kupił ode mnie konia, to był jeden ze zbrojnych. Ryszard jedzie teraz na własnym koniu i nie ma pojęcia, że go sprzedałam.

Mark spojrzał na nią wielkimi oczami i przez moment nie mógł wydusić z siebie słowa. A potem zaczął się śmiać.

- Rzeczywiście - wymamrotał w końcu - przecież oboje widzieliśmy, jak Ryszard odjeżdżał na swoim koniu. A to dobry figiel!

- Jak widzisz, nie stało się nic złego.

Mark wsiadł na Jupitera, a Soraya zagwizdała na swego pieska. Ruszyli w dalszą drogę. Kiedy Mark przypominał sobie o tym, co się stało, raz po raz wybuchał niepohamowanym śmiechem.

Wkrótce jednak zrobiło im się nie do śmiechu. Zapadła zimna noc i pojawiła się też lekka, ale dokuczliwa mżawka. Ich ubrania powoli nasiąkały wodą. Było to gorsze niż podróż w śniegu. Czuli się tak, jakby mróz lizał ich powoli swoim szorstkim językiem.

Mark wskazał budynek, który stał nieopodal drogi. Nie wyglądał on zbyt zachęcająco, ale nie mieli przecież wyboru.

- Odpoczniemy w tej chacie.

Soraya miała nadzieję, że znajdą w niej drewno na opał, bo nie chciało jej się szukać go po ciemku w lesie. Po chwili zsiadli z koni i weszli do środka. Panowała tam niezgłębiona ciemność i czuć było przegniłym drewnem.

- Jest tu prawie tak samo zimno jak na zewnątrz - powiedziała niepewnie Soraya.

Mark nie odpowiedział. Czekał chwilę, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, a potem podszedł do paleniska, obok którego położył ciężkie siodło Jupitera. Dopiero teraz zaczął myśleć o swojej misji. Miał poinformować o tym, co zaszło, królową Eleonorę. Pod warunkiem, że w ogóle uda im się w taką pogodę przebić do Anglii. Poza tym wciąż groziło im niebezpieczeństwo. Co prawda pozbyli się nieroztropnego Ryszarda, ale zamachowcy mogli wciąż podążać tropem Sorai.

Soraya opadła na podłogę i okryła się szczelnie swoim

płaszczem:

- Co dalej? - spytała.

- Na razie odpoczniemy tu do rana i się rozgrzejemy. A dalej... nie wiem. Najszybciej byłoby pojechać przez góry do Burgundii, ale słudzy Filipa patrzą nieprzychylnym okiem na ludzi Ryszarda. Z drugiej strony, jak wiesz, Leopold Austriacki też nie jest do niego przyjaźnie nastawiony. Tak czy tak jesteśmy otoczeni wrogami. To nie jest zbyt zachęcające.

Mark pomyślał, że podróż będzie też niebezpieczna z innego względu. Czy uda mu się tak panować na sobą, by nie uwieść Sorai? Nie chciał skalać gwałtem swego rycerskiego honoru.

- Moglibyśmy zawrócić do oberży - rzekł po chwili. - Zostawiłbym cię z Rogerem.

- A może najpierw spytasz mnie, czy tego pragnę? - syknęła Soraya.

Mark spojrział na nią z góry, a potem przykucnął przy palenisku.

- Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co nam grozi - powiedział. - Jeździłem tędy wcześniej i znam te tereny. Ta podróż nie będzie należała do łatwych...

- A do tej pory było nam lekko i przyjemnie... Mark puścił mimo uszu tę ironiczną uwagę.

- Najlepiej byłoby poczekać do wiosny - rzekł zamyślony. - Ale...

- Nie możesz - dokończyła za niego.

- Nie mogę. Wiąże mnie przysięga. Muszę jechać jak naj-

szybciej do królowej Eleonory.

Soraya złapała go za rękę.

- Proszę, Mark. Nie zostawiaj mnie w zajeździe. Z trudem przełknął ślinę i pokręcił głową.

- Muszę. Czy nie widzisz, co się z nami dzieje? Uniosła brodę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Widzę - rzekła ze ściśniętym gardłem.

- Dlatego muszę cię odwiedzić do Rogera. Tak, byś mogła wrócić do Jerozolimy.

- Nie chcę wracać do Jerozolimy - powiedziała dobitnie.

- Pragnę jechać z tobą, choćby miało to być bardzo niebezpieczne.

Mark złapał ją za ramiona. Bardzo chciał, by tak się stało.

Wiedział jednak, że ma wobec niej obowiązki.

- Sorayo, nie wiem, jak powiedzieć ci to, co muszę.

- Więc tego nie rób - rzuciła szybko.

- Nie, nie wytrzymam tak dłużej, mając cię obok w dzień, a także... w nocy.

- Ja też mam tu coś do powiedzenia. Nie opuszczę cię! Nie pozwolę, byś jechał sam! Stracisz czas, jeśli zechcesz mnie odwiedzić do oberży. Czy król pozwoliłby ci na takie opóźnienie?

- spytała na koniec prowokacyjnie.

Mark potrząsnął nią lekko.

- Nie możesz ze mną zostać!

Nie mogę też żyć bez ciebie, odpowiedziała mu w duchu.

Za bardzo się do ciebie przywiązałam. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, jak nazwać to uczucie. Ale jest ono silniejsze ode mnie.

- Jeśli będziesz chciał, to po skończonej misji odpłynę do Palestyny - rzekła. - Ale na razie pozwól mi zostać.

Mark potrząsnął nią mocniej.

- Co ty mówisz? Przecież wiesz, że zawsze będę chciał cię mieć przy sobie!

Soraya z trudem przełknęła ślinę.

- Pamiętaj, że jesteś zaręczony. Po powrocie do Szkocji będziesz się musiał ożenić. Nie możesz mieć dwóch żon, a ja nie zgodzę się być twoją nałożnicą.

- Nie! Nigdy na to nie pozwolę!

Soraya wyswobodziła się delikatnie z jego uścisku.

- Nie powinniśmy teraz o tym myśleć - rzekła. - Zastanówmy się raczej na tym, jak dotrzeć do Anglii. Wiem, że masz narzeczoną, Mark. Dlatego chcę, byś traktował mnie w tej podróży jak przyjaciela i towarzysza, którego potrzebujesz.

Mark spojrzał jej głęboko w oczy. Mrok nie pozwolił mu z nich nic wyczytać, ale wiedział, że Soraya mówi szczerze.

- Jaka szkoda, że jesteś kobietą! - powiedział z westchnieniem.  
- Masz tyle odwagi, że mogłabyś zostać rycerzem. Teraz powinniśmy odpocząć, bo niewykluczone, że jutro będziemy musieli uciekać.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Ci rycerze mieli pojmać tylko Ryszarda, ale ich zwierzchnicy pomyślą również o nas, jego posłańcach. Z pewnością postarają się,

byśmy nie dotarli do królowej, Eleonory.

- Czy to takie ważne? Przecież wieści o jego pojmaniu i tak dotrą do Anglii.

- Wieści tak, ale nie królewska prośba. Eleonora powinna wykupić syna.

Soraya skinęła głową. Nie do końca rozumiała tajniki europejskiej dyplomacji, ale też się nimi nie przejmowała. Pomyślała, że skoro odpoczynek ma być krótki, to nie muszą rozpalać ognia. Była tak zmęczona, że już po chwili zapadła w niespokojny sen. Męczyły ją jakieś zwidy, majaki. Dwaj ubrani na czarno jeźdźcy, którzy chcieli ją wrzucić do ognia, zbrojni, którzy pragnęli posiekać ją na kawałki... Dlatego obudziła się z ulgą, chociaż na dworze wciąż było mroczno.

Mark leżał koło niej i oddychał miarowo.

Pomyślała, że jest jej przyjemnie ciepło w stopy, a potem zauważyła, że usadowił się na nich jej psiak. Uspokojona, znowu zasnęła, i tym razem sen był lepszy.

Mark obudził się i leżał niespokojny obok Sorai. Czuł zapach jej skóry. Mógł nawet dotknąć delikatnych włosków na jej szyi. Położył dłoń na jej boku, a ona przysunęła się do niego. Poczował, że ma erekcję, ale się nie poruszył. Pomyślał, że zapamięta te chwile do końca życia.

- Powiem ci coś - szepnął. Nieoczekiwanie skinęła głową.

- Powoli zapominał o tych strasznych wydarzeniach spod Acre.

Mija też ból po śmierci brata. A to wszystko dzięki tobie, Sorayo.

Leżała spokojnie, rozkoszując się tymi słowami. Przysunęła się bliżej Marka, by poczuć ciepło jego ciała. To były najwspanialsze



chwile w jej życiu. Chciała przeżyć je jak najlepiej i zapamiętać na zawsze.

Nagle w porannej ciszy dotarł do nich tętent koni.

- Jeźdźcy - szepnęła.

- Tak, przygotuj się do jazdy. Konie zatrzymały się przy ich chacie. Na szczęście Mark przezornie uwiązał wierzchowce po drugiej stronie budynku.

Wymknęli się tam teraz. Kątem oka dostrzegła czterech czy pięciu ludzi z obnażonymi mieczami, którzy szykowali się do wejścia do środka.

Siodłali konie, starając się robić to jak najciszej. Po chwili napastnicy wtargnęli z krzykiem do chaty.

- Uciekamy! - krzyknął Mark.

Przejechał specjalnie tuż obok koni napastników, żeby je spłoszyć, a potem pomknęli dalej na północ. Jechali niczym wicher, licząc na to, że tamci nie pozbierają się tak szybko. Soraya trzymała pieska za pazuchą, gdyż nie chciała go narażać na tak szaleńczy bieg.

W końcu zatrzymali się na polu kapusty. Warzywa miały zbrązowiałe od mrozu zewnętrzne liście, ale Mark zerwał dwie główki, obrał je z zepsutych liści, po czym podał jedną Sorai. Nie był to smaczny posiłek, ale przynajmniej nie musieli głodować. Ich konie były chyba bardziej zadowolone z takiej stawy.

Następnie przejechali już nieco wolniej przez gaje oliwne i las, złożony z sosen i olbrzymich cyprysów. Po paru godzinach jazdy byli bardzo zmęczeni i Mark zaczął się zastanawiać, czy nie powinien

pozwolić Sorai odpocząć. Ale ponieważ trzymali się z daleka od znanych szlaków, mogli się zatrzymać jedynie w szczerym polu. Mark uznał więc, że powinni jechać, dopóki starcza im sił. Na szczęście świeciło słońce i dzięki ładnej pogodzie udało im się dotrzeć w okolice Salzburga.

- Bogu niech będą dzięki - rzekł z ulgą Mark. - Dobrze, że mieliśmy słońce.

- Arabowie nie lubią słońca - powiedziała. - To ono zamienia ziemię w pustynię.

- Tak, ale nam daje ciepło i pogodę do podróży. Jak widzisz, wszystko może być i złe, i dobre.

Mark wskazał bielejące w słońcu wieże miasta.

Soraya patrzyła na nie, czując dziwną pustkę. Była zbyt zmęczona i zziębnięta, by się cieszyć. Pusty żołądek domagał się stawy. Rzadko mieli okazję zjeść porządny posiłek.

Chętnie wróciłyby teraz na pustynię. Miała już dosyć mrozu i śniegu oraz hulającego po górach wiatru. Ruszyli dalej i wkrótce dotarli do zabudowań malutkiej wioski, przy których snuli się jacyś ludzie. Nie odpowiadali oni jednak na ich pozdrowienia i nie pytali, czy są głodni. W Damaszku, Bagdadzie, a nawet w Jerozolimie w czasie oblężenia pierwsze słowa kierowane do podróżnych brzmiały: „Czy coś dzisiaj jedliście?”. Mimo swoich pięknych miast, Frankowie i Germanie byli prawdziwymi barbarzyńcami.

Soraya bała się tego, że znenawidzi również Szkocję. Będzie w niej przecież zupełnie obca. Nie znajdzie sobie miejsca w świecie

Marka. Starła się go sobie jakoś wyobrazić, było to jednak trudne. Mark mówił o Szkocji z miłością, ale z jego słów wniosowała, że jest to surowy i zimny kraj. Z całą pewnością nie przypominał tego, co zostawiła za sobą.

Zjechali nieco niżej i Soraya aż wstrzymała oddech.

- Och, Mark - szepnęła. - Tu jest tak pięknie.

- To ziemia Helwetów. Tak górzysta i mało gościnna, że nie interesują się nią moiżni tego świata.

W mieście było sporo domów i stajni. Nareszcie będą się mieli gdzie schronić. Niestety, został im jeszcze spory kawałek drogi, który biegł zboczem góry.

- Czy to znaczy, że jesteśmy tu bezpieczni?

- Przynajmniej przez jakiś czas.

Myślała tylko o tym, żeby napęlnić brzuch jedzeniem i usiąść koło ognia. Gdzieś z oddali dobiegło do nich wycie wilka i Soraya poczuła, jak ciarki przebiegają jej po plecach. Było w tym coś złowieszczonego i nawet Saquii zaskomlał za jej pazuchą. Paradoksalnie, miejsce, gdzie w końcu mogła odpocząć, wydawało jej się złowrogie, jakby właśnie tutaj czyhało na nich jakieś ukryte niebezpieczeństwo. Piękno i groza, pomyślała. Taka właśnie jest ta kraina Helwetów.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Mark był zadowolony, że nie przerwali podróży. I że Soraya wytrzymała szaleńczą jazdę. Zaczęli zjeżdżać jeszcze niżej i nagle usłyszała za sobą jakiś huk. Nie miała pojęcia, co to może być.

- Uciekajmy! - krzyknął Mark.

Soraya zobaczyła ścianę śniegu, która zbliżała się w ich stronę. Jej kucyk sam przyspieszył kroku, ale zachwiał się na nierównym podłożu. Udało mu się jednak umknąć w bok, za skałę. Śnieg przewalił się obok niej z wielkim hukiem. Spojrzała w dół i dostrzegła jakiś ciemny kształt, leżący pośród bieli.

- Mark! - krzyknęła.

- Ark...ark... - odpowiedziało jej echo.

Jego rumak przez chwilę mocował się ze śniegiem, ale w końcu wstał. Mark zaś wciąż spoczywał na białej, śnieżnej pokrywie. Soraya rzuciła się w jego stronę. Leżał z twarzą zwróconą do nieba i nienaturalnie podwiniętą jedną nogą. Zauważyła, że ma poszarzałą twarz i łzy napłynęły jej do oczu.

- Mark!

Zeskoczyła z kucyka i podbiegła do niego, brnąc w śniegu.. Pochyliła się nad nim i zaczęła masować jego policzki. Stęknął ciężko i po chwili otworzył oczy.

- Nie żyję, prawda?

Łzy Sorai zaczęły opadać na jego policzki.

- Żyjesz! Żyjesz! - zapewniała.

Na jego ustach pojawił się błogi uśmiech. Patrzył na nią trochę nieprzytomnie.

- Więc nie jesteś aniołem?

- Nie! - krzyknęła. - Anioły nie noszą turbanów i płaszczy na futrze! Obudź się!

- Szkoda - westchnął, a ona poczuła nagły przypływ gniewu.

- Zaraz wybiję ci z głowy anioły! No, wstawaj. Podniósł się na łokciu i ucałował ją mocno. Powoli zaczął

dochodzić do siebie. Miał wrażenie, że odbył długą podróż na drugą stronę życia i że z niej powrócił dzięki Sorai. Było to dziwne doświadczenie. Tym dziwniejsze, że w ogóle nie spodziewał się, iż coś może im grozić.

- Nie wydawaj mi rozkazów, Sorayo - powiedział.

Czuła, jak ciepło powoli wraca do jego policzków, które zaczynały nabierać normalnej barwy, i odetchnęła z ulgą.

- Nic ci się nie stało? - spytała.

- Chyba nie. - Zaczął się podnosić i po chwili jęknął. - Noga mnie trochę boli, ale nie jest złamana ani skrecona. Muszę tylko odpocząć.

Pomogła mu dotrzeć do jego wierzchowca i go dosiąść. Posuwali się jednak bardzo ostrożnie. W tej sytuacji nie mogli dojechać do miasta. Mark rzeczywiście musiał odpocząć. Dlatego odetchnęli z ulgą, gdy na ich drodze pojawiła się pusta, niemal całkowicie pokryta z jednej strony śniegiem szopa.

- Tu się zatrzymamy - zarządziła Soraya.

Wjechali konno do środka. Z prawdziwą radością stwierdziła, że szopa jest przytulna i leży w niej siano, na którym będą mogli się przespać. Soraya zabarykadowała drzwi, pamiętając o jeźdźcach, a następnie oboje rzucili się na siano i przykryli płaszcami. Byli tak wyczerpani, że niemal natychmiast zasnęli.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Następnego dnia dotarli do Salzburga, gdzie trochę odpoczęli, a ona przygotowała szarpie na nogę Marka. To był jedyny raz, kiedy pozwolili sobie na to, by odpocząć w gospodzie. Dalej jechali przez Innsbruck i Zurich, potem przez Besaneon i Auxerre, śpiąc w opuszczonych chatach i stajniach, czasami w lesie, a nawet w jaskini. Wystrzegali się zbrojnych, a także podróżnych, którzy nosili turbany i byli ubrani z arabska. Mogli to być Włosi, ale woleli nie ryzykować. Strzegli się też mnichów, bo wiedzieli, że zwykły habit jest najlepszym z możliwych przebraniem. Jedli to, co mogli i kiedy mogli, starając się oszczędzać pieniądze. Podróż nie była przyjemna, ale znacznie spokojniejsza od tych dni, które spędzili z Ryszardem. Rozumieli się bez słów. Oboje doskonale wiedzieli, co robić w obliczu najmniejszego nawet zagrożenia. Mark myślał, że najchętniej jechałby tak z Sorayą aż na kraj świata. Przyzwyczyił się do niej. Kiedy gdzieś odjeżdżała, brakowało mu jej, chociaż wiedział, że za chwilę się pojawi. Była jak powietrze, bez którego trudno byłoby żyć. Jak codzienna strawa...

Ominęli Paryż i dwa dni później wjechali do księstwa Andegawenów. W Alencon padał deszcz, a drogi były błotniste. Klnąc taką pogodę, dotarli w końcu do Normandii, ale w Bayeux było jeszcze gorzej. Deszcz padał niemal codziennie i przemoczył doszczętnie nie tylko turban Sorai, ale też jej płaszcz na futrze. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była sucha i tęsknie wspominała ziemię Helwetów. W tej

chwili nie przerażały jej nawet śnieżne lawiny. Błoto i ciągły deszcz wydawały jej się o wiele gorsze. Zwłaszcza że znacznie opóźniały ich podróż.

W niektórych miejscach błoto było tak głębokie, że musieli zsiadać z wierzchowców i brnąć z nimi ramię w ramię gościńcem.

Na drogach było pusto. Nie spotykali niemal nikogo, a ci, których widzieli, nie zwracali na nich uwagi. Wszyscy byli zbyt zmęczeni i przybici, by przejmować się innymi podróżnymi. Każdy troszczył się tylko o trochę stawy, a na noc o ciepłą izbę, w której można będzie wysuszyć ubranie.

W końcu dotarli do portu w Barfleur, gdzie co prawda deszcz ustał, ale powietrze było tak przesycone wilgocią, że nie mogli wyschnąć. Zatoka w kształcie księżycy wydawała się zimniejsza niż góry, a szare, niespokojne morze nie wyglądało tu zachęcająco. Soraya przypomniała sobie swoją morską chorobę i zaczynało jej się robić niedobrze na samą myśl, że miałyby popłynąć do Anglii. Jednak Mark zapewniał ją, że podróż jest naprawdę krótka i z bożą pomocą nie powinna poczuć jakichś większych dolegliwości.

Choć byli brudni i wyczerpani, musieli szybko znaleźć odpowiedni statek. Ich podróż trwała już cztery tygodnie i trzeba było się pospieszyć. Jednak znalezienie kogoś, kto chciałby płynąć w taką pogodę, było niezmiernie trudne.

- *Non* - powiedział kolejny kapitan, którego Mark zagadnął. - Nie w taką pogodę. Może za parę dni, jak się trochę uspokoi. Gdzie chcecie płynąć? Do Portsmouth?

- Gdziekolwiek, byle do Anglii - odparł Mark. - Wieziemy wiadomość dla królowej.

- Wy? *Mon Dieu*, nie wyglądacie na posłańców. Przypominacie raczej dwa przemoczone szczury, ty i ten twój chłopak. Dobry dowcip, mój panie.

Soraya bez słowa sięgnęła do podróźnej torby Marka. Szukała czegoś przez dłuższą chwilę, a potem podała mu niewielki przedmiot owinięty w biały jedwab.

- Temu chyba uwierzysz - mruknął Mark i rozwinął pieczęć, którą następnie wyciągnął w stronę kapitana - Widzisz, to prywatna pieczęć *Coeur de Leon*.

Kapitan oglądał przedmiot w nabożnym skupieniu.

- Ach, więc jesteś krzyżowcem, który towarzyszył Ryszardowi! Czy Święte Miasto jest już zdobyte?

Mark zignorował to pytanie.

- Służę Ryszardowi, który jest moim królem i twoim księciem. Czy zawieszysz mnie do królowej Eleonory?

Kapitan skinął gorliwie głową.

- Oczywiście. Zrobię wszystko dla księcia Ryszarda. Pochodzę z Akwitanii, *compris*?

Kapitan spojrzał na niespokojne morze i pokręcił głową. Miał zasepioną minę, a w jego szarych oczach czaiła się niechęć. Zbyt dobrze znał te wody, by decydować się teraz na podróż.

- Ale musimy trochę poczekać - dodał po chwili. - Inaczej wy nie dotrzecie do królowej, a ja już nigdy nie zobaczę mojej żony i



dzieci.

- Kiedy? - spytał Mark.

- Jak ustanie wiatr z północy - odparł kapitan. - Zaryzykowałbym życie dla Ryszarda Plantageneta, ale muszę też myśleć o swoich ludziach i ich rodzinach. Mark skinął głową, a następnie zawinął pieczęć.

- Niech i tak będzie. Czy jest tutaj jakaś tawerna? Kapitan wskazał spory, piętrowy budynek z czerwonym dachem.

- Ta jest najbliższa.

Och, nareszcie będę spać w łóżu, pomyślała Soraya. Po długich dniach w podróży i nocach spędzanych byle gdzie bolały ją już kości. Wczoraj na przykład spali w opuszczonej zagrodzie. Teraz nareszcie będzie mogła wygrzać się przy palenisku i wysuszyć swoje rzeczy.

Na podwórzu przed tawerną przywitał ich ośmioletni na oko chłopiec. Wziął ich konie do stajni i obiecał je nakarmić i wyczyścić. Weszli do ciepłego wnętrza i Soraya natychmiast przysiadła na ławie przy palenisku, czekając, aż Mark zajmie się formalnościami. W kominku palił się ogień, a z kuchni dobiegał zapach pieczonego mięsa. Poczwała, że ślinka cieknie jej do ust.

Mark chyba też uznał, że najpierw powinni zjeść. Dał więc znak dziewczynie, która posługiwała przy barze, żeby przyniosła im dwa kufle piwa. Służąca przyniosła po chwili wypełnione po brzegi drewniane naczynia, a także chleb, twarde ser i talerz gorących kiełbasek

- Muszę powiedzieć, że nigdy nie jadłam niczego równie dobrego - powiedziała Soraya z pełnymi ustami.

Byli tak wygłodzeni, że rzucili się na jedzenie i po paru minutach zmiotli wszystko, co mieli na talerzach. Następnie zajęli się cierpkim piwem, które nadzwyczajnie im smakowało.

Dopiero kiedy najedli się i napili, Mark spytał posługaczkę o nocleg.

- *Oui, monsieur*, mamy łóżka - odparła. - Ale musielibyście dzielić pokój z pięcioma innymi panami. Jeden z nich siedzi tu obok..Soraya spojrzała w tamtą stronę i oniemiała.

- Brat Andreas! - szepnęła. - To jest brat Andreas. Zasłania twarz, ale i tak go poznaję!

Zresztą po chwili musiał odsłonić twarz, by zająć się kawałkiem pieczystego, które przed nim postawiono, a wówczas Mark też go poznał. Soraya z żalem zaczęła się żegnać z ciepłym łóżkiem.

- Co robimy? - spytała.

Mark westchnął ciężko i sięgnął do torby.

- Musimy się wyspać - powiedział, a następnie zwrócił się do dziewczyny: - Potrzebujemy oddzielnego pokoju. Spodziewam się wizyty pewnej damy... - z tymi słowami wsunął jej w dłoń złotą monetę.

Na ustach dziewczyny pojawił się uśmiech.

- Ależ oczywiście. Pójdziecie, panie, schodami, które są na zewnątrz, aż do izby na końcu korytarza.

Starając się trzymać tyłem do brata Andreasa, wyszli z tawerny i

weszli na wskazane schody.

Przed wyjściem Mark zerknął jeszcze na brata Andreasa, ale ten nie zwracał na nich uwagi. Mocował się ze swoim pieczystym.

Może wszystko będzie dobrze, pomyślał Mark. Rozglądał się dookoła, chcąc zapamiętać drogę ewentualnej ucieczki.

W końcu odnaleźli izbę i weszli do środka. Było w niej bardzo ciemno. Czekali chwilę, aż ich oczy przyzwyczają się do mroku. Mark wypatrzył na stole świecę i krzesiwo. Zapalił ją i rozejrzał się po wnętrzu. Na stoliku stała miska z brudną wodą, na łóżku leżało poplamione prześcieradło.

- O, ktoś przed chwilą opuścił to pomieszczenie - zauważył. -  
A może wynajmują je na godziny.

Soraya milczała. Było tu jedno łóżko, ale też dwa dodatkowe zwinięte sienniki. Mark zamknął drzwi i zastawił je stołem, a następnie wziął Sorayę za rękę.

- Jesteśmy bezpieczni - powiedział.

- Tak - rzekła. - Ale jeśli ten człowiek na dole to rzeczywiście brat Andreas, to znaleźliśmy się w pułapce.

- Jest jeszcze okno - zauważył Mark. - W razie czego będziemy mogli przez nie uciec.

Zadrzała, słysząc te słowa. Znajdowali się na piętrze, jakieś piętnaście stóp nad ziemią. Z dołu dobiegł do niej głośny śmiech i uderzenia drewnianych kufli o stół.

- Normanowie są nawet głośniejsi niż Austriacy - zauważyła.

- Ale ładniej pachną - rzekł z uśmiechem Mark.

- Nie powiedziałałabym - mruknęła i zaczęła rozwijać turban. -  
Jutro musimy pójść na rynek - dodała po chwili. - Ja też nie najlepiej  
pachnę, a moje ubranie jest w strzępach.

- Tak, ubranie - wymamrotał Mark. - Powinnaś mieć nowe.  
Poszukamy też balwierza, który zetnie ci włosy. Powinniśmy zadbać o  
swój wygląd.

Pomyślał, że będą musieli wybrać takie rzeczy, które lepiej będą  
skrywać piersi Sorai. I jej coraz bardziej krągłe biodra.

Z dołu dobiegł do nich kolejny wybuch wesołości. Soraya wzięła  
z łóżka prześcieradło, którym zamierzała się okryć, i zaczęła  
zdejmować swoje mokre ubrania.

Mark obrócił się w stronę okna.

- Powinniśmy spróbować się przespać - rzekł.

Chociaż nie będzie to łatwe, dodał w duchu. W izbie było bardzo  
ciepło. W kącie znajdował się nagrany przewód kominowy, który  
teraz zaczynał stygnąć.

Soraya wzięła dwa sienniki. Jeden ułożyła na łóżku, a drugi na  
podłodze. Owinięta w prześcieradło, ułożyła się na tym drugim, ale  
Mark nalegał, by zajęła łóżko.

- I tak nie wiadomo, czy zdołamy zasnąć - powiedziała, gdyż z  
dołu dobiegły do niej słowa nieprzyzwoitej piosenki.

- Ci Normanowie tańczą jak słonie, a śpiewają jak...

- Wielbłądy - dokończyła za niego.

Uśmiechnął się i ułożył swój mokry płaszcz kolo komina.

- Czy umiesz śpiewać, Mark? - spytała.

Zaśmiał się w odpowiedzi, a potem zaintonował cicho:

- Chodź moja miła na wrzosowiska, z dala od morza, z dala od gór...

- Nie znam tej piosenki.

- To szkocka pieśń. Mój ojciec, który był Francuzem, nauczył się jej, by móc ją śpiewać mojej matce.

Soraya poczuła, jak ścisnęło jej się gardło. A więc tę właśnie piosenkę ojciec Marka śpiewał swojej żonie. Poczowała, że ma w oczach łzy, i że bardzo jej czegoś żał. Pociągnęła nosem i odwróciła się do ściany.

- Śpiewam gorzej niż wielbłąd, co?

Potrząsnęła głową, a potem odwróciła się i rzuciła mu się wprost w ramiona.

- Nie, lepiej! Wszystko, co robisz, jest dobre. - Przytuliła się do niego, a on poczuł jej nagie pod prześcieradłem ciało. - Mark, co się ze mną stanie, kiedy dojedziemy do Szkocji?

Przytulił ją mocniej. Pragnął czuć ją blisko, jak najbliżej. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, że ich podróż niedługo się skończy, a wtedy... sam nie wiedział, co się stanie. Nie wiedział i nie chciał o tym myśleć!

- Nie mam pojęcia. Ale muszę tam wrócić. Szkocja to moja ojczyzna. Czeka tam na mnie moja matka...

Soraya uniosła głowę i przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Pamiętasz tę noc na statku z Jaffy? Kiedy chciałam cię zabić i nie mogłam...

- Tak, właśnie wtedy poczułem, że jesteś dla mnie kimś bliskim. Chociaż uważałem cię za chłopca... - Zaśmiał się. - Tak by było dużo prościej.

- Co będzie jutro?

- Nie myślmy o jutrze! Cieszymy się tym, co mamy dziś. Tylko to jest ważne.

Przytulili się do siebie tak, jakby świat miał się za chwilę skończyć. Soraya czuła, jak łzy płyną jej po policzkach. Po chwili z dołu dobiegły do nich kolejne okrzyki.

- Lepiej się ubiorę - powiedziała Soraya. - Kto wie, co może się zdarzyć dzisiejszej nocy. A i tak nie sądzę, by udało nam się zasnąć.

Nie chciała być przy nim naga i Mark to zrozumiał. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Piętro nie było wysokie, a dach sterczał bezpośrednio nad podwórzem. Można stąd było wyskoczyć w razie nagłej potrzeby.

- Już - powiedziała Soraya.

Jednocześnie usłyszeli ciężkie kroki na korytarzu. To nie była dziewczyna, która wskazała im drogę. Kroki zabrzmiały znacznie głośniejsze i cięższe. Po chwili ktoś załomotał do drzwi.

- Otwierać w imieniu króla! Popatrzyli na siebie wielkimi oczami.

- Jeśli coś mi się stanie, jedź do królowej Eleonory - powiedział szeptem Mark. - Będiesz tam bezpieczna.

- Mark! - Przytuliła się do niego.

- Im chodzi o mnie - mruknął, a następnie krzyknął w stronę

drzwi: - Jakiego króla?!

- Filipa, króla Francji! - odpowiedział po francusku intruz.

Soraya pobladła.

- Cofnij się za mnie - polecił jej Mark.

- Czego może chcieć król od rycerza wracającego z Ziemi świętej?

- Zaraz się dowiesz! Otwórz drzwi!

- Gotowa? - Soraya skinęła głową, a on odsunął stół od drzwi i powoli otworzył je mieczem. Czekał z rozstawionymi stopami, gotowy, by uderzyć.

Do środka wpadł niski mężczyzna, ubrany w błękit i złoto - kolory Francji. Za nim wszedł drugi, wyższy, ale ubrany podobnie. Ten niski zatrzymał się na widok obnażonego miecza, ale drugi wpadł na Marka i nadział się na ostrze. Mark cofnął broń, czując nacisk kolczugi. Tamten wypuścił miecz.

- Nie zabiję bezbronnego - rzekł Mark i kopnął miecz w stronę mężczyzny, który zdążył już się cofnąć. - Mówcie, o co wam chodzi?

- Chcę... - tamten rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok spoczął na chwilę na Sorai. - Gdzie jest król Ryszard?

- Nie wiem - odparł Mark. - Ale nawet gdybym wiedział, i tak niczego byście się ode mnie nie dowiedzieli.

- Chcesz chronić wroga Francji?

- Tak, gdyż jest moim panem.

Niższy mężczyzna uspokoił się i przesunął na bok. Wtedy wyższy ruszył z mieczem na Marka. On jednak był przygotowany.

Zrobił unik, a tamten poleciał aż na koniec izby.

Drugi z napastników schylił się po miecz. Nie spieszył się jednak, czując, że Mark go zaatakuje, gdy tylko odzyska broń. Z tyłu pokoju dobiegł do nich stłumiony dźwięk i Mark spojrzał z przerażeniem w tamtą stronę. Niższy z Francuzów rzucił się na niego, a Mark ciął go po szyi, aż trysnęła krew.

Następnie obrócił się w stronę wyższego przeciwnika. To, co zobaczył, sprawiło, że krew ścięła mu się w żyłach.

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

Francuz miał na głowie płaszcz Sorai i wymachiwał na oślep mieczem, a ona stała w kącie pokoju i starała się unikać ostrza, co nie było łatwe. W końcu nagłym ruchem ściągnęła płaszcz z głowy napastnika i zarzuciła go na miecz. Mężczyzna spojrzał na nią wściekle przekrwionymi oczami.

- Ty psie! - warknął.

Mark chciał go powstrzymać, ale on rzucił się na Sorayę, która nagłym ruchem wbiła sztylet z rubinem w jego brzuch. Francuz zamarł, a z ust pociekła mu krew.

Usłyszeli kroki na schodach.

Mark szybko zamknął drzwi, a następnie zastawił je łóżkiem, na które wrzucił jeszcze stół. W izbie znajdowała się także komoda, ale



była zbyt ciężka, by ruszyć ją z miejsca.

- Szybko, do okna - zawołał.

Następnie sam obrócił się w stronę drzwi, czekając na napastników. Zapora nie była mocna, ale mieli jeszcze parę minut. Soraya zaczęła niepewnie wylazić przez okno. Przeciwnicy byli chyba przygotowani na opór, bo mieli ze sobą taran. Po chwili drzwi roztrzaskały się pod jego uderzeniami. Na zewnątrz znajdowało się trzech, może czterech zbrojnych.

- Skacz - krzyknął.

- Nie mogę - jęknęła.

- Nie patrz w dół! Po prostu skacz!

- N... nie.

- Dlaczego, na miłość boską? Korytarzem nadbiegali kolejni Francuzi.

- Tam na dole jest brat Andreas.

Brat Andreas? Mają za sobą uzbrojoną tłumaczkę, a przed sobą brata Andreasa. Soraya w ogóle nie powinna się zastanawiać, co dalej robić.

Mark zaczął się wycofywać w stronę okna. Próbował walczyć, ale tłum pacholków coraz bardziej napierał.

- Nie przejmuj się nim - rzucił. - Skacz!

Usłyszał, jak Soraya wciągnęła głęboko powietrze, potem nieznaczny szelest i... nic. Ani odgłosu spadającego ciała, ani okrzyku bólu. Jednak Mark nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać, ponieważ w tej chwili natarło na niego dwóch Francuzów. Udało mu

się zranić pierwszego z nich, którego chwycił w pól i rzucił na drugiego. Obaj zwalili się na kolejnych nacierających.

Teraz albo nigdy, pomyślał.

Wyrzucił miecz przez okno i niewiele myśląc, sam za nim skoczył. Ześliznął się po krytym strzechą dachu i spadł wprost na krzaki, które zamortyzowały upadek. Na szczęście Soraya zdołała się już z nich wygrzebać. Stała obok i patrzyła na coś rozszerzonymi oczami.

Mark dopiero po chwili dostrzegł brata Andreasa, który trzymał jego miecz. Nie pomyślał o tym wcześniej, a teraz był; zupełnie bezbronny.

- Szybko - rzucił brat Andreas. - Chodźcie tędy. Patrzyli na niego przez chwilę. Jego gładka twarz zastygła w wyrazie niepokoju. Mają z nim iść? Ale gdzie?

- *Vite! Vite!* - zaczął ich poganiać mnich.

Mark stanął przed Sorayą, gotowy przyjąć na siebie pierwszy cios. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie i tylko patrzyli. Korzystając z okazji, Soraya podkradła się od tyłu do brata Andreasa i skoczywszy na niego, zasłoniła mu oczy. Strząsnął ją z pleców niczym rozgniewany niedźwiedź. Upadła na ziemię i zobaczyła, że brat Andreas unosi miecz. Zamknęła oczy, nie chcąc oglądać śmierci Marka.

Jednak uderzenie nie nastąpiło. Wokół panowała cisza i Soraya ostrożnie otworzyła jedno oko. Brat Andreas podał miecz Markowi i pokazał gestem, by szli za nim.

Kiedy skręcili za róg tawerny, ku swemu zdumieniu ujrzeli *swoje*

osiodłane wierzchowce. Wściekli słudzy króla zbiegali właśnie po zewnętrznych schodach.

Mark włożył miecz do pochwy, a Soraya skoczyła na kucyka. Po chwili oboje ruszyli przed siebie i raz jeszcze zdziwili się, że brama na podwórzec tawerny stała otworem. Kiedy Soraya obejrzała się za siebie, dostrzegła brata Andreasa, który patrzył na nich z zadowoloną miną. Był spokojny, niemal radosny. Za nim widać już było rozgniewanych Francuzów.

Po chwili mnich upadł i widziała jeszcze, że leży bez ruchu.

Czekali dwa dni, ukryci w zimnym młynie, który stał kilkadziesiąt metrów od zatoki. Trzeciego dnia, w niedzielę, sądząc po dźwiękach dzwonów wzywających wiernych na mszę, roz pogodziło się i morze stało się spokojniejsze, chociaż wciąż przebiegały przez nie spore fale. Dopiero wtedy zdecydowali się wyjść z kryjówki. Kapitan „Robin Joyeux” szykował się właśnie do podniesienia żagli, gdy pojawili się przy jego statku. Szybko więc wprowadzili konie po trapie na pokład.

Kiedy dali mu złotą monetę, przyglądał się jej przez jakiś czas, a potem powiedział:

- *Bien*, możemy płynąć.

Soraya poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. Zsiadła szybko z kucyka i spojrzała w stronę portu. Dostrzegła tam jedynie obnośnego sprzedawcę z wielką, drewnianą tacą, którą niósł na rzemiennych pasach. Wcisnęła więc wodze Markowi w dłoń i pobiegła do przekupnia. Wciąż miała jedną złotą monetę i kilka srebrnych, które

jej zostały po sprzedaży królewskiego konia.

Kupiła tylko garść suszonego imbiru. Sprzedawca spojrział na nią ze zdziwieniem.

- To wszystko, chłopcze? Nie chcesz nic więcej? - spytał w jej języku.

- To wszystko - odparła. - *Shukren*.

- Więc z Bogiem.

- I niech twoja rodzina rozmnaża się i rośnie w siłę. Kiedy wróciła na pokład, Mark wbił w nią wzrok.

- Co znowu ukradłaś? - spytał.

- Niczego nie ukradłam. - Pokazała mu imbir. To na *mal de mer*.

- Więc jednak tego nie pożyczyłaś? Tracisz wprawę.

- Nie przejmuj się mną, jakoś sobie poradzę. - Nagle urwała. - Ten sprzedawca... On zwrócił się do mnie po arabsku.

- Ach tak! - zaśmiał się Mark. - Nie chciałaś okraść współplemieńca!

Soraya potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz? Mówił ze mną po arabsku. Skąd wiedział, że to właściwy język?

- Czy to znaczy, że może być szpiegiem? - Spojrzął za oddalającym się sprzedawcą. - A może po prostu jest Arabem i zaczyna rozmowę w tym języku...Mark nie przejął się zbytnio tym zdarzeniem, poprosili jednak kapitana, żeby odpłynął z zatoki jak najszybciej, co zresztą nie było konieczne, bo i tak chciał to zrobić.

Soraya spędziła następną godzinę, wymiotując przy burcie. Dopiero później zrobiła sobie napar z imbiru i z nadzieją, że uda jej się utrzymać go w żołądku, czekała na jego dobroczynne skutki.

Morze wciąż było wzburzone, chociaż nie tak mocno, jak w ciągu ostatnich trzech dni. Kiedy poczuła się lepiej, usiadła przy burcie, by osłonić się przed wiatrem. Nie była to miła podróż, ale przynajmniej czuła się lepiej.

W końcu po trzynastu godzinach dopłynęli do Portsmouth. Soraya wciąż nie czuła się dobrze.

- *Pauvre petit* - zafrasował się na jej widok kapitan. - Czy będzie mógł sam zejść na ląd?

Mark skinął głową i wziął Sorayę pod ramię.

- Myślę, że to właśnie robi najchętniej - stwierdził. Soraya nigdy nie przypuszczała, że z taką radością powita angielską ziemię. Teraz jednak z prawdziwą przyjemnością postawiła na niej stopę. Miała wrażenie, że wszystko tu jest zielone: zielone drzewa, zielone wzgórza, nawet zielone kwiaty.

- To nie kwiaty - zaśmiał się Mark, kiedy mu o tym powiedziała. - To pomalowane na zielono drogowskazy.

Zatrzymał się na pierwszym dużym skrzyżowaniu, by odczytać to, co było napisane na „kwiatku”.

- Winchester.

- Mamy przed sobą pół dnia drogi - stwierdził Mark. - Powinniśmy dotrzeć na dwór królowej Eleonory przed kolacją.

Dwór królowej Eleonory. Po raz pierwszy od dwóch tygodni

Soraya poczuła ukłucie w sercu. Królowa Anglii pomyśli pewnie, że jest zwykłym służącym. Albo też niewolnikiem.

## *Rozdział dwudziesty piąty*

Jechali ostrożnie. Mark posuwał się przed nią niczym cień, za którym musiała nadażyć. Droga była szeroka i kamienista. Nad nimi wisiał cienki sierp księżyca.

Widziała podobne drogi we Francji, jak również w Austrii. Zapewne były pozostałością po Imperium Rzymskim, tak jak niektóre drogi w Syrii. Wszędzie tam, gdzie dotarli Rzymianie, powstawała taka właśnie sieć dróg, po to, by mogli się po nich przemieszczać żołnierze wraz z wozami.

Osobiście wolała wąskie i kręte drogi Damaszku i Konstantynopola oraz innych miast Bizancjum. Zastanawiała się, czy zobaczy jeszcze potężne kościoły i piękne, zdobione mozaiką meczety. Wciąż tęskniła za swoją słoneczną ojczyzną.

Powoli jednak zaczynała się zastanawiać, gdzie jest jej prawdziwa ojczyzna. I kim w ogóle jest? Czy wciąż adoptowaną siostrzenicą Khalila i szpiegiem Saladyna? Nie sądziła, by jego władza rozciągała się aż na te zielone tereny. Saladyn nigdy nie interesował się barbarzyńcami i ich ziemiami.

Kim więc jest? Spojrzała niechętnie na swoją postrzępioną

koszulę i piękne niegdyś spodnie z najlepszego lnu. Wyglądała niczym sierota. Wcale nie przypominała kobiety, a prawdę mówiąc, w coraz mniejszym stopniu człowieka.

W dodatku w Szkocji czekała na Marka jego narzeczona.

Droga skręciła ku zachodowi i biegła wzdłuż rzeki. Jej wody lśniły srebrem w świetle księżyca, a w ich głębi widać było zielone cienie. Jakiś wielki pstrąg rzucił się z pluskiem. Otaczały ich wielkie drzewa o okrągłych koronach. Nie było tu gajów oliwnych, a roślinność wyglądała na bardzo gęstą. Spojrzała w stronę krzaków. Czy to możliwe, że ktoś ich śledzi?

- Mark? - szepnęła.

Zatrzymał się i spojrzał w jej stronę.

- To już niedaleko - powiedział. - Zaledwie parę mil. Wkrótce będziemy mogli odpocząć.

- I coś zjeść - dodała.

- Bez wątplenia. Królowa jest hojna dla sług Ryszarda.

Królowa. Nigdy wcześniej nie widziała królowej. W Bizancjum wielmoże żenili się z kobietami z ludu, jeden z nich poślubił nawet kurtyzanę, podobno bardzo piękną. Żony Saladyna rzadko pokazywały się publicznie. Nikt poza pałacem nie znał nawet imienia jego faworyty.

Czuła coraz bardziej przygniatający ją ciężar. Jaka jest królowa Eleonora Akwitańska? I jak potraktuje obcego obdartusa?

Nagły dreszcz przeszył jej ciało. Bała się tego, co miało nastąpić. Nie miała pojęcia, jak poradzi sobie w nowej sytuacji.

- Nie ociągaj się, Sorayo. Jedź tuż za mną.

Posłuchała go bez protestów. Chciała być jak najbliżej Marka. Był jedyną osobą, jaką знаła na tej obcej ziemi. Wiedziała też, że nigdy nie zechce go opuścić.

Olbrzymi zamek Winchester zbudowano z szarego kamienia. Górne okna lśniły setkami świateł, jakby jego mieszkańcy cierpieli na nadmiar świec i drewna do kominków. Serce Sorai zabiło szybciej na myśl o ciepłe, które tam ją czekało.

Dostępu do zamku bronił ostrokół, a także wypełniona zamuloną wodą fosa. Przejechali wolno po moście do zachodniej bramy, gdzie Mark zażądał, by ich wpuszczono do środka. W końcu podniesiono kratę i mogli przejechać dalej, chociaż strażnicy przypatrywali im się podejrzliwie. Zmarznięta i przerażona Soraya starała się nie zwracać na nich uwagi.

Kiedy znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu, chłopiec stajenny zabrał ich konie i poprowadził je do stajni. Po chwili pojawił się rozespany paż w wygniecionej, zielonej koszuli, który wskazał im drogę do wielkiej sali.

Soraya zatrzymała się i otworzyła z podziwu usta. Sufit wznosił się wysoko nad głową, na dwóch paleniskach płonęły wielkie bale. Na ścianach wisiały gobeliny i dywany o bogatych wzorach. Pod potrójnym oknem umieszczono duży stół.

Strażnik wystawił halabardę, broniąc im dalszego dostępu.

- Muszę mówić z królową - oznajmił Mark.

Postawny mężczyzna spojrzał na jego zniszczony strój. Nie



skomentował jednak tego, co zobaczył.

- Najjaśniejsza pani udała się na spoczynek. Kim jesteś, że żądasz audiencji?

- Jestem Mark de Valery.

- A, ten Szkot. - Mężczyzna uniósł halabardę i znowu spojrzął z pogardą na jego lichy przyodziewek. - Mogłem się domyślić.

Soraya aż się skurczyła. Doskonale wiedziała, że wygląda jeszcze gorzej. Nawet jej płaszcz na futrze się zniszczył, twarz i ręce miała brudne, a turban był w strzępach. Prawdę mówiąc najchętniej zawinęłaby go tak, by ukryć się przed okiem strażnika, który jednak nie zwracał na nią uwagi.

- Czuć od ciebie stęchlizną, de Valery. Może chciałbyś się umyć, zanim...

- Przynoszę najjaśniejszej pani bardzo ważne wieści. To sprawa życia i śmierci.

- Tak, zapewne, jednak...

- Zaprowadź mnie, panie, do królowej. - Mark przerwał mu ponownie. - Mam wiadomości o królu Ryszardzie!

Mężczyzna pobladł i natychmiast obrócił się na pięcie.

- Zaczekajcie tu chwilę - rzucił przez ramię.

Czekali. Soraya czuła, że zaczynają jej się pocić dłonie. Rozejrzała się po pustej sali, po czym wytarła je w koszulę.

Po paru minutach dobiegł do nich szelest, a potem usłyszeli słowa: „Od króla? Jakiego króla? Tego nicponia Filipa czy mojego syna Jana, który uważa się za władcę?”.

Po chwili przed Markiem pojawiła się wysoka kobieca postać. Królowa miała na sobie suknię z czerwonego aksamitu z długimi, lamowanymi złotem rękawami i złotym paskiem. Wielka Eleonora patrzyła na nich ciekawie, ale z jej spokojnej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

Mark przyklęknął na jedno kolano i pochylił głowę w pełnym pokory geście.

- Chodzi o Ryszarda Plantageneta - odparł.

Oczy królowej rozszerzyły się na chwilę, ale zachowała swój monumentalny spokój.

- Mój syn prowadzi wyprawę krzyżową w Jerozolimie. Mark powstał na dany znak.

- Nie, najjaśniejsza pani. Zaniepokoiły go wieści, które dotarły z Anglii, i zdecydował się na powrót. Schwymano go pod Wiedniem. Eleonora nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na Sorayę.

- Powinieneś nauczyć swego pafia dobrych manier, de Valery - powiedziała, a następnie zwróciła się do Sorai: - Przed królową się klęczy, chłopcze.

Soraya natychmiast uklęknęła i spuściła głowę, ale wcześniej zdołała spojrzeć na twarz Eleonory. Dostrzegła na niej niepokój. Królowa uciekła się do wybiegu, by ukryć swoje uczucia. Była bardzo sprytna i miała oczy niczym jastrząb. Nic nie mogło ujść ich uwagi.

W końcu była królową Anglii. Władza i majestat wprost od niej emanowały. Soraya czuła, że ciągnie ją do niej niczym ćmę do świecy. Sama nie wiedziała, dlaczego polubiła Eleonorę.

- Jest coś jeszcze, najjaśniejsza pani - dodał cicho Mark.
- Co takiego? - spytała. - Czy byłś przy tym, jak pojmano mego syna?
- Tak, pani. Napadło na nas pięciu niemieckich rycerzy.
- Włożyłam mu fartuch, by udawał kucharza - dodała Soraya.
- Ale...
- Kucharza?! - Królowa spojrzała na nią, a potem zasłoniła twarz rękami.

Eleonora zaczęła się trząść. Ze śmiechu. Po chwili nie potrafiła już tego ukryć i chwyciła się rękami za brzuch.

- Mój syn kucharzem! Cóż za oryginalny pomysł! - Zaczęła wycierać chustką mokre policzki. - No dobrze, powiedzcie co kazał mi przekazać.

- Prosi cię, pani, abyś przygotowała okup...

Eleonora spojrzała na niego swoimi chłodnymi, niebieskimi oczami.

- Niech więc będzie - rzekła zimno. - Niech Bóg pokaże księcia Austrii. Leopold będzie mi jeszcze musiał za to zapłacić.

Skinęła niecierpliwie na wciąż klęczącą Sorayę.

- Wstań, chłopcze. Mamy teraz wiele do...

Soraya podniosła się z klęczek, a królowa spojrzała na nią i urwała w pół zdania. Przyglądała się jej ciekawie przez parę sekund.

- No cóż... - Eleonora zerknęła na Marka, a potem znowu wbiła wzrok w Sorayę. Obejrzała ją sobie dokładnie od stóp do głów.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Na jej twarzy pojawił się

uśmiech, a oczy zaślniły rozbawieniem. - Jak dobrze czasami mieć... zagadkę do rozwiązania i nie musieć myśleć o obowiązkach, które mnie czekają - dodała tajemniczo. - Bardzo lubię zagadki.

Przechyliła nieco głowę, a potem uniosła dłoń zdecydowanym gestem, dając znak mężczyźnie, który ich tu wpuścił, żeby się zbliżył.

- Williamie Marshal!

Wciąż jednak patrzyła na Sorayę, która pod tym spojrzeniem czuła się naga i bezbronna. Jakby królowa poznała jej wielki sekret. Ale czy było to możliwe?

Krzepki mężczyzna podszedł do królowej i na chwilę zapadła cisza. Słysząc było trzask ognia w kominku i jakieś głosy, dobiegające z przylegających komnat. Królowa oddaliła się nieco z Williamem Marshalem i zaczęła z nim rozmawiać. Soraya usłyszała, że wymieniła imię Leopolda, a potem mówiła coś o okupie. Następnie powiedziała nieco głośniej:

- A poza tym masz zadbać o tego rycerza i... jego służącego.

Nakarm ich i przygotuj miejsce spoczynku.

William Marshal skinął solennie głową:

- Tak, najjaśniejsza pani.

- Jutro zadbamy o to, byście się porządnie wykapali i dostali świeże ubrania.

Mark był już bardzo zmęczony, ale teraz skinął z wdzięcznością głową.

- Dziękuję, pani. To bardzo hojnie ze strony Waszej Królewskiej Mości.

- Bzdura. Jutro mamy ucztę z okazji święta Trzech Król Nie zniósłabym przy stole tak... zaniedbanych biesiadników

- zakończyła z błyskiem w oczach.

Soraya nie mogła powstrzymać chichotu.

- Jak się nazywasz, mój chłopcze?

- Soray, najjaśniejsza pani. Królowa wydeła wargi.

- Dobrze więc, Sorayu. Poślę po ciebie jutro zaraz po śniadaniu.

- Eleonora odwróciła się i wyszła z sali.

Mark i Soraya skłonili się jej głęboko, a następnie spojrzeli po sobie. William Marshal przydzielił im pazia, który zaprowadzi ich do cieplej komnaty, gdzie dostali kolację złożoną z zimnego mięsiwa i ciepłego, aromatyzowanego wina. Następnie poczuli się tak zmęczeni, że zwalili się na stojące tam wielkie łóżce.

- Czego Eleonora może ode mnie chcieć? - spytała.

- Nie wiem - odparł Mark na pół sennie. Przysunął się do niej i objął ją w pasie. - Nie myśl już o tym. Śpij.

- Być może chce mnie nauczyć dobrych manier? - zastanawiała się głośno Soraya. - Tak, żebym nie przyniosła jej wstydu w czasie uczy. To musi być jakieś ważne wydarzenie...

- Możliwe - rzekł Mark, po czym ziewnął. - Musisz pamiętać, żeby niczego tutaj nie pożyczać.

- I nie robić zapasów?

- Wła... aśnie.

Soraya chciała, by mógł być z niej dumny. Mimo to nie potrafiła zapomnieć niezwykłego wyrazu twarzy królowej. Tego błysku w jej

oku, gdy na nią patrzyła. Dziwnego uśmiechu. I tej uwagi na temat zagadek.

## *Rozdział dwudziesty szósty*

- Chodź tutaj, drogie dziecko - powiedziała królowa i skinęła swoją wytworną, małą dłonią. - Przyjechałeś tu z Jerozolimy, co wymagało dużo odwagi. Dlaczego teraz boisz się zwykłej kąpieli?

Soraya spojrzała na królową Eleonorę. Wyglądała pięknie w sukni z błękitnego adamaszku, który wydawał się niemal tak chłodny, jak jej niebieskie oczy. Jednak królowa wcale nie sprawiała wrażenia zimnej. Chyba raczej rozbawionej, chociaż Sorai wydawało się też, że jest do niej przyjaźnie nastawiona. Tylko czy na pewno?

- Zapewniam Waszą Królewską Mość, że kąpiel czasami też wymaga odwagi. Stanie się to jasne, kiedy w końcu się do niej rozbiorę.

- Wobec tego, do dzieła - rzekła królowa z nietajoną przyjemnością. - Spróbuj mnie zaskoczyć.

Soraya uciekała wzrokiem gdzieś w bok. Starła się nie patrzeć na monarchinię. W izbie kąpielowej było bardzo jasno, co tym bardziej pogłębiało jej zażenowanie. Poza tym dominowała tu czerwień i złoto: barwy Plantagenetów. Lwy na chorągwiach przypominały jej Ryszarda z grzywą jasnorudych włosów, który tak łatwo wpadał w gniew.

Domyślała się, że to cecha rodzinna i spodziewała się, że Eleonora też lada moment wybuchnie gniewem.

Odwinęła turban i rozpięła marszczone spodnie. Zdjęła je, ale koszula zakrywała jej uda. Rozpięła ją powoli, ukazując opaskę, która ścisnęła jej piersi.

- Ojej! - pisnęła jedna z panien kąpielowych.

- Cicho tam, Magrit - burknęła królowa.

Soraya odwinęła szarfę, a następnie zasłoniła nagie piersi. Magrit znowu pisnęła i zakryła usta.

Na twarzy Eleonory pojawił się uśmiech. Przez chwilę patrzyła na Sorayę z przyjemnością, a następnie wskazała miedzianą balię.

Soraya spojrzała na gorącą wodę, a potem ponownie na królową. Czy Eleonora nie była zaskoczona tą nagłą zmianą płci? Nie, nie wyglądała nawet na lekko zdziwioną. Jej uśmiech stał się szerszy, jakby właśnie tego się spodziewała. W oczach znowu zaśniły wesołe iskierki.

Soraya uniosła nogę i włożyła ją do balii. Po raz pierwszy od miesięcy poczuła ciepłą, nawet bardzo ciepłą wodę i westchnęła z przyjemnością. Zaraz też weszła do balii i usiadła w niej, rozkoszując się kąpielą. To było naprawdę przyjemne. Nawet nie pamiętała, kiedy się ostatnio kąpała. Za dużo przeżyli razem z Markiem w ciągu ostatnich miesięcy. Bez przerwy coś się działo i nie mieli czasu myśleć o czystości czy w ogóle o przyjemnościach. Teraz jednak zrozumiała, jak bardzo potrzebowała kąpieli.

Nagle poczuła, że ktoś wylewa kubel wody wprost na jej głowę.

- Hej, Magrit, Bette, nie utopcie mi jej tylko - poleciła królowa. Obie panny kąpielowe połały ją jeszcze wodą, a następnie zaczęły stopniowo namydlać. Soraya poddawała się tym zabiegom z prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza że mydło było perfumowane i powoli usuwało z niej wielotygodniowy brud. Nareszcie poczuła się lepiej i przestała się zastanawiać, dlaczego królowa nie zdziwiła się jej nagłą przemianą. Było jej wszystko jedno. Prawdę mówiąc, wołała wreszcie poczuć się kobietą. Zbyt długo ukrywała się w męskim przebraniu.

Być może Anglicy nie byli takimi barbarzyńcami, jak jej się wydawało. A w każdym razie mniejszymi niż Frankowie. A już z pewnością ich królowa doceniała wagę zabiegów pielęgnacyjnych, ponieważ kazała najpierw umyć Sorai głowę, a następnie natrzeć jej ciało szorstką gąbką, aż stało się jędrne i różowe.

Zresztą sama królowa dbała o swoją urodę. Wyglądała bardzo pięknie i Soraya myślała, że Khalil z pewnością doceniłby zarówno jej umysł, jak i cielesną powłokę.

W końcu umyto ją do czysta, a następnie opłukano wodą o zapachu pomarańczy. Soraya wyszła z kąpeli naprawdę odświeżona, a panny kąpielowe wytarły ją wielkim białym prześcieradłem. Jednak po chwili znowu stała naga przed królową.

- Bette, duża skrzynia - powiedziała Eleonora. Musiały przyciągnąć tę skrzynię z sąsiedniego pokoju we

dwie. Bette była okrągła, z dołkami na policzkach, a Magrit chudsza i wyraźnie starsza. Postawiły ją koło lustra i podniosły wieko.

- A teraz muszę się zastanowić - rzekła królowa. -



Najjaśniejsza pani... - odezwała się niepewnie Soraya -

czy... czy nie jesteś zaskoczona tym, że służący de Valery'ego jest... kobietą?

Królowa skierowała na nią swój bystry wzrok i po chwili wybuchnęła śmiechem.

- Służący de Valery'ego? Nie jestem ślepa, moje dziecko. Poza tym lubię sprytne dziewczyny. Czy sądzisz, że nie potrafię mimo przebrania rozpoznać czyjejś płci? - Królowa nie czekała na odpowiedź. - Kim więc jesteś, skoro nie służącym, a tym bardziej nie służącą?

- Nazywam się Soraya al-Din. Wychowałam się w Damaszku, chociaż moi rodzice byli biali. Mieszkałam i uczyłam się w haremie sułtana, ale pozwolono mi pozostać chrześcijanką greckiego obrządku.

- Czy umiesz jeździć konno, Sorayo?

- Tak, najjaśniejsza pani.

- Okrakiem w spódnicy?

- Tak, najjaśniejsza pani. Chociaż do tej pory zwykle jeździłam w spodniach.

- To dobrze - mruknęła królowa. - Nie znoszę kobiet, które nie mogą zapanować nad rumakiem.

Magrit wyjęła ze skrzyni jasnoróżową suknię i przyłożyła ją do drżącego ciała Sorai.

- Okryjcie ją czymś - powiedziała Eleonora. - Nie widzicie, że jej zimno?

Młodsza służąca natychmiast narzuciła jej na ramiona

prześcieradło. Natomiast Magrit wyjęła ze skrzyni następną suknię, zrobioną z żółtego jedwabiu i bogato lamowaną.

- Za duża - stwierdziła królowa. - Widzicie przecież, jaka jest chuda. I te piersi! Cały czas trzymałaś je zawiązane, moja droga?

- Nie miałam wyboru, najjaśniejsza pani. Musiałam udawać chłopaka.

- Racja - rzekła z uznaniem Eleonora. Coś mi mówi, że się zaprzyjaźnimy, Sorayo z Damaszku. Potrzebuję tu kogoś młodszego. - Spojrzała na Magrit. - I bardziej inteligentnego.

- Zerknęła z kolei na Bette. Na polecenie królowej Bette zaczęła wyjmować ze skrzyni kolejne suknie: czerwone, żółte, fioletowe, niebieskie. Ostatnia z nich miała dziwny niebieski kolor.

- Ta szmaragdowa z jedwabiu będzie w sam raz - stwierdziła królowa.

Służąca przyłożyła ją do Sorai i Eleonora aż uśmiechnęła się na ten widok.

- Pięknie wyglądasz, moja droga. Być może powinnam cię adoptować. Mam tylko synów, w dodatku chciwych i kłótliwych.

Soraya milczała. Królowa oczywiście żartowała, ale chyba nie do końca. W jej oczach pojawiła się zaduma.

- Czy teraz, kiedy de Valery spełnił już swoją misję, pojedziesz z nim do Szkocji?

Soraya westchnęła ciężko, słysząc to pytanie. Sama się nad tym wcześniej zastanawiała i tak naprawdę nie wiedziała, co z nią będzie. Wiedziała, że nie może z nim jechać jako kobieta, zaś dalsze ukrywanie

swojej płci nie miało sensu. Wiedziała, że nigdy nie stanie się częścią świata Marka.

- Raczej nie, najjaśniejsza pani. Eleonora spojrzała na nią zaskoczona.

- Dlaczego nie?

Soraya wkładała suknię, a Bette jej przy tym pomagała.

Następnie służąca zaczęła zawiązywać ją z tyłu.

- Ponieważ sir Mark jest już zaręczony, najjaśniejsza' pani. Po powrocie ma się ożenić z Jehanne z Chambois.

- I dlatego chcesz z niego zrezygnować, moje dziecko? To nie byłoby zbyt mądre z twojej strony. Mój Boże, kiedy zakochałam się w Henryku, byłam już żoną Ludwika, króla Francji. Ale nie miało to żadnego znaczenia.

Królowa westchnęła i spojrzała gdzieś w bok. Powróciły do niej wspomnienia z młodości.

- Oczywiście, kiedy nasze dzieci wymknęły się spod kontroli, Henryk kazał mnie zamknąć. Byłam sama przez szesnaście długich lat. To był straszny okres w moim życiu...

Soraya popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Nie mogła zrozumieć, jak to się mogło stać.

- Dlaczego król Henryk zrobił coś tak potwornego? - spytała.

- Cóż, miłość i nienawiść są do siebie bardzo podobne. Henryk nigdy nie potrafił ich odróżnić... Był zbyt prostolinijny.

Soraya uniosła ramiona, by Magrit mogła poprawić kołnierz jej sukni. Tylko w haremie nosiła ubrania zrobione z równie wspaniałego

materiału. A było to już sześć lat temu. Później chodziła w przebraniu i musiała przyznać, że było jej przyjemnie móc znowu poczuć się kobietą.

- Ja jestem w innej sytuacji, najjaśniejsza pani. Sir Mark traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie. Zrobi to, co musi zrobić.

Eleonora spojrzała na nią chłodno.

- Chcesz powiedzieć, że Henryk tego nie zrobił? Król powinien dbać przede wszystkim o swoje królestwo. I tak też było.

- A dziedzic musi dbać o swoje ziemie. Ponieważ brat sir Marka nie żyje, on sam musi przejąć zarządzanie Rossmorven.

- To godne pochwały - królowa powiedziała to takim tonem, że Soraya nie mogła zgadnąć, czy mówi poważnie.

Przełknęła z trudem ślinę i spojrzała Eleonorze w oczy.

- Próbuję pogodzić się z tym, co... nieuniknione.

- Naprawdę nieuniknione? - królowa spytała takim tonem, jakby chciała się z nią drażnić. - Cóż, zobaczymy.

Głos Eleonory rozbrzmiewał w wielkiej sali, gdzie przy zastawionych stołach posadzono niemal setkę znamienitych gości i rycerzy wraz z damami, a także biskupów, hrabiów i książąt.

- Chciałam o coś poprosić wszystkich tu zebranych. Eleonora stała na schodach, górując nad wszystkimi. Miała na sobie płomiennoczerwoną suknię z wyhaftowanymi lwami Plantagenetów, a także skromną, złotą koronę na pięknie ułożonych włosach. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest prawdziwą władczynią. I że jej prośba powinna być dla zebranych rozkazem.

Królowa zeszła ze schodów, patrząc wprost przed siebie.

- Obchodzimy dziś wieczór Trzech Króli. Ponieważ tradycja nakazuje, by dawać tego wieczoru prezenty, proszę was o dwie rzeczy dla mego syna Ryszarda. Po pierwsze, o modlitwę, gdyż znalazł się w niemieckim więzieniu...

Cichy szmer przebiegł po sali.

- Król potrzebuje waszej modlitwy. Ale jeszcze bardziej potrzebuje waszego srebra, ponieważ musimy zapłacić okup, by mógł szczęśliwie wrócić do kraju. Niemcy zażądali stu tysięcy marek w srebrze.

Tym razem z ust zgromadzonych wyrwał się wściekły okrzyk. Trudno powiedzieć, czy bardziej chodziło im o wysokość tej kwoty, czy też o sam fakt uwięzienia króla. Mark musiał przyznać, że Eleonora jest bardzo sprytna. Weszła do sali jako ostatnia i od razu zrobiła na zebranych olbrzymie wrażenie.

Mark siedział przy głównym stole obok Williama Marshala, po prawej stronie królowej, a Soraya miała zająć miejsce tuż obok niego. Po chwili wniesiono do sali naczynie, które przypominało drewnianą balię. Zaraz też posypały się do niego srebrne monety, naszyjniki i kolie, a nawet noże do jedzenia ze srebrnymi rękojeściami.

- Dla Ryszarda - powtarzali biesiadnicy.

Nikt nie mógł odmówić wielkiej Eleonorze, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Mark wrzucił do naczynia ostatnią srebrną monetę, jaka mu została. Miał nadzieję, że Soraya nie odda sztyletu z rubinem, który nosiła u boku. Swoją drogą, zaczął się już o

nią niepokoić. Uczta się rozpoczęła, a jej jeszcze nie było. Mark sięgnął po kielich z winem i rozejrzał się po sali. Zaraz jednak omal nie zadławił się pierwszym łykiem.

Tuż za Eleonorą podążała najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. A przecież widywał ją codziennie, tyle że brudną i w męskim przebraniu... Teraz dopiero mógł docenić gładkość jej skóry i doskonałość figury, a także krągłość piersi. Nie miał pojęcia, że Soraya może się aż tak zmienić.

Jej jedwabna suknia sunęła bezszelestnie po podłodze, gdy szła w jego stronę. Mark poczuł bolesne ukłucie w sercu. Czy to naprawdę jego Soraya? Taka piękna i tak doskonała...

Królowa podeszła do swojego krzesła, ale nie usiadła, tylko dała znak, że pragnie mówić. W sali natychmiast zapanowała cisza.

- Chciałam wszystkim przedstawić nowo przybyłą damę - powiedziała. - Oto Soraya z Damaszku.

Soraya skłoniła się pięknie wszystkim zebranym, uśmiechnęła się i zajęła miejsce koło Marka. Miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł się do niej odezwać. Prawdę mówiąc, wciąż nie potrafił uwierzyć własnym oczom. Czy to możliwe, że to właśnie Soraya rozwinęła swe płatki i stała się tak cudownym kwiatem?

Mark podniósł kielich do ust i wypił parę łyków, chcąc jakoś dojść do siebie. Jednak wciąż miał wrażenie, że śni, i najchętniej przetarłby oczy.

Co się stało z Sorayą?

Pochylił się w jej stronę i poczuł zapach pomarańczy i cynamonu.

Jej ciemne, falujące włosy otaczały kobiecy owal twarzy.

- Więc to dlatego królowa cię wezwała - szepnął. - Chciała cię zamienić w *peixit*.

- W co?

- *W peixit*. Szkocką wróżkę albo czarodziejkę - odparł.

- Myślę, że królowa jest mistrzynią manipulacji - rzekła. -

Posłużyła się mną, by osłodzić jakoś konieczność zapłacenia okupu.

Mark spojrzał na nią uważnie.

- A czy to ci się spodobało? Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Przede wszystkim podoba mi się to, że znów mogę być kobietą.

Znowu poczuł jej słodki zapach. Tak, stała się kobietą, a w dodatku od razu najpiękniejszą, jaką można sobie było wyobrazić. To był prawdziwy cud! Pomyślał, że ta piękna kobieta jest, niestety, poza jego zasięgiem.

- A mnie jednak brakuje Soraya.

Ponownie się do niego uśmiechnęła, a on poczuł, że serce zabiło mu mocniej.

- Oczywiście żartujesz.

- Wcale nie żartuję.

Soraya wyglądała na rozbawioną.

- Wobec tego kłamiesz...

- Nie, nie kłamię. Lubiłem Soraya. Byliśmy sobie bardzo bliscy.

Znosiliśmy podobne niedogodności. Jedliśmy te same rzeczy i spaliśmy

w tym samym... - urwał nagle.

- Nie możemy już tego robić - szepnęła. - Nie jestem już twoim służącym. Prawdę mówiąc, sama nie wiem, kim jestem.

- Więc cię straciłem?

- Powiedzmy raczej, że musisz mnie zostawić.

Mark złapał jej dłoń.

- Nie mogę...

Kilku minstreli zagrało skoczną melodię. Po chwili na środku sali pojawili się pierwsi tancerze, którzy zaczęli pohukiwać i syczeć niczym gęsi. Rozpoczynała się huczna zabawa. Po chwili tańczący odezwali się zgodnym chórem:

- Niech będzie pozdrowiony Pan Karnawału, zacznijmy zabawę wesołą pomału. Przyszliśmy tu bez zaprosin, aby wieść wesołą głosić!

Paru gości skrzywiło się, słysząc kiepskie rymy, ale wszyscy zaczęli postukiwać kielichami w takt melodii. Grupa tancerzy wraz z minstrelami przeszła dookoła sali, kłaniając się na prawo i lewo. Goście szybko zapomnieli o tym, że przed chwilą pozbyli się znacznych sum i rzeczywiście zaczęli się bawić.

Na znak dany przez królową zaczęły się tańce. Całą salę ogarnął radosny gwar i tylko Soraya i Mark siedzieli sztywno obok siebie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Soraya pochyliła się w końcu w jego stronę.

- Więc co mamy robić? - spytała, starając się przekrzyczeć hałas.



Mark zacisnął zęby. Od dawna bał się tej chwili. Czuł się rozdarty, ale był pewien jednego - nie mógł już żyć bez Sorai.

- Nie chcę cię stracić. Nie wiem, co robić, ale na pewno cię tu nie zostawię.

Soraya westchnęła ciężko.

- A jeśli.

Nagle stanął przed nią jeden z minstreli i wyciągnął do niej lutnię. Cała sala zamilkła i wszyscy spojrzeli w jej stronę.

- Z rozkazu królowej zagra teraz Soraya z Damaszku - oznajmił.

Mark chciał go odsunąć.

- Daj spokój - mruknął - ona przecież nie umie grać... Jednak Soraya sięgnęła po lutnię.

- Myślisz, że mnie tego nie nauczono? Wydaje mi się, że potrafię cię jeszcze zaskoczyć...

Wstała, trzymając lutnię w nietypowy sposób. Kiedy uderzyła w struny, goście ponownie zamilkli. Grała i śpiewała po arabsku jakąś smutną melodię. Biesiadnicy szybko nauczyli się refrenu i śpiewali go razem z nią. Mark musiał przyznać, że ma naprawdę piękny głos i że melodia brzmi szczególnie urokliwie, ale też zupełnie inaczej niż to, do czego przywykł.

Patrzył na Sorayę z podziwem i czymś jeszcze. Kiedy dostrzegła jego wzrok, na chwilę urwała, ale zaraz pociągnęła melodię. Pieśń stała się jeszcze smutniejsza. Cieszyła się, że nikt z zebranych nie rozumie słów, które mówiły o miłości i wiecznym rozstaniu. Tylko Eleonora kiwała głową tak, jakby domyślała się, o czym śpiewa.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Soraya zwróciła lutnię minstrelów, który patrzył na nią oniemiały z zachwytu.

- Wspaniała pieśń, pani - powiedział.

Zerknęła na niego, by sprawdzić, czy sobie z niej nie żartuje, ale zaraz całą jej uwagę pochłonał mężczyzna, który stał w cieniu przy ścianie. Miał okrągłą i lśniącą niczym miedziak twarz. Spojrzał teraz na Sorayę, skinął jej głową, a następnie włożył skrzypce pod brodę.

Soraya zamarła. To był brat Andreas! A więc przeżył, Jedno oko miał sinofioletowe, ale poza tym wyglądał całkiem zdrowo. A myślała, że zginął w Barfleur, pomagając im w ucieczce.

Ale co robi tutaj, na dworze królowej? - myślała zaskoczona.

Zaczął jakąś skoczną melodię i Soraya domyśliła się, że to taniec. Skrzypek okrążył salę, grając coraz szybciej, aż w końcu na środku zaczęli się gromadzić goście, tworząc dwa roztańczone koła. Kobiety krążyły w środku, zwrócone twarzami na zewnątrz, a mężczyźni, patrząc na nie, przesuwali się po okręgu w drugą stronę.

- To *carole* - szepnął jej na ucho Mark. - Partnerzy poruszają się w przeciwnych kierunkach, aż do ponownego spotkania, i wtedy...

- Wtedy? - podjęła Soraya.

Większość par się wówczas całowała, ale Mark nie chciał jej tego zdradzić. Prawdę mówiąc, nie miał zamiaru z nią tańczyć, bo wiedział, że musieliby się rozstać na czas okrażenia.

- Czy widzisz brata Andreasa? - spytała.

- Tak, jest szpiegiem Eleonory.

Soraya spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Szpiegiem? Skąd to wiesz? Mark roześmiał się cicho.

- Wziąłem na spytki Williama Marshalla i w końcu musiał mi to powiedzieć. Marshal jest hrabią Pembroke i znanym rycerzem.

Wybaczył mi moje niegrzeczne pytania, chociaż równie dobrze mógł mnie zabić.

Być może hrabia powinien go zabić. Oszczędziłby mu w ten sposób mąk, które teraz przeżywał. Pragnął wziąć Sorayę w ramiona i ją całować, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Wiedział, że bez niej zginie. Uschnie niczym pozbawiona wody roślina. Spojrzał teraz na nią, chcąc wyczytać coś z jej twarzy. Czy ona czuła to samo?

Jej oblicze rozświetlał jakiś wewnętrzny płomień. Soraya bez przerwy czegoś dotykała, jej dłonie wędrowały od kołnierza sukni do kielicha i z powrotem. Miał wrażenie, że jest z jakiegoś powodu bardzo zdenerwowana. Nie mógł się jednak domyślić, co jej chodziło po głowie.

- To wszystko - zatoczyła ręką koło - wydaje mi się nierealne. Jakbym się jeszcze nie zbudziła z głębokiego snu.

Mark dotknął jej dłoni.

- Więc zanim się obudzisz, chodź zatańczyć ze mną *carole* – zaproponował.

Ich oczy się spotkały.

- Z przyjemnością - powiedziała.

Patrzyła na niego do chwili, kiedy stanęli w kole i unieśli dłonie, tak jak inni tancerze. Następnie zaczęli się od siebie oddalać, wiedząc, że w końcu się spotkają. W tym czasie partnerzy stawali przed innymi partnerkami. Ich dłonie łączyły się na chwilę, a potem przesuwali się dalej. Aż w końcu Mark znowu miał przed sobą Sorayę, która pochyliła się w jego stronę, cała sploniona. Poczuł, że drżą mu ręce.

- Sama nie wiem, jak wyrazić to, co czuję - szepnęła. Jej policzki spąsowiały jeszcze bardziej.

- A co... co czujesz?

- Lubię być blisko ciebie. Lubię, jak mnie dotykasz... Mark oddychał coraz szybciej.

- Na to musisz poczekać - rzekł.

Taniec się skończył i ruszyli do podcieni na tyłach sali. Mark chciał ją pocałować, ale wiedział, że nie uszłoby to uwagi zebranych. Zatrzymali się przy palenisku, niedaleko wyjścia. Po chwili minęło ich pięciu paziów niosących jadło: pieczone i bochny dobrze wypieczonego chleba.

- Jesteś głodna? - spytał Mark.

- Nie - odparła.

- Dziwne, prawda? Przecież przez ostatnie tygodnie głównie głodowaliśmy, a teraz nawet nie chce mi się patrzeć na jedzenie.

- Do rana zgłodniejemy - zapewniła z uśmiechem. - Napełnię swoje kieszenie... - urwała nagle. - Ojej, zapomniałam, że nie mam kieszeni, tylko małą torebkę na pasku.

Mark spojrzał na pasek, który otaczał jej wąską talię.

- Więc może pożyczymy coś z tej balii, w której zgromadzono dary na wykup Ryszarda.

Soraya pokręciła głową. Doskonale wiedziała, co jej przystoi. Doznała zbyt wielu łask od królowej, by teraz wystawiać na próbę jej cierpliwość i miłosierdzie.

- To byłoby poważne przestępstwo. Cała sztuka polega na tym, by zadowolić się małym.

Mark skinął głową, zaskoczony prawdą ukrytą w tych słowach. W jakiś dziwny sposób doskonale pasowały one do jego sytuacji.

- Zapewne masz rację.

Muzykanci zaczęli kolejną melodię. Tym razem dominowały w niej skrzypce i lutnia. Mark poprowadził Sorayę bez słowa na środek sali, a następnie położył dłonie na jej biodrach, tak jak robili to inni tancerze.

- Połóż mi dłonie na barkach - powiedział.

Czuł, że jej palce palą go przez cienki materiał koszuli. Nagle zakręciło mu się w głowie. Chciał więcej, znacznie więcej. Pragnął zostać z nią sam na sam, tak by mogli leć razem w łożu i cieszyć się swymi pieszczotami.

Spojrzał jej w oczy i wyczytał w nich to samo. pragnienie. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo są w sobie zakochani. Ich uczucie było tak silne, że aż się go przestraszył.

Trzymał dłonie na jej biodrach, a ona swoje na jego barkach. W tej chwili pragnęli jedynie połączyć się w namiętym uścisku, a jednak

nie mogli tego zrobić. Wszystko ich dzieliło, ale Mark gotów był pokonać przeszkody.

- Muszę jutro jechać do Szkocji - powiedział łamiącym się głosem.

- Tak, oczywiście. - Spuściła głowę.

- Wiem, że królowa zaproponowała ci, byś dołączyła do jej dwórek. To wielki zaszczyt.

- Nie zależy mi na zaszczytach.

- Jednak Eleonora chce, byś przy niej została, prawda? Soraya skinęła głową.

- Tak. Podobno poprawiam jej nastrój.

- Nie idź spać do komnat dwórek - szepnął. - Chcę spędzić z tobą dzisiejszą noc.

- Jesteś zbyt śmiały, Mark - powiedziała niemal pieszczotliwie.

- Wiem. Ale być może będzie to nasza jedyna wspólna noc.

Powinniśmy dobrze zapamiętać jej słodycz...

- Tak - szepnęła. - I oby jutro nigdy nie nadeszło. Zabawa trwała w najlepsze. Rozpoczęto pantomimę, po

której zaczęły się wybory Pana Karnawału. Wniesiono też królewskie ciasto. Mark nie zwracał jednak uwagi na wesołe okrzyki brata Andreasa, który został Panem Karnawału, ani piski Bette, którą wybrano jego Panią.

Widział tylko Sorayę poruszającą się z niewysłowioną gracją. Jakby na dany sygnał odsunęli się od siebie, a potem przeszli dalej w cień. Nikt już nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy byli zajęci zabawą i

patrzyli na brata Andreasa, który siedział teraz przy swojej królowej i rozdzielał kawałki nasączonego brandy ciasta. Wszyscy śmiali się z popisów zonglerów. Minstrele, jakby pogrążeni w transie, grali coraz głośniej.

Mark wyciągnął dłoń do Sorai i powiedział:

- Chodź.

Zaczęli się wspinać po schodach, a odgłosy zabawy powoli cichły. Oświetlali sobie drogę pochodnią, którą Mark zabrał z wielkiej sali. Nie napotkali ani służby, ani rycerzy.

Po chwili otoczyła ich całkowita cisza, która wydawała się magiczna. Słyszeli w niej swoje przyspieszone oddechy i bicie serc. Stanowiła obietnicę tego, co miało niebawem nastąpić. Wiedzieli, że oboje tego pragną i że być może zbyt długo czekali na tę chwilę. Uświadomili to sobie właśnie teraz, w obliczu rozstania, i dlatego nie chcieli już tracić ani chwili.

Na drugim piętrze Mark zatknął pochodnię i wziął Sorayę na rękę. Dalszą drogę znał niemal na pamięć. Jego komnata znajdowała się na samym końcu korytarza. Otworzył drzwi i wszedł w ciemność.

- Jest tu palenisko, ale nie rozpałilem ognia. Nie wiedziałem, że będziemy go potrzebować.

- I nie potrzebujemy. Jest mi ciepło przy tobie. Postawił ją na podłodze, a potem podszedł do drzwi i zamknął antabę. Po chwili klęknął przy palenisku.

- Co robisz? - spytała.

- Chcę rozpałić ogień - odparł. - Wystarczy go tylko skrzesać,

drewno już tu jest.

Kiedy płomienie zaczęły lizać ułożone w stożek bale, podszedł do Sorai i znów wziął ją w ramiona. Odnalazł jej usta i pocałował ją namiętnie całować. Oboje mieli wrażenie, że podłoga zakołysała się pod ich stopami.

Ogarnęło ich dziwne drżenie. Soraya chciała krzyknąć, tak bardzo pragnęła go w tej chwili. Przypomniały jej się wszystkie dni i... noce spędzone w towarzystwie Marka. Było ich tak wiele, ale wszystkie stanowiły zapowiedź tej jednej jedynej.

Mark uniósł jej głowę.

- Zdejmij suknię - powiedział.

Pomógł jej rozwiązać tasiemki. Owionęło ją zimne powietrze. Zadrżała, ale nie z zimna, tylko z tłumionej ekstazy. Poczwała jego palce na szyi, a potem niżej.

- Tak, tak. Nie przerywaj - prosiła.

Mark zdjął jeszcze jej delikatną spodnią koszulę i teraz stała przed nim zupełnie naga. Przesuwał rękami po jej ciele, a ona przywarła do niego, czując gwałtowną rozkosz, która wypełniła całe jej ciało. Mark wsunął palce głębiej między jej nogi.

Rozległ się dźwięk, który ją przeraził, a potem zdała sobie sprawę z tego, że ten jęk wydobył się z jej gardła. Mark miał nad nią jakąś magiczną władzę, a ona nie zamierzała się jej opierać.

- Sorayo! - szepnął, a potem pocałował jej pierś.

Oddychał coraz głośniejszym, a ona z trudem łapała powietrze niczym wyrzucona na piasek ryba.



Bez pytania rozwiązała jego koszulę i zdjęła ją przez głowę. Ich nagie ciała przylgnęły do siebie. Następnie ściągnęła jego pończochy i wyciągnęła dłoń, by poczuć jego członka.

Mark krzyknął z rozkoszy. Cieszyło ją to, że też ma władzę nad jego ciałem. Przesunęła dłoń, a Mark wciągnął głęboko powietrze. Zanim zdołała się zorientować, co się dzieje, Mark wziął ją na ręce i po chwili leżała już na jego łożu. Przeciągnęła się rozkosznie, czując pod sobą gładki jedwab. Następnie Mark rozsunął jej uda i pochylił się, by ją pocałować.

Krzyknęła raz, a potem znowu, gdy poczuła głębiej jego język. Rozsunęła nogi jeszcze mocniej, pragnąc, by ta pieśczoła trwała wiecznie.

Mark uniósł się i po chwili poczuła na sobie jego muskularne ciało. Nagle wstrząsnął ją ból, który szybko zamienił się w morze rozkoszy. Soraya zaczęła krzyczeć, a potem podniosła dłoń do ust, by je zasłonić.

Mark zaczął się w niej poruszać, a ona przyciągnęła go do siebie nogami. Płynęli razem najpierw wolno, a potem coraz szybciej i szybciej. Soraya nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. To było niezwykle doznanie. Zupełnie zapomniała, gdzie się znajduje. Myślała tylko o Marku i pragnęła, by pozostał w niej już na zawsze.

- Mark! - krzyknęła.

Nagły wybuch rozkoszy zupełnie ją zaskoczył. To było coś, co przerastało jej najśmielsze oczekiwania. Nie sądziła, że będzie mogła czegoś takiego doświadczyć.

Mark przyciągnął ją mocno do siebie.

- Kocham cię - szepnął. - Kocham cię, Sorayo.

A potem nagle opadł na pościel tuż obok. Soraya wiedziała, że się kochają. I że nigdy nie przestaną się kochać. W jej oczach pojawiły się łzy szczęścia.

- Ja też cię kocham, Mark. I zawsze będę twoja. Mark uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z góry.

- Nie wiem, co czeka nas w Szkocji. Wiem tylko, że chcę tam jechać z tobą, Sorayo. Ja też należę tylko do ciebie.

Mark pachniał drewnem sandałowym i mydłem. Wiedziała, że zawsze będzie pamiętać tę noc. I że Mark na zawsze pozostanie w jej pamięci, nawet jeśli kiedyś będą musieli się rozstać.

## *Rozdział dwudziesty ósmy*

Długo po tym, jak Soraya zasnęła, Mark leżał na łożu i patrzył na niski drewniany sufit. Myślał o tym, że chciałby już spędzać wszystkie noce z Sorayą. Wyprawa krzyżowa i wszelkie okropieństwa wojny pozostały daleko za nim. Nie miał pojęcia, dlaczego posłuchał papieża Urbana II, kiedy ten przemawiał na dziedzińcu kościelnym w Clermont. Wierzył w honor rycerzy chrześcijańskich i w to, że musi walczyć o grób Chrystusa.

Wierzył też, że zobaczy brata żywego i że wróci z nim do

Szkocji. I że będzie dumny ze swoich walk z Saracenami.

Teraz leżał w ciszy, myśląc o tym wszystkim, czego się nauczył. Będzie musiał żyć, mając w uszach jęki zdradzonych jeńców, w tym dzieci i kobiet. Będzie musiał przejąć schedę po bracie i być dobrym panem dla swoich poddanych. Znaczyło to również, że będzie musiał ożenić się z Jehanne...

Nie mógł jednak opuścić Sorai. To ona była miłością jego życia. Bez niej wszystko straciłoby sens.

Ale czy może ją zabrać ze sobą? Czy powinien narażać ją na zazdrość i pomówienia? Bał się, że będzie to dla niej zbyt trudne. Że nie uniesie takiego ciężaru, pomimo miłości, jaką ją darzył.

Powiedziała mu zresztą kiedyś, że nie zamierza być jego nałożnicą, a on doskonale to rozumiał. Wyglądało na to, że oboje znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Soraya westchnęła i poruszyła się w pościeli. Po chwili przytuliła się do niego, a on przygarnął ją mocnym ramieniem. Wdychał jej zapach, czując się wewnętrznie rozdarty. Był jednak na tyle zmęczony wydarzeniami ostatnich dni, że po jakimś czasie zapadł w głęboki sen.

Kiedy rankiem poczuł na twarzy promienie słońca, ocknął się natychmiast i zerknął w stronę Sorai. Przez chwilę wydawało mu się, że śnił. Pościel była zimna, ale na poduszce widać było jeszcze odcisk jej głowy. Nie, nie śnił. Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że jest sam w komnacie. Cichy jęk wyrwał się z jego ust i opadł bezradnie na pościel.

Leżał i czekał. Minęła godzina, a ona nie wracała. Czyżby poszła do dwórek Eleonory?

W końcu wstał i zaczął ubierać się do drogi. Włożył koszulę, koczugę, a także rycerski płaszcz.

Czyżby Soraya pojechała do Portsmouth, by dostać się na statek płynący do Jerozolimy?

Nie po tym, co wydarzyło się tej nocy! Tylko gdzie mogła się podziąć? Mark przechadzał się nerwowo przez jakiś czas po komnacie, a następnie skierował się na dziedziniec i podszedł do zewnętrznego muru. Przy bramie stała Eleonora i żegnała się z dwoma biskupami i niewielkim oddziałem towarzyszących im rycerzy. Mark odnalazł stajennego i zlecił mu, by przygotował jego wierzchowca. Czekaając, zastanawiał się nad tym, co mogło się stać z Sorayą.

Nagle pojął gorzką prawdę. Gdyby chciała się z nim pożegnać, czekała by na niego tu, na dziedzińcu.

Wciąż nie mogąc się z tym pogodzić, zdołał jakoś przykleknąć, kiedy zbliżyła się do niego królowa.

- Dziękuję za wszystkie łaski, najjaśniejsza pani - powiedział ze ściśniętym gardłem.

- Przywiozłeś mi dar, de Valery. Wieści od mego syna. Jedź w imię Boże.

- Najjaśniejsza pani, czy możesz powiedzieć Sorai... - urwał, czując, że potworny żal gniecie mu piersi. Uścisnął bez przekonania dłoń Williama Marshala.

Nagle usłyszał za sobą dźwięk kopyt uderzających o kamienie. Jakiś chłopak prowadził w jego stronę Jupitera, a na jego grzbiecie siedziała uśmiechnięta Soraya. Wyglądała na tak zadowoloną z siebie,

że nie wiedział, czy ją uściskać, czy udusić.

Spojrzała na niego z góry, a jej zielone oczy zaśniły z radości. Za jego wierzchowcem szedł przywiązany do siodła kucyk. Soraya miała na sobie długi płaszcz, który okrywał błękitną suknię. Między jego fałdami widać było głowę pieska.

Soraya nie nosiła już turbanu, jedynie żółtą przepaskę, a na głowę zarzuciła kaptur. Mark patrzył na nią, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Następnie skierował wzrok na królową i hrabiego Pembroke. Oni jednak nie wyglądali na zdziwionych i domyślił się, że wszystko było wcześniej ustalone.

Królowa skinęła mu głową na pożegnanie, po czym skierowała się do komnat. William Marshal ruszył za nią. Czując olbrzymią radość, Mark wskoczył na swego wierzchowca i przytulił Sorayę do piersi.

- Czy wiesz, jak bardzo się o ciebie niepokoiłem? - powiedział, przeklinając drżenie swego głosu. - Przestraszyłem się, że już cię nie zobaczę.

- Nie mogłam tego zrobić inaczej - wyjaśniła. - To był pomysł królowej.

- Na miłość boską, Sorayo, nigdy więcej nie odchodź bez słowa - rzucił i nagle zdał sobie sprawę z tego, że mówi zbyt głośno. -

Przysięgnij, że nigdy więcej mnie nie zostawisz!

- Nie zostawię cię, Mark. Przysięgam. - Zrobiła strapioną minę. - Chyba że sam zechcesz mnie odesłać. Zostanę z tobą aż do końca, chociaż nie wiem, jak to będzie możliwe, skoro jedziesz na

własny ślub...

Soraya potrząsnęła mocno głową i spojrzała na niego przeciągle.

- Nie chcę o tym teraz myśleć - dodała. - Wolę raczej cieszyć się dobrym posiłkiem. Popatrz, co dostałam od kucharza. - Pokazała mu zawiniętego w lniane płótno kapłona i kawałek sera.

Mark poczuł, że nie zdoła już nic powiedzieć i tylko pokręcił głową. Nie chciał jeść. Soraya też ugryzła tylko parę kęsów i ponownie zawinęła kapłona. Było zimno. Jechali przez pokryte szronem wzgórza, a Soraya wiedziała, że na północy, dokąd zmierzali, będzie jeszcze zimniej.

W drodze do Rossmorven nie myślała jednak o tym, co ją czeka. Podróż zajęła im trzy męczące dni i trzy cudowne noce. Kiedy wjechali na ziemie Marka, pełne pól uprawnych i bydła, Soraya zdała sobie sprawę, że naprawdę nie wie, co ją czeka

Przyszłość stanowiła dla niej całkowitą tajemnicę.

Szkocja okazała się zupełnie inna, niż się spodziewała. Surowość krajobrazu łagodziła zieleń, która już zaczęła się pojawiać. A także iglaste, mijane do drodzy zagajniki. Jednak nie one stanowiły dla niej największe zaskoczenie.

Tutejsze ziemie pokrywała nowa dla niej roślina, którą Mark nazywał wrzosem. Właśnie wrzosa słały się przed nimi liliowym dywanem, sprawiając, że krajobraz wydawał się bardziej przyjazny. W dzień było dosyć ciepło, ale w nocy chwytał mróz. Mimo to na łąkach pasły się stada bydła, korzystające z pierwszych wiosennych traw.

Otaczały je gęste iglaste bory, w których, jak zapewniał ją Mark, pełno

było dzikiej zwierzyny.

Wyglądało na to, że, w przeciwieństwie do Włoch czy nawet Austrii, żyje tu niewielu ludzi. Soraya nie wiedziała, czy będzie tutaj szczęśliwa. Nie odpowiadał jej zimny klimat, ale spodobały jej się rozległe krajobrazy. W miarę jak zbliżali się do zamku, Mark był coraz bardziej podniecony. Natomiast Soraya stawała się coraz bardziej nerwowa. Warowny zamek z ciemnego kamienia nie wyglądał zbyt przyjaźnie.

Mark zaczął śpiewać piosenkę w jakimś gardłowym, niezrozumiałym języku.

- To gaelicki - wyjaśnił. - Piosenka mówi o żeglarzu, który powrócił z dalekiej podróży.

Zaśpiewał jeszcze kawałek, a następnie puścił się cwałem w stronę ludzi, którzy wylegli ze swoich chat, chcąc go powitać. Wieśniacy wyciągali ręce, by dotknąć jego wierzchowca.

- To ty, Mark?! - krzyknął stary, pomarszczony człowiek, kalecząc przy tym francuszczyznę. - Dobrze, że jesteś w domu, chłopcze. W dodatku cały i zdrowy.

Mark odpowiedział po gaelicku i wieśniacy zaczęli wiwatować na jego cześć. Wszyscy wyglądali na zadowolonych, że wrócił. Jakby bardzo go tutaj brakowało. Zauważyła też, że tutejsi ludzie, o ile dobrze rozumiała, nie interesują się tym, co się dzieje w Jerozolimie. Było im wszystko jedno, ilu „niewiernych” Mark zabił i czy odzyskał wraz z innymi krzyżowcami Grób Pański. Żyli tu własnym życiem i troszczyli się o własne sprawy.

Starzec skierował swój ciekawy, świdrujący wzrok na Sorayę, a ona poczuła, że gardło ścisnęło jej się ze strachu.

- Na świętego Andrzeja, nasz Mark powrócił i teraz wszystko już będzie dobrze! - wykrzyknął. Wciąż jednak patrzył na Sorayę.

, Mark uwielbia te ziemie, a jego ludzie go kochają, pomyślała Soraya. Szkoda tylko, że mnie nie darzą podobnym uczuciem... Zaczęli zbliżać się wolno do zamku, otoczeni gawiedzią. Byli tam wieśniacy i rzemieślnicy, kobiety w chustkach z poczerwieniałymi od mrozu rękami, a także małe dzieci, które chowały się za matkami.

- Jak dobrze być znowu w domu - powiedział do siebie Mark.

Zatrzymywał się często, by porozmawiać po gaelicku ze swymi poddanymi. Traktowali go bardzo przyjaźnie, ale Soraya widziała, że zdejmowali też z szacunkiem wełniane czapki. Jednak na nią wszyscy patrzyli podejrzliwie.

Pomijając noce, które spędzali razem, nigdy nie widziała, by Mark był tak szczęśliwy. Jej wuj często powtarzał, że mężczyzna potrzebuje tylko dwóch rzeczy: czegoś, czym mógłby zająć ręce, i kobiety, którą mógłby kochać.

Teraz Mark miał jedno i drugie. Ale na jak długo?

Serce zabiło jej mocniej. Tu, w tym zamku, czekała na niego narzeczona.

Warowni nie otaczał mur, a jedynie drewniany ostrokół. Zamek wznosił się na skale, po której obu stronach huczało morze. Był wysoki na dwadzieścia stóp i Soraya domyśliła się, że ma aż trzy poziomy. Ku jej zaskoczeniu, na blankach nie było widać strażników, a brama stała



otworem. Te odludne ziemie należały chyba do dosyć bezpiecznych... Po chwili pojawił się służący. Wziął oba konie i obiecał zaopiekować się kufrem ze strojami, który Eleonora podarowała Sorai. W jej uszach wciąż brzmiał głos królowej: „Korzystaj z tego, co Bóg ci dał, ale nie zapominaj też o strojach. W brązowym nie jest ci do twarzy. I pamiętaj, by nosić rzeczy do figury”.

- Hm, noszę piękne stroje i co z tego? - westchnęła Soraya. Od razu stało się jasne, że nie mogą zajmować z Markiem

tej samej izby. Soraya nie chciała wprowadzić w zakłopotanie jego narzeczonej. Wystarczyło już to, że podróżowali razem, co stanowiło karygodne naruszenie etykiety.

Jedyny zbrojny, jakiego spotkała w zamku, powitał ich zaraz po tym, jak weszli do wielkiej sali. Jednak był on na tyle stary i skurczony, że Soraya przypuszczała, iż nie byłby nawet w stanie dobyć miecza z pochwy.

- Witaj, Fergus - powiedział Mark.

- Ach, więc to jednak panicz Mark. Tak się cieszę!

Mark wziął starego w ramiona, a potem tamten odstąpił na krok, by mu się dokładniej przyjrzeć. Przy czym nawet nie spojrzał na Sorayę.

- Wyrosłeś panie i zmężniałeś - powiedział łamaną francuszczyzną. Często wtrącał przy tym gaelickie słowa, ale Soraya mogła go na szczęście zrozumieć.

- Gdzie są strażnicy, Fergus? - spytał Mark.

- Ćwiczą na polu, panie - odparł stary. - Król William po-

trzebuje dobrych wojów.

Mark spojrział mu prosto w oczy.

- Powiedz Robertowi, że chcę się z nim widzieć.
- Nasz rządca stał się innym człowiekiem - rzekł z niechęcią Fergus. - Normanem.

Mężczyźni zaczęli rozmawiać przyciszonym głosem, a Soraya rozejrzała się po wielkiej sali. Przy jednej z pobielanych ścian stał wielki stół na krzyżakach, inny, mniejszy, z krzesłem z wysokim oparciem znajdował się na środku sali. Po obu stronach palił się ogień, ale nie dawał tyle ciepła, by ogrzać pomieszczenie. Przy jednym z palenisk drzemały zadowolone dwa myśliwskie psy.

- Jeszcze jedno, Fergus.
- Tak, panie?
- Przyślij do mnie Brigid. Mój gość potrzebuje opieki. Ja sam będę w komnatach lady Margaret.

Fergus zatrzymał się w pół ruchu i bardzo się z jakiegoś powodu zafrasował. Patrzył na Marka, Przystępując z nogi na nogę.

- Obawiam się, panie, że lady Margaret nie może cię przyjąć.

Mark uśmiechnął się szeroko.

- Dlaczegoż moja matka nie mogłaby mnie przyjąć po tylu latach niewidzenia...

Zaraz też skierował się do bocznych drzwi.

- Nie, panie!

Mark zatrzymał się i odwrócił w stronę starego sługi. -  
Dlaczego? Fergus zrobił bezradną minę.

- Tylko byś ją przestraszył - zaczął bezradnie. - To zbyt wielka niespodzianka... Lady Margaret nie lubi niespodzianek...

Mark zaśmiał się, słysząc te słowa.

- Żadna kobieta nie lubi, gdy się ją zaskakuje w jej komnatach. Ale to przecież moja matka. Nie mogę się doczekać, kiedy się z nią przywitam.

Skinął na Sorayę, prosząc, by mu towarzyszyła, a gdy przeszli dalej, chwycił ją za rękę. To był najbardziej intymny gest, na jaki mogli sobie w tej chwili pozwolić.

- Nie widziałem matki od osiemnastu lat. Od czasu, kiedy pojechałem do ojca chrzestnego do Francji.

Soraya z trudem za nim nadażała. W końcu wspięli się po schodach i Mark skierował się do solidnych drewnianych drzwi, do których zastukał. Nikt mu nie odpowiedział, więc zastukał raz jeszcze.

- Mamo!

Żadnej odpowiedzi. W końcu uniósł antabę i wszedł do środka.

- Mamo?

Na krześle przy kominku siedziała malutka, chuda kobieta. Nie patrzyła w ich stronę i nawet nie drgnęła, kiedy weszli. Mark podszedł do niej i przyklękawszy, objął ją łagodnie. Kobieta odwzajemniła jego gest, a potem z nieobecną miną zaczęła gładzić go po włosach.

Dopiero po chwili spojrzała w stronę Sorai.

- Jehanne, kto to taki? - spytała.

Mark uniósł głowę i spojrzał z niepokojem na matkę. Nie bardzo wiedział, jak się w tej chwili zachować.

- Nie poznajesz mnie?
- Poznaje, oczywiście. Myślisz, że tak się zestarzałam?

Mark ucałował ją delikatnie w oba policzki. Lady Margaret wydawała mu się krucha i bał się, że może zrobić jej coś złego.

- To ty, Etienne, prawda? - dodała po chwili. - Wiedziałam, że to ty.

Soraya dostrzegła panikę na twarzy Marka.

- Nie, to ja, Mark. Twój syn - powiedział, blednąc. Kobieta pokręciła głową. Wydawała się w tej chwili nieobecna. Jakby między nią a nimi powstała jakaś przezroczysta przegroda, która rozmazywała kontury. Wszystko to było bardzo dziwne i nieoczekiwane.

- Nie mam syna Marka. Pozostał mi tylko mój drogi Etienne.

- Dobry Boże! - Mark z trudem przełknął ślinę, a potem spojrzał na Sorayę. - Etienne to mój ojciec, który nie żyje od wielu lat.

Soraya patrzyła z bólem na matkę i syna. Nie sądziła, że coś takiego czeka go w domu. Pamiętała, jak bardzo cieszył się na myśl o tym, że wreszcie spotka się z matką. Wiedział, że wiadomość o śmierci Henry'ego będzie dla niej bardzo bolesna. Wyglądało jednak na to, że kobieta wymazała ich obu ze swej pamięci.

- Daj jej czas, Mark - rzekła łagodnym tonem. - Fergus ostrzegł cię, że twoja matka nie lubi niespodzianek. Może przypomni sobie później...

Mark znowu wziął matkę w ramiona.

- Przyjechałem z za morza do domu, mamo. Jestem twoim synem i nazywam się Mark. Mark de Valery, tak jak ty...

- Tak, kochany mężu. Długo na ciebie czekałam. Droga z Normandii pełna jest niebezpieczeństw...

Kobieta znowu zaczęła go gładzić po głowie. I znowu sprawiała wrażenie nieobecnej. Chociaż go dotykała, Mark czuł dzielący ich olbrzymi dystans.

- Etienne - powtarzała. - Mój Etienne...

## *Rozdział dwudziesty dziewiąty*

- Nazywam się Brigid, pani. Dziedzic powiedział, że mam ci służyć.

Dziewczyna, która przed nią stała, musiała być parę lat od niej młodsza. Patrzyła też na nią niezbyt przyjaźnie swoimi niebieskimi oczami. Cóż, w końcu była tu zupełnie obca.

- Dziękuję, Brigid.

Gdy wyszła z komnaty, zostawiając Marka sam na sam z matką, Fergus zaprowadził ją do jej izby, która znajdowała się nieopodal. Jej okna wychodziły na południe i widziała przez nie pola uprawne Rossmorven. Wyglądały ładnie w słońcu, ale ten widok wydał jej się zupełnie obcy.

- Powiedział też, że mam spytać, czego potrzebujesz, zanim zabiorę się do gotowania kleiku jęczmiennego dla lady Margaret.

- Czy długo mieszkasz w Rossmorven?

- Tak, pani, czternaście wiosen. Od dnia, kiedy się urodziłam. Żył wtedy jeszcze stary dziedzic, a ponieważ moja matka nie brała ślubu w kościele, dziedzic wziął ją do zamku, żeby mogła zarobić na siebie i na mnie. Moja matka pracuje teraz w kuchni. Potrafi robić świetne sery, a w wolnym czasie szyje dla lady Margaret.

- Jak długo lady Margaret... ?

- Ma zmałowany umysł? Od śmierci dziedzica, ale ostatnio jest gorzej...

- O! A dlaczego?

Dziewczyna spojrzała na nią niechętnie, po czym otworzyła drewniane drzwi i wyjrzała na korytarz. Chciała sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. A więc nawet tutaj zdarzały się intrygi. Mieszkańcy Rossmorven też mieli swoje sekrety.

- Jeśli już chcecie wiedzieć, pani, chodzi o lady Jehanne. Dobry Bóg widzi, że zrobiła się zgorzkniała, od kiedy poczuła, jak mijają jej młode lata. I lady Margaret zaczęła żyć w jakimś swoim świecie. Ale to przecież nikomu nie szkodzi... - Brigid rozłożyła ręce.

- Oczywiście. - Soraya podeszła do kufra i otworzyła jego wieko. - Pamiętasz może, kiedy umarł stary dziedzic?

Dziewczyna potarła czoło. Sprawiała wrażenie dosyć inteligentnej, ale nikt chyba nie zajął się jej edukacją. Cóż, była przecież zwykłą służącą, a w dodatku nieślubnym dzieckiem... Soraya znowu z wdzięcznością pomyślała o wuju Khalilu. To dzięki niemu dowiedziała się tylu ważnych rzeczy i poznała tyle języków!

- Niech no pomyślę. Lady Jehanne miała osiem wiosen, kiedy

się urodziłam. Przyjechała wtedy z Francji na zaręczyny... Zaraz... Panicz Mark miał dziesięć... Po ceremonii obaj panicze wyjechali do ojca chrzestnego, a lady Jehanne została w Rossmorven. Byłam bardzo mała, kiedy dziedzic zmarł. Zawsze był bardzo dobry dla mnie i dla mamy.

- A potem?

Brigid pochyliła się i wyjęła z kufra ciepły, wełniany kaftan. Wygładziła go i położyła na wąskim łóżku. Następnie sięgnęła po atlasową suknię. Ktoś dobrze ją wyćwiczył w pracach domowych. Zapewne sama lady Margaret.

- Paniczów już tu nie było, jak dziedzic zmarł - ciągnęła dziewczyna, wciąż nie mogąc połapać się w latach. - Panicz Mark nie widział lady Jehanne od zaręczyn.

- Osiemnaście lat - rzekła z westchnieniem Soraya. Znaczyło to, że lady Jehanne ma teraz dwadzieścia sześć lat. Musiała bardzo długo czekać na Marka, a w dodatku... zupełnie go nie zna. Nie wie nawet, jak teraz wygląda! Gdyby spotkali się w jakimś ludnym włoskim miasteczku, nawet by go nie poznała.

Co ona najlepszego zrobiła? Jeśli ktoś czeka tak długo, musi kochać swego narzeczonego! To przecież zupełnie oczywiste.

Soraya wyjęła jeszcze dwie suknie ze skrzyni i zajrzała do jej wnętrza, by sprawdzić, co tam zostało. Tylko nocna koszula i... Aż krzyknęła z radości. Na samym spodzie leżała lutnia!

Znowu przypomniała sobie słowa monarchini: „Ziemia Szkotów jest dzika i nieokiełznana. Powinnaś tam sobie znaleźć jakieś zajęcie”.

Brigid patrzyła wielkimi oczami na instrument.

- O, pani! Czy potrafisz na tym grać?

Soraya w odpowiedzi wzięła instrument i zagrała prostą melodię. Służąca aż pokręciła głową z zachwytu i złożyła ręce jak do modlitwy.

- Nikt tu nie grał i nie śpiewał, odkąd lady Jehanne... Od bardzo dawna! Tak miło znowu słyszeć prawdziwą melodię!

Soraya od razu zrozumiała, że zyskała przyjaciółkę. Grała jeszcze przez chwilę, a kiedy skończyła, Brigid spojrzała na nią pokornie.

- Wybacz, pani, ale muszę spytać. Kim jesteś dla dziedzica?

Soraya uśmiechnęła się lekko. Niełatwo jej było odpowiedzieć na to z pozoru proste pytanie.

- Chodzi ci o to, kim jestem i co tutaj robię? Brigid skinęła głową.

- Właśnie.

Soraya odłożyła lutnię na łóżko i westchnęła.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Jestem przyjaciółką Marka i chociaż wiem, że jest zaręczony z Jehanne, bardzo mi na nim zależy. I zrobię wszystko, żeby był szczęśliwy.

Błękitne oczy Brigid wypełniły się łzami.

- To nie będzie łatwe.

- Wiem. I czasami bardzo się tego boję.

- Ale tego zamku, pani, nie musisz się obawiać. Tylko... - głos jej się załamał.

Jednak Soraya i tak wiedziała, co chce jej powiedzieć. Mimo że



nie widziała jeszcze lady Jehanne, wyczuwała tu jej dominującą obecność. Brigid nie była pierwszą osobą, która, mówiąc o niej, ściszała głos.

- Jestem zmęczona - rzekła. - Spędziliśmy z Markiem trzy dni w podróży.

Brigid natychmiast skierowała się do drzwi.

- Czy mam przygotować kąpiel, pani?

Soraya otworzyła usta, by odpowiedzieć, a potem je zamknęła. Nie mogła wyjaśnić dziewczynie, dlaczego nie potrzebuje kąpieli. Poprzedniego dnia skorzystali oboje z Markiem z wielkiej balii w przydrożnym zajeździe. I to wspólnie.

- Nie, dziękuję. Odpocznę tylko przed wieczerzą. - I przed spotkaniem z Jehanne.

- Wieczerzę podajemy w refektarzu na dole o zachodzie słońca, pani - powiedziała dziewczyna. Wyszła, ale po chwili pojawiła się z futrzaną narzutą. - Przyda ci się, pani. Noce bywają u nas zimne...

Soraya podziękowała jej skinieniem głowy, chociaż nie sądziła, by mogło być jej zimno w tej przytulnej komnacie, przy ogniu. Spędziła wiele nocy w gorszych warunkach, przemoczona i zziębnięta, i jakoś wytrwała. Niestraszne jej były trudy podróży, chociaż z przyjemnością myślała o czekających ją tu wygodach.

Nagle przypomniał jej się Damaszek i jej pokoje w domu wuja. Zostawiła za sobą te luksusy i to zapewne już na zawsze. Położyła się na wąskim łóżku i zamknęła oczy. Cień zwątpienia wkradł się w jej myśli. Mark kocha te ziemie i ludzi. A co się stanie, jeśli ona nie zdoła

ich polubić?

Czy wystarczy jej miłość do jednego człowieka? I czy będzie szczęśliwa, widząc, jak inna kobieta rodzi mu dzieci?

Wspólna wieczerza okazała się być ciężkim doświadczeniem. Jehanne na początku nie pojawiła się przy stole. Markowi i Sorai towarzyszyło jedynie siedmiu wojów, dumnych ze swoich ćwiczeń, od których czuć ich było potem i świeżą ziemią, a także bardzo stary ksiądz o imieniu Cuthbert, z długimi, poplamionymi atramentem palcami. Soraya pomyślała, że to z pewnością od przepisywania manuskryptów.

Mark siedział na głównym miejscu przy nakrytym białym obrusem stole. Pierwsze i jedyne danie składało się z ciemnego, ziarnistego chleba, sera tak twardego, że nie mogła go przekroić swoim nożem, oraz płatów ryby. W dodatku podanych na surowo! Poza tym do picia dostali napój o miłym, miodowym kolorze, który jednak bardzo szczypał w język. Nic dziwnego, że Szkoci mówią w taki gardłowy sposób, pomyślała. Muszą mieć od tego zupełnie skołowaciałe języki.

Kiedy Soraya nadziała na nóż kawałek ryby i już miała zamiar podnieść go do ust, w refektarzu pojawiła się wysoka, elegancka kobieta w pięknie skrojonej sukni i podeszła ostentacyjnie do stołu. Odgłos jej kroków odbijał się echem o ściany komnaty i Soraya spojrzała odruchowo na jej stopy. Spod sukni wystawały czerwone, skórzane trzewiki z utwardzonymi obcasami. To pewnie najnowsza moda, pomyślała. Ale takie obuwie nie za bardzo nadaje się na tutejsze

błotniste drogi.

Soraya zauważyła też, że Jehanne ma duże stopy.

Narzeczona Marka stanęła przy ubogo zastawionym stole, a potem skinęła w stronę kuchni. Dwóch służących wniosło na tacy ciasto. Jehanne przeszła do miejsca po prawej stronie Marka, rozejrzała się dookoła i usiadła. Miała ciężki, niemal kamienny wzrok.

Mark wstał i pochylił się, by pocałować ją w policzek.

- Jehanne - wymamrotał Jehanne spojrzała w stronę Sorai.

- Widzę, że przyprowadziłeś gościa do mojego... - zawahała się  
- naszego stołu.

- To prawda. Czy mogę ci przed...

- Kim ona jest? - przerwała mu Jehanne. - Dziewicą? Żoną?

Czy wdową?

Mark otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, odezwała się Soraya:

- Żadną z tych osób, pani - odparła cicho i spokojnie. -

Nazywam się Soraya al-Din i pochodzę z Damaszku. Jestem kobietą, a cała reszta to moja prywatna sprawa.

- Jesteś więc zabawką, którą Mark znalazł w Ziemi Świętej -  
rzekła jadowitym tonem Jehanne.

- Jehanne! - upomniał ją Mark.

- Nie jestem zabawką, choć zaiste Mark znalazł mnie w Jeruzolimie.

Książdz, który siedział przy stole, nagle ocknął się na wzmiankę o Ziemi Świętej. Był pierwszą osobą w zamku, którą tak żywo

zainteresował ten temat.

- Bogu niech będą dzięki! Czy chcesz powiedzieć, że król Ryszard zwyciężył niewiernego Saladyna?

- Nie, proszę księdza. Ryszard zawarł rozejm z Saladynem. W Jerozolimie zapanował pokój, a miasto ciągle pozostaje w rękach Saracenów.

- Pokój?! - prychnęła Jehanne. - A czemu nie nadział głowy Saladyna na włócznię?

- Nie było takiej potrzeby. Saladyn jest człowiekiem honoru, co nie zawsze można powiedzieć o Ryszardzie.

Jehanne odłożyła nóż, którym chciała ukroić kawałek ciasta.

- Skąd to zamieszanie w twoich słowach? Mam wrażenie, że nie wiesz, co mówisz...

Mark wzruszył ramionami. Jak miał wytłumaczyć narzeczonej to wszystko, czego się sam dowiedział w czasie wyprawy krzyżowej? Jak przekazać swoje doświadczenia? Tylko. Soraya potrafiła go zrozumieć. Zresztą Jehanne wcale nie wyglądała na zainteresowaną tym, co mógłby jej wyjawić.

- Wiem doskonale. Przecież tam byłem.

- Tak? - Podniosła na niego oczy. - Nie wiesz nic, nic! - wybuchnęła nagle.

Mark przyglądał się jej przez dłuższy czas, usiłując wytłumaczyć sobie jakoś jej zachowanie.

- Co się stało, Jehanne? - spytał cicho po chwili. - Dlaczego jesteś tak zgorzkniała?

Jehanne uderzyła otwartą dłonią w stół.

- Co się stało?! - spytała z furią. - Zaraz ci powiem, co się stało. Kiedy ty zajmowałeś się usługiwaniem Ryszardowi, ja czekałam osiemnaście lat! Osiemnaście lat, rozumiesz?!

- Jehanne, moja córko... - zaczął ksiądz.

- Jeszcze nie skończyłam! Słyszałam, że moje siostry powychodziły już za mąż. Wszystkie mają dzieci! A ja... - głos jej się załamał. - Ja się zestarzałam w samotności! Ksiądz przysunął sobie tacę z ciastem.

- Bóg widzi wszystkie twoje poświęcenia i na pewno ci je wynagrodzi - powiedział i ukroił spory kawałek ciasta, który następnie podsunął Jehanne. Na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy.

- Nie wynagrodzi mi już straconej młodości! - Znowu uderzyła dłonią w stół, a jej ciasto spadło na podłogę. Natychmiast też schwytał je Saquii. - Co to za zwierzę? - spytała Jehanne.

- Psiak, którego znaleźli... znalazłem w Italii.

- Więc się go pozbadź!

Soraya wstała od stołu i wzięła psa na ręce. Następnie wybiegła z nim z refektarza.

- Sorayo! - usłyszała za sobą głos Marka.

W tej chwili dobiegł do niej taki dźwięk, jakby ktoś rzucił drewnianym talerzem o posadzkę, a potem kobiecy wrzask. Soraya obejrzała się za siebie i dostrzegła Marka, który wstał od stołu i złapał Jehanne za ramię.

- Przestań! - krzyknął, zanim Jehanne zdążyła strącić ze stołu dzban z piwem. - To jest mój dom i nie pozwolę ci się tak zachowywać.

- Jesteśmy zaręczeni, Mark. Ten dom jest w równym stopniu moją własnością. Zasłużyłam sobie na niego! - Wymierzyła mu siarczysty policzek.

Mark złapał ją za rękę.

- Przestań, bo pożałujesz - rzucił przez zęby.

- Wkrótce będziesz moim mężem - rzuciła mu prosto w twarz.

Po tych słowach w sali zapanowała złowroga cisza. Soraya przycisnęła pieska mocniej do piersi i pobiegła na górę po schodach.

Trzy dni później, kiedy zeszła ostrożnie na dół, usłyszała szum głosów, dobiegający z wielkiej sali. Przystanęła na ostatnim stopniu i patrzyła, jak Mark zmierza tam w otoczeniu swoich ludzi. Po chwili zniknął w drzwiach, a Soraya podeszła do nich i zajrzała do środka. Mark już zajął miejsce za stołem, gdzie jako dziedzic miał sprawować sądy nad swymi poddanymi.

Powoli zaczęli się pojawiać pierwsi wieśniacy w ubłoconych butach.

- Jaśnie panie, Henny, żona rybaka oszukała mnie w czwartek, kiedy...

- Wcale nie oszukałam! - wykrzyknęła otyła kobieta. - Sam powiedziałeś, że wolisz tłustego szczupaka od chudego łososia...

Wszyscy dokoła wybuchnęli śmiechem.

Pojawiły się też głosy dotyczące Jehanne. Ludzie szeptali między

sobą, że wydaje za dużo na siebie, zamiast pomagać lady Margaret i dbać o poddanych. Soraya starała się tego nie słuchać, ale było to trudne.

Sąd trwał godzinę, a potem dwie, trzy... Widać było, że wśród tutejszych ludzi narosły pretensje. Mark starał się je łagodzić, wydawał wyroki mądre, a nawet, chociaż było to dużo trudniejsze, sprawiedliwe. Starał się też jak najmniej karać, zwłaszcza wtedy, kiedy sprawy nie były do końca jasne.

Sąd trwał przez cały dzień. Soraya popatrzyła w pewnej chwili na zmęczonego Marka, wzięła dzban z wodą i postawiła go wraz z glinianymi kubkami na jego stole.

- Na pustyni ludzie przynajmniej mają oazę - szepnęła.

Uśmiechnął się do niej i napił się wody, a następnie zaproponował podsądnym, by zrobili to samo.

- Tom młynarz kradnie ziarno - odezwał się kolejny.

- To fałszywe kłamstwo! - rzekł Tom.

- Nie, prawdziwe - stwierdził oskarżyciel.

Wszyscy dookoła wybuchnęli śmiechem i nawet Mark się uśmiechnął. Następnie zasięgnął rady starszyny, która przyznała, że Tom, owszem, znany jest z nieuczciwości. Ukarzał go więc grzywną i kazał zwrócić stratę Angusowi Shortbeardowi.

Mark dotrwał jakoś do końca posiedzenia, myśląc o tym, że najchętniej spędziłby ten czas z Sorayą. Wystarczyłaby mu choćby godzinka.

Soraya starała się trzymać cały czas na uboczu i nie rzucać się w

oczy poddanym Marka. Zauważyła, że Jehanne w ogóle nie pojawiła się w dniu sądu. Mark też zwrócił na to uwagę, a kiedy zapytał o nią Fergus, ten powiedział mu, że Jehanne nie lubi zapachu potu i gnoju i nie podoba jej się to, że wieśniacy patrzą na nią wilkiem.

Kiedy sąd się skończył, zmęczony Mark ruszył na piętro do pokoju Sorai. Wiedział, że zawsze tam się chowa przed Jehanne i że na pewno ją tam zastanie.

- Mój Boże! - rzekł z westchnieniem. - Czasami w ogóle żałuję, że wróciłem do Rossmorven.

Soraya wciągnęła go do środka i zamknęła drzwi.

- Chodź! Powinieneś mieć gdzie odpocząć w tym domu.

- Nie chodzi tylko o ten sąd - mruknął Mark. - Chociaż, prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że będzie aż tak źle... Nie chodzi też o Jehanne, ale o coś jeszcze...

Mark opadł bezwładnie na krzesło, które mu podsunęła. Stanęła przed nim i położyła dłonie na jego barkach.

- Więc mi o tym opowiedz. Mark potrząsnął głową.

- To byłoby nielojalne wobec Jehanne - mruknął.

- Ale powinieneś z kimś o tym porozmawiać.

Mark przyciągnął ją do siebie i wtulił głowę w jej ciało.

- Jest oczywiście ksiądz Cuthbert, ale nie powinienem...

- Więc powiedz to mnie! - Zaczęła go gładzić po głowie.

- Wiem, że nie mogę zbyt wiele zrobić, ale przynajmniej będzie ci trochę lżej.

Mark wypuścił nagromadzone w płucach powietrze.



- Mój rządca, Jacques, fałszował księgi rachunkowe. Jehanne sprowadziła go z Chambois, by spłacić jakiś dług rodzinny, i nie chce nawet słuchać zarzutów.

Soraya skinęła głową.

- Odesłałem go dzisiaj do Francji i Jehanne wcale się to nie spodobało. Prawdę mówiąc, wpadła we wściekłość.

- Jehanne pochwali tylko te twoje decyzje, które będą po jej myśli.

- Wiem - rzekł smutno.

- Przecież widzisz, że z powodu stanu twojej matki i, nieobecności twojej i brata, Jehanne stała się prawdziwą dziedziczką. To ona zarządza zamkiem. Doskonale rozumiem, co musi teraz czuć.

- Nie mam wyboru. Nie potrafię żyć bez ciebie.

- Ale to Jehanne zostanie twoją żoną. Mark zamknął oczy.

- Tak, wiem. Moi ludzie jej unikają. Służący boją się napadów jej gniewu. Nawet wieśniacy nie są zadowoleni, chociaż przecież widują ją tak rzadko.

Soraya milczała.

- Są jeszcze inne sprawy poza finansami - mruknął Mark.

- Kobiece sprawy, którymi Jehanne w ogóle się nie zajmuje.

Choroby w wiosce, opieka nad starszymi, porody...

- Naprawdę nie interesuje jej życie jej poddanych? - zdziwiła się Soraya, pamiętając, że wuj Khalil wiedział wszystko o swojej służbie.

- Jehanne nie jest taka jak moja matka przed... - Urwał i

spojrzał na nią smutno.

- Lady Margaret ma już wiele lat. Bądź wdzięczny Bogu, że nie cierpi... Są gorsze rzeczy niż pomieszanie umysłu.

- Tak, zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje.

- To ty cierpisz, bo ją kochasz i pamiętasz z dawnych czasów.

Ale przecież wszyscy ją lubią. Nawet Jehanne musi ją lubić...

Mark nagle odsunął się od niej i potrząsnął głową.

- Nie, słyszałem takie rzeczy... - umilkł, a na jego czole pojawiły się trzy poprzeczne zmarszczki. - Ale to nie wszystko.

- Tak? Co jeszcze?

- Pękł kamień w żarnach we młynie - zaczął wyliczać. - Ktoś spoza wioski kłusuje w moich lasach. A ksiądz Cuthbert patrzy na mnie oskarżycielsko...

Mark wziął ją za rękę.

- Ale przynajmniej nie słyszę już w nocy krzyków - dodał z ulgą. - Nie widzę zmasakrowanych ciał pod Acre.

- I? - spytała, czując, że to nie wszystko.

- I nie mogę spędzać z tobą nocy. Widuję cię tylko przy posiłkach. To za mało.

- Wiem, że musisz zająć się swoimi obowiązkami.

- A co z tobą, Sorayo? Czy znalazłaś coś dla siebie w tym wrogim domu?

Soraya roześmiała się lekko.

- Och, wcale nie czuję, żeby ktoś był tu do mnie wrogo na-

stawiony, poza... - urwała. - Ćwiczę się w graniu na lutni, którą dostałam od królowej. Odwiedzam twoją matkę, bo lubi muzykę. Chodzę też czasami do kuchni. Elghita uczy mnie, jak się piecze chleb i ciasta.

- Chleb? Po co?

- Jasne, że do jedzenia. - Zafrasowała się. - Ale chyba nie jestem zbyt pojętną uczennicą.

Mark uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd tu przyszedł. - I co jeszcze robisz?

- Zbieram zioła na łąkach. Fergus pokazał mi miejsce, gdzie mogę je suszyć. Poza tym zbieram też dzikie kwiaty. Czy zauważyłeś wazon z irysami w komnatach twojej matki? A może lilie w swojej izbie...?

Mark nie odpowiedział. Patrzył tylko z podziwem na Sorayę, myśląc o tym, że stała się dla niego prawdziwą podporą.

- Poza tym pomagam księdzu Cuthbertowi, bo okazało się, że nie zna zbyt dobrze greki. No i... - uśmiechnęła się lekko

- staram się unikać Jehanne.

- Czy nie czujesz się zła i osamotniona?

- Osamotniona? - zaśmiała się, a potem pogładziła go po głowie. - To prawda, że brakuje mi Ciebie.

Mark zamknął na chwilę oczy.

- Przyjdę do Ciebie dziś w nocy. Nie wytrzymam kolejnego dnia rozłąki!

## *Rozdział trzydziesty*

Dni biegły szybko. Minęły już dwa tygodnie od czasu, gdy Soraya przybyła do Rossmorven. Jehanne wściekła krążyła po zamku. Mark odwiedzał matkę, ale ona go nie poznawała.

Co gorsza, coraz bardziej brakowało mu Sorai, a nie chciał jej o tym mówić, by nie obarczać jej dodatkowym ciężarem. Czasami też myślał o Ryszardzie, samotnym gdzieś w Austrii.

Zarówno służący, jak i ludzie w wiosce zaczęli traktować Sorayę z szacunkiem i tylko Jehanne starała się ją upokorzyć, gdy miała ku temu okazję. Na szczęście zamek był na tyle duży, że mogły się nie spotykać. Widziały się tylko przy wieczerzy, a wówczas Soraya siadała na końcu stołu, by nie rzucać się w oczy. Czasami Fergus albo ktoś ze służby ostrzegał ją, że Jehanne jest w szczególnie złym nastroju i wtedy nie schodziła na dół. Brigid przynosiła jej później chleb i ser do izby.

Soraya wiedziała, że w Rossmorven nie umrze z głodu, ale czasami obawiała się, iż uschnie z tęsknoty.

Jednak któregoś ranka, kiedy peła warzywniak lady Margaret, tuż obok pojawiła się Jehanne, szukając Brigid.

- Co tu robisz? - warknęła.
- Pielę - odparła spokojnie Soraya.
- Nie musisz tego robić - oznajmiła Jehanne. Soraya pochyliła głowę i wróciła do swego zajęcia.
- Nie mam nic przeciwko temu. Lubię pracować.

- Mówię ci, że nie musisz tego robić.
- Lady Margaret prosiła mnie, żebym...

Jehanne uniosła swą suknię w obawie, że ją zabrudzi.

- Powiem otwarcie, że nie jesteś tu miłym gościem. Nie powinnaś być w Rossmorven.

- Wiedziałam o tym od chwili, kiedy tu przyjechałam - rzekła Soraya.

- To ja jestem narzeczoną Marka! Ja! Czekałam osiemnaście lat, by dostać to, co mi się należy!

- Dlaczego czekałaś tak długo, pani? - spytała ostrożnie Soraya. - Osiemnaście lat to bardzo długo, jeśli się kogoś kocha...

Jehanne skrzywiła się, słysząc to słowo.

- Kocha? W małżeństwie nie chodzi o miłość, ale o to, by połączyć dwie wielkie rodziny. Te ziemie należą do mnie!

- Więc dlaczego chcesz wyjść za Marka, pani, jeśli go nie kochasz?

- Równie dobrze mogłabyś zapytać, dlaczego ptaki łączą się w pary. Tak już po prostu jest. Mam spory posag, a Rossmorven zawsze było dobrze utrzymane... A ty - Jehanne wyciągnęła drżący palec w stronę Sorai - nie możesz nic dać Markowi! Nic!

Soraya wciągnęła głęboko powietrze, a potem wstała i spojrzała Jehanne prosto w oczy.

- To nieprawda. Mogę mu dać swoją miłość. I siebie.
- Jak widzę, bardzo siebie cenisz. Ale dziedzic Rossmorven nie wykarmi swoich poddanych samą miłością. Najważniejsze jest to, by

przetrwać! - Jehanne zacisnęła dłonie w pięści.

- Życie to nie tylko przetrwanie - odrzekła Soraya. - Nie chodzi w nim tylko o to, by napełnić żołądek. Jehanne uśmiechnęła się z wyższością.

- Nie sądziłam, że jesteś tak głupia. Nigdy nie głodowałaś?

- Zdarzało mi się to aż nazbyt często. Zwłaszcza w drodze do Anglii, gdy brnęliśmy w śniegu i błocie. Jednak ty, pani, nie wiesz nic o świecie poza murami zamku.

Jehanne zamrugnęła oczami i pobladła.

- Masz tylko w jednym rację. Dziedzic czasami nie może wybierać między przetrwaniem a miłością...

- Mark potrzebuje potomka.

- To prawda.

Oczy Jehanne zamieniły się w dwie szparki.

- Ciężko pracowałam, by osiągnąć swoją pozycję, i nie zamierzam się poddać.

- To nie jest wojna, pani. Małżeństwo powinno wynikać z wolnego wyboru.

- Wszystko mi jedno, jakie powinno być - odrzekła Jehanne. - Potrafię zmusić Marka, by dotrzymał słowa. Jest mi to winien.

- Wolny człowiek nie może do nikogo należeć. Jehanne uniosła dumnie brodę.

- To ty nic nie wiesz o życiu - powiedziała z wyższością.

Soraya puściła tę uwagę mimo uszu.

- Nie dbasz o jego uczucia? Nie zależy ci na jego szczęściu?

- Nie! Chodzi mi tylko o to, by dotrzymał słowa. Chcę być panią Rossmorven!

Soraya skinęła głową, a potem spojrzała na lady Jehanne.

- Być może nie wiem nic o życiu, ale zależy mi na Marku. I dlatego chcę dać mu to, co mogę.

- To znaczy?

- Swoją obecność. Nie opuszczę Rossmorven, chyba że Mark sam każe mi odjechać.

Soraya znowu kucnęła przy grządce.

Następnego dnia powiało mocno od wschodu, a następnie zaczął padać uporczywy deszcz. Soraya zdecydowała, że spędzi rano w zamku i zaczęła się rozglądać za jakimś zajęciem. Mark ponownie sprawował sądy w wielkiej sali i dlatego kazał rozpalić ogień w palenisku i przygotować dla przybyłych grzane wino.

Soraya, jak przedtem, obserwowała to, co się działo w sali, ze swego kącika przy schodach.

Jeden z wieśniaków pobił Johna, który zajmował się wydobywaniem torfu, kiedy ten przyszedł po swoją należność. Pasterka Molly musiała uciekać przed żoną rzeźnika, gdy jedna z kóz zjadła kawałek wiszącego na sznurze prześcieradła. A następnie pojawiła się ciężarna Ann, żona kamieniarza, która tak gardłowała za swoim bratankiem - złodziejaszkiem, że odeszły jej wody.

Soraya ruszyła do sali, kiedy rozległy się głosy:

- Gdzie jest pani domu? To ona powinna doglądać porodu!

- Nieważne - odezwał się ktoś. - Sara Aldin jej pomoże.

Soraya objęła rodzącą i skierowała się z nią do wyjścia.

- Brigid! - zawołała. - Przygotuj wolną izbę, wodę i prześcieradła.

- Tak, pani - powiedziała przerażona Brigid.

- I poślij po akuszerkę.

- Tak, pani.

Minęła jednak chwila, zanim Brigid zdołała się ruszyć.

- Oooj, dziękuję, pani - jęczała żona kamieniarza.

Jej krzyki rozbrzmiewały w zamku przez cały ranek. Mąż Ann, Willem, nie mógł tego znieść i szybko upił się grzany winem.

Mark poczuł, że od tych krzyków i nieświeżego zapachu rozboleła go głowa i ogłosił koniec przyjęć. Wieśniacy zostali jednak w zamku ze względu na deszcz i zaczęli się raczyć winem. Mark wiedział, że musi to powstrzymać, inaczej jego ludzie się spiją i jeszcze się pobiją.

- Ja też mam zażalenie! - odezwał się czyjś głos.

- Tak, a kto mówi? - zapytał odruchowo Mark.

- Hrabia Carrick.

Mark westchnął. Czyżby bydlę weszło na ziemie sąsiada.

- A o co chodzi? - spytał.

- Jechałem w tym lejącym deszczu, który wy, Szkoci, nazywacie mżawką, żeby spotkać się z dziedzicem Rossmorven, a tymczasem...

Mark uniósł wzrok znad stołu.

- Roger! Roger de Clare!

Roger podszedł do niego i po chwili padli sobie w ramiona. Na



koniec Roger poklepał go po barku.

- Wyglądasz na zmęczonego, mój drogi. Czy możesz powiedzieć tym wieśniakom, by sobie poszli i poświęcić mi godzinę?

Mark natychmiast ogłosił, że ma gościa i powiedział poddanym, żeby poszli do swoich chat. Wieśniacy wypili już tyle wina, że nie zważali na deszcz i ruszyli wesoło przed siebie. Następnie poprowadził przyjaciela do swoich komnat.

- Hrabia Carrick? - spytał.

- Tak - odparł z dumą Roger. - To dzięki Ryszardowi. Wrócił właśnie do Anglii w zupełnie dobrym nastroju, chociaż biedniejszy o sto tysięcy marek.

Roger usiadł na wyściełanym krześle.

- Król polecił ci, byś wrócił do Jerozolimy, prawda?

- Tak, ale zanim zagoiła się moja rana, do Austrii przyjechała królowa Eleonora z okupem. Dołączyłem do jej orszaku, by pilnować skarbu.

Mark pokręcił głową

- Królowa wiozła skarb?

- Oczywiście, że nie. Dostarczył go w sekrecie William Marshal wraz z oddziałem doborowych rycerzy. Ale ja mogłem później wrócić do Anglii.

- A co cię sprowadza na północ? O ile dobrze pamiętam, ziemie Carrick leżą bardziej na południe.

- Tak, najpierw jednak chciałem dotrzymać obietnicy, jaką złożyłem twemu słuzącemu. Przyjechałem, by wyprawić Soraya do

Jerozolimy.

Mark nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Soray... Soraya ma wrócić do Jerozolimy? Niedoczekanie!

- Mam ci wiele do powiedzenia, ale niestety, te sprawy muszą poczekać - rzekł, wstając. - Przyślę ci służącego i porozmawiamy przy wieczerzy.

- Może Soraya? - zaproponował Roger. Mark roześmiał się naprawdę szczerze.

- Nie mogę, przyjacielu. Przy kolacji zrozumiesz, dlaczego.

O zachodzie słońca Mark odpowiadał półsłówkami na pytania Rogera dotyczące Soraya i czekał na „jego” przybycie. Kiedy Soraya zeszła na dół, Roger szturchnął przyjaciela.

- Ależ to prawdziwa ślicznotka!

Na jego widok Soraya wydała wysoki okrzyk, a następnie rzuciła się, by go powitać. Roger patrzył na nią zbaraniałym wzrokiem i dopiero kiedy wyczuła go w oba policzki, w jego oczach pojawiło się coś w rodzaju zrozumienia.

- To... - zaczął.

- Jest Soray - dokończył Mark. - A właściwie Soraya.

- Wielkie nieba! - zakrzyknął Roger.

W tym momencie do sali weszła też Jehanne. Mark wskazał gestem przyjaciela.

- Chciałbym przedstawić: oto Roger de Clare, hrabia Carrick. Jehanne z Chambois. Jehanne drgnęła i nóż wypadł jej z dłoni. Jej oczy zaśniły dziwnym blaskiem.

Roger skłonił się jej. Następnie Soraya wskazała mu miejsce obok swojego, z dala od Jehanne.

- Wygląda na to, że lady Jehanne jest... nie w humorze - zauważył.

- Nie przejmuj się, panie. Lady Jehanne mnie nie lubi i na pewno tu nie przyjdzie.

Roger przyglądał się jej przez chwilę.

- Gdzie ja miałem oczy? Gdzie ja miałem oczy? - powtórzył.

- Nieważne, panie. Nie patrz tylko w stronę lady Jehanne. Jest narzeczoną Marka.

- Rozumiem. - Zrobił przerwę. - Nie, nic nie rozumiem.

Dlaczego...

- Później - szepnęła.

Zaraz też zajęła się pieczonym kurczakiem. Będzie jeszcze miała czas, by opowiedzieć Rogerowi o Marku i Jehanne.

Po wieczerzy w sali zostali tylko Mark i Roger. Nowy hrabia Carrick oparł się łokciami o stół i spojrzał na swego gospodarza.

- Nie możesz tego zrobić, Mark - powiedział. - Nie możesz złamać danego słowa.

Mark potrząsnął głową.

- Nie ja je dawałem - mruknął. - Intercyzę spisali nasi ojcowie. Myślisz, że jeśli się z tego wycofam, to będzie to gorsze od masakry pod Acre?

Przyjaciół potrząsnął głową.

- Jeden grzech nie usprawiedliwia innego.

- Wiem to, przyjacielu - rzekł chłodno Mark. - Proszę Boga, by dał mi jakieś honorowe wyjście.

Roger rozłożył ręce.

- Obawiam się, że nie ma takiego wyjścia. Musisz poślubić lady Jehanne i dać Rossmorven dziedzica.

- Znam aż nazbyt dobrze swoje obowiązki. I czuję, że przygniatają mnie one coraz bardziej.

- Tak to jest z obowiązkami - mruknął Roger i dolał sobie wina. - Ale tak naprawdę, obowiązuje nas przede wszystkim prawo ludzkie i prawo kościelne.

Mark spojrzał z zazdrością na przyjaciela. Jego świat był tak prosty. Czarne było dla niego czarne, a białe białe.

- A jeśli te dwa prawa się ze sobą nie zgadzają? Co wtedy? - Tak jak pod Acre?

- Jak pod Acre.

- Mam wrażenie, że Acre bardzo cię zmieniło, Mark. Nigdy później nie byłeś już taki sam jak przedtem.

- To prawda. - Mark dolał sobie jeszcze wina. - Robiłem straszne rzeczy, wmawiając sobie, że wymaga tego mój rycerski honor. Nie chcę już popełnić tego błędu.

- Wszyscy robili to samo.

- Co nie usprawiedliwia własnego grzechu!

- Robiliśmy to w imię honoru...

- Tak. I tutaj w Rossmorven mam to powtórzyć, tyle że na mniejszą skalę. Mam skrzywdzić kogoś w imię honoru. - Mark

zadumał się na chwilę. - Wiem, co powinienem zrobić. Nie mam tylko pojęcia, czy starczy mi na to siły. - Dopił wino. - Ale muszę przynajmniej spróbować.

Roger popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Fergus! - zawołał po chwili Mark.
- Tak, panie.
- Powiedz Martinowi, żeby osiodłał mego konia.

## *Rozdział trzydziesty pierwszy*

Soraya zauważyła, że Mark zmierza w jej kierunku i poprawiła kosz z ziołami. Minę miał zgnębioną, a jego wysokie czoło znaczyły zmarszczki. Przełknęła z trudem ślinę, spodziewając się najgorszego, a następnie spojrzała na swoje zioła i kwiaty. Dzikie róże i goryczka przypominały jej sytuację w Rossmorven. Częściowo słodką i miłą, ale czasami gorzką, wręcz upokarzającą.

- Chciałem porozmawiać - zaczął.
- Coś się stało? - spytała trochę przestraszona.
- Nie, w zasadzie nic. Tylko to nie może tak trwać... Doskonale rozumiała, o co mu chodzi i teraz odłożyła nóż do kosza i wzięła go za rękę.
- Chodź, odkryłam ścieżkę w lesie.
- Znam ją. Łapaliśmy tam z Henrym ryby ze skały. Przeszli

przez łąkę i zbliżyli się do linii drzew rosnących na

klifie. Dalej rozciągało się szmaragdowe tego dnia morze. Fale wyciągały chciwie swoje palce w stronę skał, a następnie rozbijały się o nie z hukiem.

Mark spojrzał w dół na wzburzoną wodę.

- Zdaje się, że morze jest równie niespokojne jak my sami.

- Ale i tak nie chciałabym tego zmienić... Mamy chyba prawo do odrobiny szczęścia.

- Nie wiem, czy mamy prawo, ale bez tego bym zwariował. Nie byłbym w stanie niczego zrobić. - Ponownie wziął ją za rękę. - Czy polubiłaś te surowe ziemie i huczące morze? - spytał.

Oczy Sorai rozjaśniły się wewnętrznym blaskiem.

- Na początku wydawało mi się, że to niemożliwe. Ale teraz myślę o nich cieplej. I w nocy mogę słuchać szumu morza.

- Ja też. Myślę wtedy o tobie. Soraya ścisnęła jego dłoń.

- To nie może trwać. Musimy to zakończyć tak lub inaczej.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. - Poczuł, że serce zabiło mu mocniej. - Mogę ci tylko powiedzieć, że cię kocham i nie potrafię bez ciebie żyć. Zresztą wiesz...

- Tak, ale chcę, żebyś to powtarzał.

Soraya obróciła się w jego stronę, a Mark przyciągnął ją mocno do piersi.

- Będę cię kochał aż do końca życia. Niezależnie od tego, co nas spotka. - Mark skinął głową. - Podjąłem już decyzję. Chce się z tobą ożenić.

Soraya nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Czy zostaniesz moją żoną?

Czuła, że ziemia zakołysała się jej pod nogami. Miała w uszach szum fal i czuła na twarzy podmuch wiatru. Pocałowała mocno Marka i dopiero wtedy powiedziała:

- Tak, oczywiście.

Mark ponownie przyciągnął ją do siebie.

- Tak się cieszę.

Znowu ją pocałował, ale tym razem mocniej i namiętniej, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Jej koszyk upadł na ziemię, wysypały się z niego zioła i kwiaty, ale wcale nie zwróciła na to uwagi.

Oderwali się od siebie dopiero po dłuższej chwili.

- Za godzinę wyjeżdżam - powiedział Mark. - Muszę jechać na południe do Winchesteru.

- Dlaczego? - Popatrzyła na niego wielkimi oczami.

- Muszę znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji - rzucił i znowu ją pocałował. - Czekaj na mnie!

Przed pójściem do stajni odwiedził jeszcze Jehanne w jej komnatach. Siedziała tyłem do okna i coś wyszywała.

- Jehanne, chciałem... Nawet na niego nie spojrzała.

- Coś się stało?

- Chcę odwołania naszych zaręczyn.

Zamarła na chwilę nad robótką, a potem spojrzała na niego twardo swoimi ciemnymi oczami.

- Tak? - spytała zimno.

- Znajdę ci innego, lepszego męża.

- Lepszego niż kto?! - prychnęła Jehanne. - O ile mi wiadomo, to przez osiemnaście lat nie miałam żadnego męża.

- Lepszego ode mnie - ciągnął niezrażony.

W jej oczach pojawiły się złe błyski, ale zaraz je opuściła.

- Tu, w Rossmorven, mam wszystko, czego mi trzeba - rzekła wyniośle. - Wszystko, poza twoim nazwiskiem. Daj mi je, a usunę ci się z drogi.

- Nie chcę żyć w separacji z żoną.

- Ale z tamtą nie możesz się ożenić - jej głos stał się jeszcze bardziej lodowaty. - Możesz ją uczynić tylko swoją nałożnicą. A jeśli dobrze ją oceniłam, to jej nie wystarczy.

- Masz rację. Ale mam już dosyć trzymania się honoru w złych sprawach.

- Więc chcesz zerwać zaręczyny?! Ty draniu!

- Czasami naprawdę chciałbym nim być.

Jehanne nic na to nie powiedziała, tylko zaczęła go powoli wypychać ze swojej komnaty.

Marka nie było już od sześciu dni. Wciąż o nim myślała. Zauważyła też, że Fergus, Brigid i inni służący są bardzo podenerwowani. W wioskach wrzało i wieśniacy zbierali się przy chatach na narady.

Coś miało się zdarzyć.

Roger odmawiał odpowiedzi na jej pytania, a Brigid ostrzegła ją, by nie zbliżała się do komnaty Jehanne. Podobno była w wyjątkowo



złym nastroju, co dawała wszystkim odczuć.

Dopiero szóstego dnia po południu Mark wrócił na zamek, zmęczony i cały pokryty błotem. Minę miał nietęgą. Oddał konia stajennemu i od razu ruszył do komnaty Sorai.

Gdy tylko usłyszała kroki na schodach, domyśliła się, że to on. Podeszła do drzwi i czekała niecierpliwie. Na widok jego zmęczonej twarzy aż zaniemówiła.

- Mark! - wciągnęła go do środka i zamknęła drzwi. - Mark, czy coś ci się stało?

- Przepraszam, że przychodzę w takim stanie, ale musiałem cię zobaczyć - rzucił.

- Chodź. - Zaczęła poluzowywać jego kolczugę.

- Wina - powiedział.

Sięgnęła za siebie i podała mu kubek.

- To jest to, co warzycie w Szkocji - powiedziała.

Wypił łyk i się Zakrztusił. Jednak oddech mu się wyrów - nał i wypił następny łyk. Soraya zdjęła jego płaszcz i kolczugę, a następnie kazała mu usiąść i zajęła się nogawicami. Na koniec poprowadziła go do łóżka.

- Kocham cię - powiedział jeszcze i zapadł w sen. Spał do końca dnia, a potem całą noc. Ocknął się tylko na chwilę i zjadł trochę sera, który przyniosła mu z kuchni, a także napił się piwa.

Następnego dnia o świcie do jej komnaty zapukał Fergus. Soraya natychmiast otworzyła drzwi.

- Posłaniec od królowej, pani - oznajmił. Od Eleonory!

- Przygotuj komnatę przyjęć, Fergus. Mark będzie tam za godzinę.

- I poślij po Jehanne - dodał jeszcze z łóżka Mark. Kiedy drzwi się zamknęły, Mark usiadł na łóżku i wziął Sorayę za rękę.

- Pamiętaj, że niezależnie od tego, co się stanie, pragnę tylko ciebie - powiedział.

Mark posadził Sorayę na jednym z pięciu krzesel z wysokimi oparciami, znajdujących się w komnacie przyjęć, a następnie wskazał posłańcowi jego miejsce. Jehanne pojawiła się w ostatniej chwili. Widać było, że się przebierała. Miała na sobie elegancką suknię ze złotym paskiem i skórzane trzewiki. Spojrzała na posłańca, a dopiero potem na Marka.

- Jak rozumiem, panie, przynosisz nam wieści od królowej Eleonory - Mark zwrócił się do posłańca. - I masz o wszystkim poinformować nas troje. Wobec tego możesz zaczynać.

Młody rycerz wstał i rozwinął zwój welinowego papieru.

- Od Eleonory, królowej Anglii i księżnej Akwitanii, do lady Jehanne z Chambois, pozdrowienia. Mój syn, Ryszard zwany Lwie Serce, pragnie wynagrodzić swego wiernego rycerza ślubem z osobą tak wysoko urodzoną jak ty, pani. O twe względy będzie walczyć dwóch znamienitych rycerzy: księżę Thierry z Rennes i hrabia Clarence z Bretanii. Obaj mają otrzymać dobra w Anglii, ale tylko jeden zdobędzie twoją rękę, pani. Jehanne siedziała bez ruchu z otwartymi ustami.

- Dlatego chcemy ogłosić turniej na twoją cześć, tak by zwy-

cięższy lepszy. Odbędzie się on w zamku Winchester w pierwszą niedzielę kwietnia, roku pańskiego tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego.

Jehanne omal nie zerwała się z miejsca.

- Turniej - powtórzyła.

- Jest jeszcze wiadomość dla ciebie, panie - posłaniec zwrócił się do Marka.

- Odczytaj ją.

Posłaniec przełknął ślinę i zrobił niezbyt pewną minę.

- Serce mówi nam prawdę, trzeba tylko odwagi, by pójść za jego głosem.

Posłaniec zwinął pismo i Mark dał mu ręką znak, że może odejść.

- Jehanne, chciałbym z tobą pomówić. Na osobności.

Narzeczona skinęła z roztargnieniem głową, wciąż patrząc

za posłańcem. Potrzebowała chwili, by ochłonąć, więc przyszła do jego komnaty dopiero po dobrych dwóch kwadransach. Zaraz też usiadła na miękkim krześle.

- Wina? - spytał Mark.

- Nie... Ee, tak, chętnie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Jehanne nie piła wina, chyba że pochodziło ono z Francji, a takie miewali w Rossmorven bardzo rzadko. Czyżby była zdenerwowana?

Poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Nawet w dzieciństwie nigdy nie potrafił przewidzieć jej reakcji.

- Sama nie wiem, jak zacząć - mruknęła i napiła się wina.

- Musisz się ze mną ożenić. Dotrzymać słowa.

Mark poczuł, że serce mu się ściska. Dlaczego chce właśnie jego, a nie hrabiego czy księcia?

- Przynajmniej tak mówi ksiądz Cuthbert.

- Rozumiem, ksiądz Cuthbert chce, żebyśmy się pobrali.

- Właśnie. - Na policzkach Jehanne pojawiły się ceglaste wypieki. - Ale... przykro mi, Mark. Wiem, że powinniśmy, ale... nie mogę. Po prostu cię nie kocham.

- Mówiłaś, że to wcale nie jest ważne - zauważył najspokojniejszym tonem, na jaki było go w tej chwili stać. - Że w małżeństwie chodzi o coś innego.

- Tak, cóż... - Zajrzała do wnętrza swego pustego kielicha.

- Mogłabym ci dać syna. Dziedzica Rossmorven.

- Tak, oczywiście.

- Czy chcesz tego?

- N... niekoniecznie - odparł niepewnie, nie wiedząc, do czego zmierza. Być może uznała jednak, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu.

- Wobec tego... - Urwała i spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. - Wobec tego zwalniam cię ze słowa.

Mark patrzył na nią z otwartymi ustami, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Jehanne spojrzała na niego z niepokojem.

- Czy zgodzisz się na zerwanie zaręczyn? - spytała. - Chcę zobaczyć trochę świata. Królewski dwór...

- Tak, zgadzam się. - Złożył pocałunek na jej zimnym czole.

- Będę ci za to wdzięczny aż do śmierci.
- Ha! Szybko o mnie zapomnisz.
- Nie zapomnę, Jehanne.
- Wobec tego ja zapomnę o tobie. - Wstała i nieco chwiejnym krokiem wyszła z komnaty.

## *Rozdział trzydziesty drugi*

Fergus ogłosił rano w wiosce, że dziedzic chce rozmawiać ze swymi poddanymi. Następnie udał się po Sorayę, która oczyszczała róże w ogrodzie lady Margaret.

- Lepiej przygotuj piwo, pani, zanim tu przyjdą - poradził. Soraya odłożyła ogrodowe nożyce.

- Zanim kto przyjdzie? - Popatrzyła pytająco na Fergususa. - Co się tu dzieje?

- Na razie nic, pani - odrzekł stary. - Ale wkrótce pojawią się ludzie z wioski.

Odszedł, zanim Soraya zdążyła go o wszystko wypytać. Jednak koło południa stało się jasne, że zapowiada się uroczysty dzień. Do zamku zaczęli ściągać wieśniacy w odświętnych strojach. W wielkiej sali kłębił się tłum i służba pootwierała wszystkie okna. Na środku ustawiono stoły. Mark siedział na głównym miejscu, a obok niego ustawiono jeszcze kilka krzeseł.

Soraya poczuła gwałtowny niepokój.

Weszła Jehanne i usiadła po prawej stronie Marka. Trzy mała przy nosie perfumowaną chustkę, broniąc się w ten sposób przed odorem. Roger poprowadził Sorayę do krzesła po lewej stronie Marka. Ten skinął zebrany, a potem czekał, aż wszyscy się uciszą.

- Zwołałem was tutaj, bo chcę wam coś oznajmić - rzekł. - Mam do załatwienia pewną sprawę.

Przez salę przetoczył się hałas podniesionych głosów, które ucichły, kiedy Mark podniósł rękę.

- Los Rossmorven i jego ludu leży mi głęboko na sercu - ciągnął Mark. - Wiem, co jestem wam winien jako wasz pan.

- Nikt w to nie wątpi, najjaśniejszy panie! - krzyknął ktoś, a inne głosy zawtórowały mu: „Tak! Dobrze mówi!”

- Jak wiecie, zaręczyłem się z w dzieciństwie z lady Jehanne z Chambois. Ta dama dochowała mi przez wiele lat wiary, ale teraz czuje, że musi zwrócić mi dane słowo. Dlatego chcemy ogłosić zerwanie naszych zaręczyn.

Lady Jehanne skinęła sztywno głową.

Soraya pobladła, a wieśniacy zaczęli o czymś rozmawiać.

- Z tego też powodu pragnę poślubić lady Sorayę al-Din, która siedzi po mojej lewej stronie.

Na sali znowu podniósł się gwar, ale Mark ponownie uniósł rękę.

- Czekam na waszą zgodę do jutra do świtu. Jeśli się nie zgodzicie, poproszę Williama, króla Szkocji, by wyznaczył nowego dziedzica Rossmorven.

- Nigdy! - wrzasnął ktoś na cały głos.

- Posłuchajcie - ciągnął Mark. - Wiem, że Soraya al-Din nie jest z urodzenia szlachcianką i nie pochodzi ze Szkocji, ale właśnie ją chcę poślubić.

- Co to za Sara Aldin? - odezwał się grubawy wieśniak

- Ta dama w zielonej sukni, głupcze. Ta sama, która przygotowała zioła dla twojej Alix, jak miała dusznicę.

- Więc ona nie jest Szkotką?

- Nie.

- A co za różnica? - odezwał się ktoś inny. - Ważne, że ma dobre serce.

- Ale ksiądz Cuthbert nigdy nie pozwoli na taki ślub!

Mark zatrzymał się przed otwartymi drzwiami komnaty Sorai. Po chwili pojawiła się przy nim zaaferowana Brigid.

- O co chodzi - spytał?

- Sir Roger chce z tobą rozmawiać, panie. Z tobą i lady Sarą.

- A gdzie go znajdę?

- Jest w twojej komnacie, panie - odparła Brigid. - I raczy się twoim winem.

- Chodźmy więc - Mark zwrócił się do Sorai.

Soraya szła ze ściśniętym gardłem, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego tak się czuje. Kiedy dotarli do komnat Marka, Roger dolewał sobie właśnie wina. Soraya przyjrzała mu się uważnie, chcąc sprawdzić, jaką nowinę im przynosi, ale nie zdołała niczego wyczytać z jego twarzy.

- Chciałeś się z nami widzieć? - spytał Mark.
- Tak... - Roger zawahał się. - Sprawa jest delikatna. -

Pozwól mi zgadnąć. Potrzebujesz pomocy Marka, by

utrzymać swoje nowe ziemie? A może chcesz zostać tu do lata, by uniknąć błota na drogach? Zaraz, pewnie zasmakował ci nasz cydr i chciałbyś się nauczyć go robić... - żartowała, chociaż jej oczy pozostały poważne. Roger ścisnął jej dłonie.

- To wszystko i coś jeszcze - powiedział.
- Co więc przede wszystkim chciałeś nam przekazać?
- Cóż... Chcę, byście wiedzieli, że jeśli dojdzie do najgorszego

i... i....

- Moi ludzie nie zgodzą się na małżeństwo z Sorayą - wtrącił Mark. - I będziemy musieli wyjechać z Rossmorven.

- Właśnie - rzekł z wyraźną ulgą Roger. - Wtedy... Wtedy zawsze możecie zamieszkać w zamku Carrick.

Mark uściskał przyjaciela.

- Jestem ci bardzo wdzięczny za tę propozycję. Czasy są dla nas niespokojne i dobrze wiedzieć, że mamy w tobie oparcie.

Roger chrząknął.

- To dlatego, że naruszyłeś dawne tradycje - bąknął.
- Zgoda. - Mark skinął głową. - Ale może przyszedł już czas,

by je zmienić.

- Twoi ludzie... - zaczął Roger.
- Moi ludzie nie kochali Jehanne.
- Ale zgodziliby się, żebyś był ich panem, gdyby nie ja... -



wtrąciła Soraya.

- Być może nie ma to żadnego znaczenia. Czuję się z tobą związany wbrew wszelkim tradycjom. I tak nie potrafiłbym żyć bez ciebie. W tym, że się kochamy, nie ma nic złego.

W pokoju zapadła znacząca cisza. W końcu Roger chrząknął i wskazał stojący na stole dzban.

- Zapasy wina się kończą - zauważył.

- Gościnność Rossmorven nie zna granic - powiedział Mark i obrócił się w stronę drzwi. - Brigid! - zawołał. - Przynieś nam jeszcze wina!

Brigid pojawiła się w komnacie po paru minutach. Miała w rękach duży dzban, dwa razy większy od tego, który stał na stole.

- Gdzie jest lady Jehanne? - spytał Roger.

- Pakuje się, panie - odparła Brigid. - Ma chyba tyle kufrów co ja palców. - Dziewczyna wystawiła obie dłonie.

- Ach, pakuje się - rzucił Roger, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

Sorai chciało się śmiać.

- Zdaje się, że królowa zna nie tylko swoich synów, ale też psychikę kobiet.

- Przecież Eleonora sama jest kobietą - zauważył Roger.

- Ale przede wszystkim jest monarchinią, która wie, jak rządzić swoimi poddanymi. Skoro ja nie połknęłam przynęty, podsunęła ją lady Jehanne...

- *Quoi?* - Obaj mężczyźni spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Nieważne. Przecież jesteście mężczyznami. I tak tego nie zrozumiecie. - Z tymi słowami wyszła z komnaty Marka.

Tej nocy kiepsko spała. Wstała przed świtem i zerknęła w stronę bramy wjazdowej do zamku. Wydawało jej się, że widzi cienie na dziedzińcu, ale była to tylko gra jej wyobraźni. Zaczęła się zastanawiać, co przyniesie im dzień i poczuła nagły skurcz żołądka.

Świt przyniósł jej niemiłą niespodziankę. Do drzwi jej komnaty zastukała Jehanne i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Miała na sobie suknię podróżną i nieco mocniejsze buty.

- Dzień dobry - przywitała ją Soraya.

- Właśnie, to chyba ten dzień, kiedy ci brudni wieśniacy z wioski mają rozstrzygnąć o waszej przyszłości, prawda? - powiedziała bez ogródek.

Soraya wyprostowała się. Być może o jej przyszłości, ale z całą pewnością nie o przyszłości Marka. Ta posiadłość stanowiła całe jego życie. Nie może po prostu z nim stąd wyjechać, nawet gdyby mieli się udać do zamku Rogera.

- Nie pozwolę, by Mark wyjechał z Rossmorven. Jehanne spojrzała na nią bez zainteresowania, jakby tego rodzaju przyziemne sprawy zupełnie jej nie obchodziły.

- Po co tu przyszłaś, pani? - spytała Soraya.

- Podobno byłaś na dworze królowej. Chciałam się czegoś o tym dowiedzieć. Jaka jest Eleonora?

Soraya ukryła zdziwienie. Przypomniała sobie, że przecież Jehanne od wielu lat nie ruszała się z Rossmorven.

- Jaka jest Eleonora? - powtórzyła. - Cóż, można powiedzieć, że zupełnie wyjątkowa. Nigdy nie widziałam drugiej takiej kobiety.

- A czy jest gotowa pójść na ustępstwa?

Soraya popatrzyła na nią ze zdziwieniem. O co może chodzić Jehanne? Czyżby wyobrażała sobie, że zdoła do czegoś zmusić królową? Nagle coś odezwało się w jej pamięci.

- W jakiej sprawie? - spytała. Jehanne milczała.

- Nie, nie sędzę - odparła po chwili Soraya. - Eleonora jest bardzo inteligentna. Nie radzę się z nią targować, a tym bardziej próbować ją oszukać. Nie ugnie się przed nikim i przed niczym.

Jehanne zmarszczyła brwi.

- Zastanawiałam się, czy królowa pozwoli... Soraya pokręciła głową.

- Naprawdę, pani, nie powinnaś używać sztuczek czy prosić o łaski. Eleonora przejrzy cię w mgnieniu oka.

- Jak więc powinnam się zachowywać?

Ach, więc potrzebowała rady? Jakież to musiało być dla niej upokarzające!

- Trudno mi powiedzieć. Mnie poszło o tyle dobrze, że polubiłam Eleonorę i ona to wyczuła. Poza tym umiałam ją rozweselić...

Jehanne potrząsnęła głową.

- Być może jej nie polubię, ale założę się, że potrafię dobrze ułożyć z nią stosunki. W końcu obie pochodzimy z Francji. Chociaż ona z Langwedocji, okropnego regionu, gdzie jest mnóstwo trubadurów śpiewających zbyt śmiałe piosenki.

- Radzę, pani, poczekać z oceną Eleonory - rzekła ostrożnie Soraya.

Jehanne patrzyła na nią bez słowa.

- O co ci chodzi, pani? Co chciałabyś uzyskać od królowej?
- To moja sprawa.
- Nie próbuj nią manipulować, bo narazisz się na jej gniew.
- Raczej to ty masz powody, by obawiać się gniewu poddanych Marka - rzuciła złośliwie Jehanne. - Co zrobisz, jeśli nie zechcą, byś została ich panią?
- Jakoś sobie poradzę.
- Pewnie mogłabyś przyjechać na dwór królowej, ale nie radzę...
- Jehanne spojrzała na nią groźnie.

Soraya podeszła do okna i znowu spojrzała w stronę bramy.

- Będę z tobą szczerą, pani. Towarzyszyłam Markowi w drodze do Anglii. Przeżyliśmy razem wielkie niebezpieczeństwa, marzyliśmy razem i głodowali. Zdobyłam jego miłość i nie oddam jej za żadne skarby. Zostanę przy nim niezależnie od tego, co się stanie.

Jehanne popatrzyła na nią z czymś w rodzaju szacunku. Po chwili wyszła bez słowa z komnaty i Soraya została sama. Mimo niepokoju, który ją dręczył, chciało jej się śmiać. Pomyślała, że jeśli Jehanne zacznie jakieś gierki na zamku Winchester, to Eleonora zje ją żywcem na wieczerzę.

Zrobiło jej się trochę żal byłej narzeczonej Marka.

Nagle od strony bramy rozległy się pierwsze głosy. Nadchodzili ludzie z Rossmorven. Soraya poczuła, że ma sucho w ustach. W rękach

tych ludzi leżała przyszłość Marka.

Ich przyszłość.

## *Rozdział trzydziesty trzeci*

Kiedy wieśniacy zgromadzili się w wielkiej sali, Robin garbarz dał im znak, by ucichli, a następnie przemówił:

- Naszym zdaniem, sir Mark jest dobrym dziedzicem. Nie chcemy go stracić.

Mark poczuł, jak radość wypełnia mu serce. Jednocześnie spojrzał na Sorayę, która siedziała teraz po jego prawej stronie. Wyglądała na spokojną, ale Mark wiedział, że bardzo stara się nie okazywać emocji.

Garbarz ponownie uniósł rękę, dając w ten sposób znak, że ma coś jeszcze do powiedzenia. Stwierdził już, że chcą, by Mark pozostał ich panem. Ale co z nią?

Nagle Mark spochmurniał. Bał się, że może stracić Sorayę.

- Teraz co do pani na Rossmorven - zaczął Robin. - Nasz pan powinien....

- Nie chcemy tej cudzoziemki! - krzyknął ktoś z tłumu. Soraya zamarła.

- Ciagle na wszystkich krzyczy! I ciagle chodzi z tą chustką przy nosie! - dodała jakaś kobieta.

Mark poczuł, że chce mu się śmiać. Jego ludzie nie mówili o Sorai.

- To Francuzka - rzucił ktoś.

- Ojciec dziedzica też był Francuzem! Mark wstał.

- Nie mam zamiaru poślubić lady Jehanne - powiedział po gaelicku. - Chcę się ożenić z Sorayą al-Din.

- Właśnie - podjął Robin. - Sara Aldin jest tutaj nowa, ale na nikogo nie krzyczy i wszystkim pomaga.

- Czy mam się więc z nią ożenić? - spytał Mark.

- Ale ksiądz Cuthbert mówi, panie, że musicie się ożenić ze swoją narzeczoną, tą, której daliście słowo...

- Czyli z lady Jehanne? - upewnił się Mark.

- Nie! - Garbarz podrapał się po głowie. - Nic już z tego nie pojmuję. Myśli mi się mącą.

- Myśli mu się mącą - zawołano na sali i po chwili Brigid podała Robinowi kielich wina, który ten wypił duszkiem.

- Posłuchajcie - odezwał się ponownie Mark. - Moja narzeczona, lady Jehanne, zerwała zaręczyny i nie chce tu być.

- To dobrze, dobrze - odezwali się ludzie.

- Mogę się więc ożenić z kim chcę - ciągnął Mark. - I co wy na to, żeby Soraya al-Din została waszą panią?

Soraya ponownie zadrżała na dźwięk swojego imienia. Rozmowa toczyła się po gaelicku, więc jej nie rozumiała, ale domyślała się, że chodzi o coś ważnego. Brigid dołała Robinowi wina, a ten ponownie je wypił. Następnie postawiła też kielich przed Sorayą.

- Na pewno dobrze ci zrobi, pani.

Soraya podziękowała jej skinieniem głowy i spojrzała na garbarza, który bawił się sznurem u pasa. Nie patrzył jej jednak w oczy. Mark nagle uświadomił sobie, że jego ludzie nie chcą zarówno Jehanne, jak i Sorai na swoją panią. I nie miał pojęcia, co dalej. Soraya czuła, że kręci jej się w głowie. Patrzyła, jak Robin pije wino, a potem mówi coś po gaelicku.

Wtedy Mark wstał ponownie i zapytał groźnie:

- Powiedz, czy chcecie, by została dziedziczką.

- *Tha sinn a'gabhail ri!* - odparł garbarz.

Co to mogło znaczyć? Soraya napiła się jeszcze wina i dopiero wtedy spojrzała na Marka. Nagle poczuła się tu zupełnie wyobcowana.

Czy nie powinna poprosić Rogera, by zawiózł ją do Damaszku?

- *Gabhail ri!* - zakrzyknął tłum.

Następnie ludzie podeszli do Marka i wzięli go na ramiona.

Zaczęli go obnosić po sali, krzyząc: *Gabhail ri! Gabhail ri!*

Soraya zamknęła oczy. Starła się tego nie słuchać, ale głos Robina był głośny i przenikliwy:

- Sara Aldin! *Tha sinn a' gabhail ri!*

Roger... Gdzie jest Roger? - pomyślała. Zaraz osiodła swego kucyka i ruszy z nim w drogę.

Przeszli z Markiem dwa razy wokół sali. Kiedy w końcu postawili go przy niej, jego oczy błyszczały ze szczęścia.

Sara Aldin?

A więc jednak wybrali ją dziedziczką Rossmorven! Wbrew

tradycji i wbrew temu, co radził im ksiądz Cuthbert.

Soraya z trudem uniosła się ze swego miejsca. W głowie jej się kręciło. Mark podtrzymał ją ramieniem i przytulił do siebie. Zamknęła oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

- Hej, mam nadzieję, że nie zemdlałaś.

- Ja też mam taką nadzieję, Mark - szepnęła. - Ja też mam taką nadzieję.

## *Rozdział trzydziesty czwarty*

Z okna Soraya zobaczyła konnego, który zatrzymał się na dziedzińcu. Z tyłu prowadził objuczonego kufrem wierzchowca.

- Wnieście kufer do zamku! - krzyknął posłaniec do służby. - To dar dla lady Sorai z Damaszku.

Soraya zbiegła po schodach, by powitać posłańca.

- Królowa Eleonora przysłała ci, pani, prezent ślubny. Wskazał kamienną posadzkę, gdzie stał kufer.

- Zajrzyj do środka - usłyszała tuż obok głos Marka. Otworzyła zamek. Mark polecił podać posłańcowi miodu

i sam też zaczął się nim raczyć. Siedzieli przy stole i rozmawiali, co chwila wybuchając śmiechem. Soraya wolno uniosła wieko kufra.

- To pewnie twoja suknia ślubna - rzucił wesoło Mark. - I inne damskie fatalaszki.



Soraya wzięła do rąk najpiękniejszą suknię, jaką w życiu widziała. Była uszyta z jedwabiu i zdobiona drogą koronką. Połyskiwała w jej rękach to niebiesko, to znów zielono.

- Och - westchnęła, a po chwili zawtórowały jej służące. W skrzyni były też inne piękne stroje, a także kremowy welon i złoty naszyjnik ze szmaragdami.

Na dnie znalazła stary turban i sztylet z klejnotem. Jak dobrze, że królowa o tym pamiętała! To były jedyne rzeczy, które przypominały jej o dawnym życiu w Damaszku.

Łzy same pojawiły się w jej oczach.

- Nie płacz, kochana - powiedział Mark. - Idź przebrać się do ślubu.

Soraya podeszła do stołu i ucałowała Marka w policzek. Następnie zwróciła się do posłańca:

- Przekaż, panie, moje gorące podziękowania Jej Królewskiej Mości.

- Przestań płakać - upomniał ją Mark.

Jednak sama widziała, że ma łzy w oczach. Poruszona do głębi poleciła służącym, by zanieśli kufer do jej komnat, gdzie miała się przebrać na popołudniową uroczystość.

Kiedy znalazła się przy schodach, Mark zaczął śpiewać balladę po gaelicku. Mówiła ona chyba o młodzieńcu, który czeka na swoją ukochaną. Po chwili inni mężczyźni też zaczęli śpiewać. Soraya westchnęła i ruszyła na górę.

Po południu, gdy słońce zniżało się ku zachodowi, Mark poszedł do komnat matki i ukląkł u stóp lady Margaret. Wziął jej dłoń w swoją i spojrzał jej w oczy. Nagły dreszcz przeszył jego ciało. Matka patrzyła na niego zupełnie przytomnie.

- Mark, wróciłeś - powiedziała drżącym głosem. - Tak, pani.

I ona też, jakimś cudem, powróciła. Być może z jeszcze dalszej podróży.

- Za godzinę mam się ożenić, mamó. Przyszedłem po twoje błogosławieństwo.

- Żenisz się z Sorayą, prawda? - spytała lady Margaret.

- Tak, z Sorayą.

- Właśnie tego sobie życzyłam. Bardzo długo czekałam na dziedziczkę i wreszcie się doczekałam. Lubię ją, chociaż daje mi do picia takie gorzkie zioła...

- Zioła? - zdziwił się Mark - Zaślubiny odbędą się w kaplicy po nieszporach. Czy będziesz mogła wziąć udział, pani?

- Nie, nie zdołam tam przejść - powiedziała z żalem, a następnie zdjęła pierścień ze swego palca. - Ale daj to ode mnie swojej oblubienicy. Ten pierścień dostałam od twego ojca w dniu naszych zaślubin.

Serce mu się ścisnęło. Bardzo żałował, że matka nie może pomóc Sorai w przygotowaniach do ślubu. Że nie mówi jej, co ma robić i nie dogląda jej sukien.

Nie mógł jednak pragnąć zbyt wiele. To, co się stało, było już prawdziwym cudem.

- Dziękuję. To dla nas dobry znak. Lady Margaret pogładziła go po głowie.

- Bądźcie szczęśliwi. - Zawahała się. - Tak jak ja i Etienne. I dajcie Rossmorven dziedzica.

- Zbliź się, Sorayo z Damaszku - powiedział ksiądz.

Kiedy ruszyła z tyłu kaplicy, wsparta na ramieniu Rogera de Clare, wokoło rozległy się podniecone głosy. Nikt nie widział wcześniej tak pięknej panny młodej. Jedwabna suknia połyskiwała zielenią i błękitem, a koronki przypominały tkane o świcie pajęczyny. Jednak nic nie było w stanie zaćmić światła, które biło z jej twarzy. Mark wstrzymał oddech na ten widok. Był pewien, że zapamięta tę chwilę na całe życie.

Soraya podeszła płynnie do ołtarza i spojrzała mu prosto w oczy. Dopiero teraz dostrzegł złoty naszyjnik ze szmaragdami - dar od królowej,

- Możesz wziąć pannę młodą za rękę, panie - rzekł Fergus.

Po chwili ich palce splotły się namiętnie. Stali tak, czekając na kapłana, który w końcu pojawił się w drzwiach zakrystii. Soraya aż westchnęła na ten widok.

- Brat Andreas!

A więc to nie ksiądz Cuthbert miał im udzielić ślubu, ale ten zakonnik, szpieg, Pan Karnawału! Soraya nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zanim zdolali ochłonąć, brat Andreas odezwał się:

- Marku Etienne de Valery z Rossmorven i Sorayo al-Din z

Damaszku. Zwróćcie się twarzą do waszych gości, którzy mają być świadkami waszych zaślubin.

Obrócili się i aż westchnęli. Na krześle siedziała matka Marka, lady Margaret, a obok stał William Marshal. Mark zauważył, że lady Margaret ma mokre od łez policzki.

Soraya natomiast zwróciła uwagę na Jehanne, która stała obok Rogera de Clare i patrzyła na niego w dziwny sposób.

Po chwili znowu usłyszeli głos brata Andreeasa.

- Teraz obróćcie się do mnie i przysięgnijcie sobie miłość i wierność w imię Boga Wszechmocnego.

Spojrzeli na niego, trzymając się mocno za ręce, a potem powoli i dobitnie powtarzali słowa przysięgi. Następnie Mark włożył jej na palec pierścień, który dostał od matki.

- A teraz pan młody może pocałować pannę młodą - powiedział na koniec brat Andreas.

Mark nie potrzebował dalszej zachęty.

- Kocham cię - szepnął Sorai na ucho, kiedy wreszcie się od niej oderwał.

- Ja ciebie też, Mark. Na zawsze - odparła po gaelicku.

## *Epilog*

Lady Margaret doczekała się dziedzica. Soraya urodziła jesienią roku pańskiego tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego bliźnięta: Rosalynne Margaret i Richarda Williama de Valery.

Richard de Valery w wieku dziewięciu lat wyjechał do swego ojca chrzestnego, Rogera de Clare, hrabiego Carrick. Parę lat później powrócił do Rossmorven już jako młody rycerz.

Niewiele natomiast wiadomo o Rosalynne de Valery, poza tym, że wyszła za mąż za pretendenta do tronu Szkocji i że przez całe swe życie pisała pamiętnik.

RS